

TECZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

—
TOM V.
—



WARSZAWA.

—
1838.

478165

2

Biblioteka Jagiellońska



1002421548

441

5-6

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



~~58 I
12 29 op~~

440086

I

1838, 5-6

TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nie toczy.
Ale miłemi barwy wdzięcznie ławi oczy.

ROG.

Nie było nic powabniejszego, świeższego, i zdrowszego jak Lucylka. Mała buzia, małe blade-turkusowe oczki, nosek zadarty, okrągłe drobne policzki, włosy blond spadające w kiędziorach, słowem było to dziecko, które podług szczęśliwego wyrażenia utworzonego dla nich; możnaby zjeść z pieszczot. Lavrence, ten Rafael dzieci, malował je z rzadkim wyrazem. Tylko Anglja wydaje podobne, jakby dla pocieszenia się z braku brzoskwiń. Jest to także kraj, w którym najwięcej wykradają dzieci. Lucylla miała lat cztery. Uwielbiała lalki z Jawy. Są to lalki czarne nieznaane we Francyi. Ale Lucylla przenosiła ciastka migdałowe nad lalki, a Roga nad lalki czarne i migdałki.

Róg, był to pies nie wiem jakiego gatunku, sądzę że najbrzydszego. Mięszanina wilka, i lisa; młody ale niewiele obiecujący po swój sierci brudnej i uszach nieforemnych, którym zawsze zły układ nadawał, bo gdy podnosił prawe, lewe opadało; jest to znak frenologiczny psów złodziei.

Jednakże mimo jego sierci szarój, ostrój i brudnej, łap niekształtnych, ogona kiciastego i zakrzywionego jak hak rzeźniczy, mimo oczu bez blasku, ukrytych pod gęstością włosów i pomimo brzydkich kudłów, Rog się podobał, jak się podoba to co jest młode, naprzykład małe jaszczurki, i węże.

Krzyki radości dziecka, były pomieszane ze szczekaniem Roga, kiedy się szamotali posofie, Lucylla zapuszczając swe drobne różowe paluszki w najczoną sierć Roga, a Rog obejmując udko dziecięcia łapami bez pazurów, próbując swych zębów, bez zostawienia śladu na śnieżnym ramieniu Lucylli, później staczali się tak jak kłębek bawełny z sofya na dywan, z dywanu w alkowę w którą się zagłębiali, aby się znów okazać w kształcie kuli, owinięci skrętami szalów, tygrysięj skury, i dywana. Nakoniec zmęczeni ciągłą igraszka, zaśypiali pod temi zwojami, poruszanemi ich, gorącym i głośnym tchnieniem. Wydobywano ich ztamtąd zupełnie uspiionych.

Mistress Philipps, była bardzo dobrą matką chociaż bogatą. Doskonałą matką! wstawiała w nocy,

aby zobaczyć czy jej córka była dobrze okryta, czy gorączka nie poruszyła jej małych usteczek, i czy światło lampy nie padało za nadto na jej oczy. Właściwie te obawy były tylko dowcipnemi pozorami, aby ucałować technienie Lucylli, i zatrzymać w swém ręku świeże uściśnienie dwóch jej małych rączek.

Sara guwernantka uprzedzała ją w tych macierzyńskich staraniach. Te dwie niewiasty czuwały nad sobą, aby jedna mogła wyprzedzić drugą, w zbliżeniu się w nocy do kolebki Lucylli. Doktor zabronił wyraźnie podobnych wycieczek, matce ze względu słabości, która nastąpiła po ciężkiej chorobie z zaziębienia, guwernantce zaś jako zagrożonej mocnym rumatyzmem. Jeżeli przypadkiem zdarzyło im się, przez ostrożność źle wyrachowaną, spotkać się razem przy kolebce, wyrzucały sobie nawzajem z pewnym wyrazem gniewu. — Cóż tu pani robisz? Twe zaziębienie, Wiesz dobrze! — A ty Saro, dlaczegoż tu jesteś! Zapomniałażes o twym rumatyzmie? — Słyszałam dziecię płaczące, pani. — To nieprawda Saro, Ja nie śpię od dwóch godzin, Lucylla się nie poruszyła. — A więc dlaczegoż tu panią zastaie? Wymówki te kończyły się na obustronném wpatrywaniu się w dziecię jaśniejące kropelkami spocenia, jak Anioły; bo dzieci w czasie snu zbliżają się ku niebu. Niemówią nam otém bo zbudziwszy się, zapominają.

Sara ma lat czterdzieści i cztery, od dwu-

dziestu już służy pani Philipps, wychowała ją i przywiązała się do niej jak matka do córki, Mistress równie nie jest obojętną na przychylność stariej domownicy. Dom misstress Philipps oddychał tą piękną niezależnością majątku mieszczan angielskich, i wszystkich mieszczan europejskich, będącej skutkiem przemysłu i zabiegłości. Bez zbytku. Prawdziwy środek między szlachcią i ludem. Mało blasku, dużo porządku. Żadnych mebli okazałych, ale obfitość srebra, i bielizny. Cnota, porządek, wszędzie się okazywał, grzeczność wyszukana w służących, łóżka posłane o dziewiątej godzinie, koty angoryjskie zasypiające w wygodnych krzesłach, papuga poważna z swego wieku, drzemiąca na jednej nodze jeszcze od czasu odkrycia Ameryki, na ścianach obrazy których przedmiot wyjęty z starego testamentu, wystawiał jednak osoby noszące peruki parlamentarskie, i sprzączki u obuwiu, obejście domowe skromne, jakby połączona pod jednym duchem, cichość świątyni metodysty i wystawność holenderskiego kantoru.

Mistress Philipps nie przyjmowała u siebie od wyjazdu męża, tylko starego, otyłego doktora, który siadając z brzegu, kanapy zajmował miejsce za trzech, a gdy usiadł w środku, zostawał obok siebie tylko dwa małe przedziały.

Nazywał się Young, niemając jednakże najmniejszej stycyzności z melancholicznym tegoż charakterem.

Był on doktorem mistress Philipps kiedy była panną, również i jej matki, co mu nadawało powagę patriarchy w ich domu. Powiernik ufności ludzkich, doszedł przez wpływ swego powołania do poznania skrytości duszy. Jako przyjaciel matki mistress Philipps, on to przyczynił się do zamęczenia téjże, wskazał rozsądne użycie majątku, i on to jeszcze teraz, pocieszał ją w przykrém pozyciu opuszczoną przez niedobrego męża. Jego udział w tym nieszczęśliwym związku wkładał na niego obowiązek osłodzenia smutnych jego skutków, powinność tę wypełniał z poświęceniem ojca przeznaczonemu na naprawienie błędu, którym zachmurzył szczęśliwą przyszłość swego dziecka. A kiedy siły jego wychowawicy upadały pod ciężarem udręczeń, kiedy cierpienie moralne działało na krew, i zamieniło się w słabość febryczną, Doktor Young równie umiał zwalczać słabość, środkami swój sztuki, jak smętność, wyrazami pociechy. W tym to czasie, zwykle pokazywał jej Lucyłkę, to zachwycające dziecię, które przez swe pieczyoty i wdzięki, zdołało sprowadzić uśmiech nadziei na blade usta mistress Philipps. Ocalał co dzień żonę, cieszac matkę, jak czasem leczy się jedną boleść usmierzając drugą.

Przez niepojętą własność swego szlachetnego powołania, doktor Young okazywał tę samą czułość ojcowską w dwudziestu różnych domach, nie przebranym będąc w wyrazach słodkich i przyja-

znych. Ocenianoż dobrze, (myślę że nie, boję się niewdzięczności ludzi), poświęcenie tego człowieka, który gdy ty myślisz o fortunie, on myśli o twém życiu, które mu powierzasz zniszczone walkami świata i namiętności; cieszysz się odzyskawszy zdrowie, niezachowawszy wspomnień wdzięczności dla niego. Operacja poprzedziła jego objad, operacja czeka jego obudzenia: jego ręka zdrzeć nie może, jego napój upajający, woda. Ty się śmiejesz, on myśli; tańczysz przy odgłosie instrumentów, i światło lamp, a on przyjmuje w swe objęcie młodą małżonkę, której boleści są skutkiem balu; przepędza ośm godzin przynajmniej, powtarzając:— Cierpliwości pani, zostaniesz matką. Potém wychodzi. Ale człowiek z latarką w rękę, czeka nań w progu drzwi. Musi z nim iść! Gdziesz się udaje? Starzec został tknięty apoplexją. Otóż i jest przy starcu. Tam nadał życie, tu ocala od śmierci. Przywraca życie starcowi, rodzina jego pada mu do nóg, dziękując że jęj zachował ojca. Jego istnienie jest ciągłą walką z zupełnem zniszczeniem; widzieć ludzkość zawsze cierpiącą, w niebezpieczeństwie, bladą i walczącą między życiem i śmiercią. A kiedy dziecię ocalone, gdy starzec dzięki jemu, ogląda niebo, gdy róże zakwitają na licach dziewicy; dają trzy franki za wizytę temu aniołowi zmartwychwstania, on je bierze i milczy. Liczyłeś jego wizyty? A czy liczyłeś siwe włosy jego, i zmarszczki? Trzy franki! Prawda, że ostatnie namaszczenie

kosztuje tylko dwanaście! Powiedziałem, że nie ma rokoszy, oczerniłem jego duszę.

Ma on jedną której nigdy niedoznasz; to jest umocnić twe kości osłabione, wlać w nie oznakę życia, zastąpić żółtość choroby, białością ozdrowienia, następnie przywrócić korale ustom bladym, pozwolić ci zrobić jeden krok po pokoju wspartemu na jego ramieniu, następnie dwa, wreszcie zostawić cię samym ufny w twych siłach, a najczystsza, i najstateczniejsza radość jego jest, — i ty się nie domyślasz? — widzieć cię żywym, porywczym, przebiegającym w pędzie na koniu aleję łasku bulońskiego, kiedy on zamysłony, jaśniejący promieniem mądrości, ściga cię wzrokiem w przeciwną aleję. Kocha on cię jako doświadczenie, które mu się udało, jak syna narodzonego.

Gdy długie wieczory zimowe nastąpiły, koło kominka nie było powiększone. Stolik od herbaty wstawiony między doktorem Young i mistress Philipps, zajmował miejsce dwóch foteli; Sara siedziała także ale za kołem, aby mogła prędzej usłużyć, podać mleko, lub arak doktorowi Young; Rag i Lucylka bawili się przed żelazną kratą kominka.

— Doktorze, mówiła pewnego wieczora mistress Philipps nalewając sobie herbatę, chciałabym wnić los Lucylki.

— Ależ pani, los Lucylli jest zupełnie zabezpieczony; odziedziczy twój majątek po twojej śmierci, którą niech łaskawy Bóg oddała jak najdłużej!

— Zapewne, ale ci jest wiadomo, że nie jestem zamężna pod prawem wspólności; mój posąg zupełnie do mnie należy?

— Chciałażebys nim rozrządzać. Na co? gdy bez udawania się do tych ostateczności, tak ci łatwo czerpać z tych dochodów.

— To prawda; ale też to nie obecna godzina mnie zajmuje.

— I cóż więc?

— Mogę umrzeć. Sara wzruszyła ramionami na znak niecierpliwości.

— Otóż znowu powróciły wraz z mgłą twe myśli ponure; spodziewałem się tego. Zobaczmy na co cierpisz?

Sara położyła palec na swém czole, tak, aby nie była spostrzeżoną od swój pani.

— Nie jestem cierpiącą, odpowiedziała mistress Philipps, a jej uśmiech temu zaprzeczał; ale tak daleko ztąd do pełnoletności Lucylli! jedenaście lat jeszcze.

— I cóż z tego! że jedenaście lat? ty będziesz żyć a ja umrę i cała rzecz.

— Ja, to prędjiej umrę, odezwała się Sara, jakoby upominając się o rzecz jej należną.

— Wybornie panie Young, twoja pociecha jest jest jeszcze więcej trapiącą jak moja bojaźń.

Twoja śmierć, lub moja, nie byłaby równem nieszczęściem dla Lucylli, którejby tylko się został ojciec! a jój ojciec!...

— Kiedy tak, to nie umrę, jakem doktor Young; ale skończmy na tém.

— Jeszcze słówko doktorze, ty który jesteś stronnikiem lekarstw uprzedzających, czemuż byłbyś nieprzyjacielem ostrożności, która jest także lekarstwem uprzedzającym moralném? — Saro, nie przerywaj mi, nie prosilam cię o herbatę.

Sara usiadła, okazując doktorowi Young, zmarszczeniem czoła, że nie wie żadnego sposobu zabronienia swój pani mówić, gdy się ten nie udał.

— Chciéj mię posłuchać. Mój posag, o którym mówiłam przed chwilą jest znaczny; będzie należał do Lucylli. Ale jeżeli umrę przed jój pełnoletnością, jój ojciec będzie nim zarządzał, dopóki ona nie wyjdzie z pod opieki; prawo nadaje mu tę władzę. Drzę na samą myśl o tém. Jest to może sześć, dziesięć lat nieszczęścia, może i nędzy dla Lucylli. Biedna Lucylka! dodała przesuwając smutnie rękę w pośród gęstych włosów córki.

Podniosła do ust filiżankę i trzymała ją długo udając że pije.

— No Lucylko, przerwał doktor, nie igraj ciągle z tym psem, on cię w końcu ukąsi.

Lucylla przestała psa zaczepiać. Sara nie zważała, iż słodziła po raz trzeci herbatę doktora.

— W tym stanie rzeczy doktorze, trzeba by sprzedać posiadłości z których się składa mój posag, powierzyć ich wartość, uczciwości przyjacielowi, który gdybym ja umarła, oddał by je w ręce mej córki albo zarządzał niemi aż do jej pełnoletności. Tym sposobem uniknęlibyśmy nieszczęśliwej opieki jej ojca, a Lucylla, moja droga Lucylla byłaby ocaloną? Jestże ten przyjaciel tak trudny do wynalezienia! dodała, biorąc swą córkę i składając ją w ręce doktora.

— Ale czyli to tak pilne, mistress Philipps? twoja wyobraźnia zbyt żywa łudzi cię, wierząc mi, two zdrowie jest lepsze niżeli sobie wystawiasz.

— Niechże i tak będzie; ale cóż stracimy na tej ostrożności, będę lepiej spała doktorze, a ja tak mało śpię.

Ta ostatnia uwaga była dostateczną.

— Kupuje więc twe dobra; na honor, nie byłbym nigdy posiadał ich tyle w mém życiu.

— Zanotuj sobie ołówkiem panie Young:

Trzy folwarki w Westmoreland, pastwiską w Lincolshire, kopalnię w Kornwalji, mleczarnię w Middlesea. Burns mój notariusz, poda ci spis wszystkiego. Czekam cię jutro z obiadem panie Young.

W udanej obojętności jaką misstress Philipps rozrządzała swym majątkiem, Doktor aż nadto dobrze spostrzegł osłabienie nagle, tej dobrej i przeczorniej matki. Nie śmiał ganić zbyt jej przecucia, widząc tę młodą niewiastę za ledwie

w dwudziestym ósmym roku, gasnącą, bledniejącą, a jęj zęby przybierające nadzwyczajny blask, którego nie miały już jęj oczy. Przyzwyczajony długoletniemi dostrzeżeniami z łatwością rozpoznawać znaki bliższego zniknięcia, martwił się widząc czułość nerwową mistress Philipps, wywijającą się gwałtownym sposobem. Za najmniejszym szelestem budziła się nagle, najłżejszy zapach wprowadzał ją w mdłości, a łzy jęj płynęły pomimowolnie po licach, gdy dźwięk instrumentów dochodził jęj uszu. Jęj nos długi, palce przezroczyste i wyciągnięte, żółte jak wosk, ściągaly się gdy chmura obciążona elektrycznością zakrywała dzień. Te organa mają życie kwiatów, ściągają swą powierzchnią woniącą bieg słońca, obumierają z jego zachodem.

Doktor zaniosł do kolebki Lucylkę śpiącą w jego objęcin, poczem wziął czule rękę jęj matki i rzekł. Położ się także mistress Philipps, jesteś bardzo wzruszoną, ciało twe jest rozpalone. Saro przyrządź rosół z kurczęcia dla pani. Niech ci bóg da dobrą noc; i odszedł.

Mistres Philipps zagłębiła się w krzesło stojące przed ostatnim odbłyśkiem ognia wieczornego.

Nieszczęście domowe mistress Philipps, miało swój początek, w związku dumnym, nakazanym przez nierozsądną ambicję jęj ojca, bogatego kupca żelaza w City. Pewien Par angielski zniszczony na majątku, ofiarował swoje pargaminy i syna, w zamian za ładną, interesującą Annę Wilkins, i jęj

piękny majątek. Kupiec żelaza Wilkins, wystawiając sobie że tytuł był najwłaściwszym sposobem uwieńczenia majątku handlem zarobionego, wydał córkę za mąż. Kupcy i wielcy panowie, śmieli się z tak niedobrych związków. Były one w istocie nieszczęśliwe. Mistress Philipps zostawszy wielką damą, przestała dla dopełnienia przyzwoitości uczęszczać do swych przyjaciół, a wielkie damy także dla przyzwoitości niechciały przyjąć między siebie dziedziczkę tego, który dostarczał ich pałacom zawias i zamków. Wynikła ztąd dla Anny Wilkins samotność, nieosłodzona nawet przytomnością jej męża, który dniem i nocą z niezmordowanym zapałem w prowadzał w obieg talarki swego teścia. Lord Philipps grał w giełdę. Wygrał, przegrał. Ale że wydatki polityczne, wpływające na podwyższenie i niżenie kredytu, nie sprowadzały zawsze żadanego skutku, szlachetny lord oprzykrzył sobie ulegać ich kaprysom, odważył się sfałszować nowiny publiczne, i puścił w obieg zmyślone; to mu się udało pierwszym razem, za drugim zaś ściągnęło nań karę wywiezienia z kraju. Choć mistress Philipps daleką była od przywiązania ku swemu mężowi, żywo jednak uczuła ten wyrok. Część tej niesławy mogłaby spłynąć na jej dom, na jej córkę Lucyllę, narodzoną w tej nieszczęśliwej epoce jej życia; boleść ta nawet, nie była zmniejszoną myślą że lord Philipps powróciłby z wygnania poprawiony przez nieszczę-

ście. Listy jego datowane z Sidnej w Nowej Galji zawierały nieustanne żądania pieniężne, tohnące groźbami, i życzeniem niegodziwém spieszne go doczekania się śmierci żony, aby zarządzać jęj mjątkiem aż do pełnoletności Lucylli.

Pojmujecie teraz, dlaczego mistress Philipps, któraby się wstydzila przyjąć tytuł lady, tak się starała uchronić swój posąg od cheiwości męża, zapewniając go córce, sposobem który podała doktorowi.

Ze znużenia zasnęła z rękami złożonemi na serce, gdzie było źródło jęj boleści.

Rog spał przy jęj nogach, zanurzywszy pyszczek i łapki w ciepłym popiele.

Ostatnie czerwonawe światło węgla oświecały jęgo obrózkę miedzianą, około której odrysowane były czarno: trzy gołębie, herb lorda Philipps i i te słowa:

Należę do dobrej malęj hrabianki Lucylli.

II.

W ósm dni od owego wieczora, drzwi i okna Mistress Philipps były pootwierane. Było to bezprzykładne zdarzenie w tym domu, tak spokojnym i porządnym.

Pomieszana mistress Philipps, badała Sarę również przerażoną, obiedwie stały na progu drzwi.

— Czyś dobrze patrzyła wszędzie? Nie strasz mnie Saro tą postawą.

— Wszędzie pani, przysięgam ci.

— W ogrodzie?

— W ogrodzie, na podwórzu, za drzwiami, w szafach.

— Wiesz, że Lucylla kryła się czasami za parawanem, może się tam znajduje. Przewróciłam go pani.

— Za łóżkiem, idź zobacz za łóżkiem!

— Wysunęłam łóżko na środek pokoju.

— Mistress Philips tupnęła nogą.

— Więc już ma być zgubioną? chodzisz na górę?

— Dziecię tam nigdy nie chodziło pani.

— Idź tam! ona jest na górze.

Sara zawołała z okienka góry:

— Nie pani.

— Na dachu Saro? musi tam być.

— Niéma jój pani.

— Zejdź; ty... ty nie nie umiesz znaleźć.

Na tę głośną rozmowę między Sarą i jój panią, sąsiedzi poruszają się, idą do okien; inne okna się otwierają, inne piętra idą za przykładem, ulica w ruchu.

— Betty! Betty!

— Czego chcesz Saro? Czy ogień się zajął w mieszkaniu?

— Niéma u ciebie naszej drogiej Lucyłki?

— Nie. Czyście ją zgubili?

— Zgubili od dwóch godzin.

— Okrutnie! zapytam się Jenny; ona ją tak kochała.

Jenny jój nie widziała, ale udaje się do Anny mieszkającej naprzeciwko, Anna do Małgorzaty w domu narożnym, Małgorzata do praczki, praczka do haftarki. Zamieszanie obiega z jednego do drugiego domu, każdy odpowiada rozmaicie żałośnym głosem: „Nie.“ To nie, przechodzi z piętra na piętro aż do uszów biednej matki, chciwej odpowiedzi i drżącej w prógu drzwi. Okrutna pewności, dziecka już nie ma w tej części miasta.

— Saro, poradźże co, patrzysz się na mnie i stoisz pomieszana! widzisz, ja nie tracę odwagi.

Była cała sina.

— Teraz kiedy ja rozmyślam, ty się nie zastanawiasz nad niczem, jesteś jak umarła. Jest u swój ciotki z swą małą przyjaciółką, albo u stariej pani Rot co jój daje ciastka. Idźże tam.

Mistress Philipps już tam była sama i powróciła.

— Nie ma jój nigdzie, Saro, mówiła Mistress Philipps głęboko wzruszona, a pani Rot umarła.

— Umarła! ta dobra, i godna niewiasta.

— Cóż to nas obchodzi. Gdzież może być Lucylla.

— Ah! gdybym tylko wiedziała pani:

— Trzeba ją jednakże znaleźć, rozumiesz mnie,

— Zapewne pani.

— Odwagi Saro, albo postradamy rozum. Rozważmy; Lucylla przeszła Euston square, nieprawdaż? Znajdowała się wtenczas na ulicy Sejmur. Cóż ja mówiłam Saro?

— Że się mała znajdowała na ulicy Sejmur.

— Ztamtąd udała się do Drummond Crescent i na Clarendon square, na lewo Clarendon square jest... Tracę głowę, pomóż więc Saro... ulica Union, na prawo Chalton. Te dwie ulice prowadzą... prowadzą... mój Boże! nie wiem gdzie, wszędzie Londyn! czterdzieści tysięcy domów, milion ośmkroć sto tysięcy mieszkańców. Którędyż przeszła? jakąż drogę obrąć? Twoje milczenie zabija mnie Saro.

— Mistress Philipps, zawołał głos z wyższego piętra sąsiedniego domu, biegnij do Streetkeeper, on wyśle swoich ludzi w ślady twego dziecka.

— Oh dziękuje ci poczciwy człowieku, dziękuję, biegnę tam, żeby też o tém nie pomyśleć.

— Ale to czas stracony, ta twoja rada kumie, przerwał głos dalej dochodzący. Wkrótce będzie noc, a Konstabl i jego ludzie, nie są koty, nigdy nie znajdą tego dziecięcia, śpiącego może w kącie na śmieciach.

— Oh! zawołała mistress Philipps, moja córka!

— Na co Konstablów, mówił dalej przerywającej mowę, wezwijcie raczej strażników, oni mają

haki i latarnie, to co innego, ich rzemiosłem jest szukać. Idź pani więc do bióra Wathmen.

— Dobrze, poczciwy człowieku, idę, ponieważ mi radzisz.

— Uczyni lepiej, doszedł głos z domu bardziej oddalonego, Wathmen dobrze to jest, ale Wathmen wychodzą na straż o drugiej. Do tego czasu, dziecko może się dziesięć razy utopić w Tamizie.

— Utonąć, Mistress Philipps oparła się o mur. O Boże! jak oni mówią o mojem dziecku!

— Najprzód idź do bióra dziennika wieczornego, i przez doniesienie, które cię będzie kosztować dziesięć szylingów, żądaj twojej córki. Dzienniki idą wszędzie.

Mistress Philipps była już na końcu ulicy, żeby się udać do bióra dziennika. Gdy głos wychodzący z piwnicy piwowara zwrócił ją.

— Prędzej lub później twa córka będzie ci powróconą przez Wathmen lub agentów Konstabla, ani wątpić, jeżeli jest w Londynie, jeżeli zaś jej niema, to płonna nadzieja. Na twém miejscu, starałbym się odwrócić największe niebezpieczeństwo. Kominiarze kradną małe dziewczynki, ubierają za chłopców i każą terminować, znasz historję Lorda Melbourn; albo cyganie przywłaszczają je sobie, aby z nich zrobić tancerki na linach.

— Powiedzże mi, gdzie mam iść, zawołała Mis-

mistrz Philipps w rozpacz, nie wiedząc jakiego zdania się trzymać.

Jeżeli nie porwali jój Irlandczykowie, jak ty kupcze piwa, odezwał się majtek przechodzący; co je kradną i zawożą do Włoch, aby z nich zrobić małe żebraczki.

Kupiec piwa który się sam zdradził swoją mową, odpowiedział na wykrzyknienie majtka.

— Albo psy morskie, jak ty, którzy odpływają z niemi do Botany-baj gdzie z nich robią Bóg wie co.

— Milcz chmielu!

— Milcz ty smoluchu!

Wyraznie rozprawa zamieniła się w kłótnią; każdy się wniósł, Irlandczykowie i Anglicy grozili sobie pięściami przez okno. Zapomniano już o dziecku, a mistress stała gdyby w ogniu, tupiała, pozerwała oczyma odległość z jednego rogu ulicy na drugi, ażeby z téj burzy mogło wyniknąć jakiegokolwiek postanowienie. Po półgodzinnéj walce między Irlandczykami i Anglikami téj części miasta, gdy wszyscy odeszli od okien, jak gdyby głównym przedmiotem który zwrócił ich uwagę, była jedynie kłótnia między majtkiem i kupcem piwa, ten zaczął znowu:

— Mojém zdaniem jest, aby pani poszła do bióranadzoru obcych, włóczęgów i od Admiralicji, aby dziecę nie wyszło przez rogatki, jeżeli nie jest za późno. Szczęść ci Boże mistress Philipps.

— Saro!, moja dobra Saro! zawołała w uniesieniu natchnienia matka stroskana, zapomnieliśmy o Doktorze Young, nie ruszaj się z miejsca zaklinam cię na duszę twój matki.

— Chociażby i na wieczność pani.

— Zostań tu aby ją odebrać jeżeli ją odprowadzą, Daj, otwórz moje biurko, daj Saro, oto masz klucz, 10,000 funt: osobie która jęć będzie towarzyszyć, więcej, jeżeli zechce, wszystko, jeżeli zażąda.

A mistress, jakby dla nagrodzenia czasu straconego, biegnie do New-Road, dostaje się do Tavistonsquare, przebywa Rossquare, i z pośpiechem kobiety mającej ogień w sukni, wchodzi w Oxfordstreet. Oxford-street, piekło hałasu i tłumu. Nasza ulica St. Honorjusza, jest siedliskiem szczęśliwych, w porównaniu Oxford-street, jest to cieśnina przez którą przechodzą wszystkie strumienie miasta do innych mórz, jest to spadek katarakty. Szeroka i dobrze opatrzona trotoarami, jest zarazem główną ulicą, przechadzką i składem, uszy obcego są rażone ciągłym turkotem, dylizansów, pojazdów, tworzących gatupek zgiełku, który się rozpoczyna grzmotem, a kończy trzęsieniem. O-tóż mistress Philipps w Oxford-street, nie nie słyszy, lub raczej, (jęć uniesienie jest tak wielkie), słyszy tylko słaby głos Lucylli, wołający, mamó! pod kopytami końskimi. Patrzy pod każde koło; potem zbliżając się do gromadek dzieci, omija je, przekli-

na je prawie. Weszła na wzgórek aby dojrzeć dalej, szuka w tej massie ludzi i koni, kapelusika różowego, fartuszka zielonego i białej sukienki. Cóż spostrzega? biegnie, omija dwie piasty kół kabrioletu, między którymi nie przeszła by jej córka, ale matki szukające swych córek nie znajdują przeskód. Cóż rozróżniła? Oto kapelusz różowy, lecz nie jest to nawet dziecię. Niesiony przez modniarkę kapelusz, sprawił jej to złudzenie. Zawiedziona nadzieja sił ją pozbawia.

Jej dziecko, jest raczej ta blondynka która tam bieży! Ale Lucylla miała kapelusik różowy; może go zgubiła, lub też ukradziono go: nie wchodzi w to. To Lucylla, ona tego chce.

Mistress Philipps nie ma już sił do chodzenia, leci. Dziecię biegnie także.

— Oh, to Lucylla, szuka mnie, gdybym ją jeszcze miała stracić. Lucyлло! Lucyлло! Nie słyszy mnie, Mój Boże, ucisz ten turkot powozów! Lucyлло! Niechże upadnie, choćby sobie miała rękę złamać. Mój Boże, nie, nie dogonię jej! Niech umrę, mój Boże, bylebym tylko doszła. Serce biednej matki jest rozdarte, oddech jej wychodzi tylko z bolesną ciężkością, cierpi bardzo na bok.

Dziecię się zatrzymuje.

— Czego pani chcesz od Lucylli i zkąd wiesz jak jej imię?

To dziecię nazywało się także Lucylla, imię powszechne w Anglii. Mistress Philipps badała się w tej

chwili okropnego oszukania, za jakie winy, Bóg wystawia ją na taką igraszkę losu.

Ten cios osłabił ją. Wysilona, pada na ławkę jakiegoś placu. Z zadziwieniem lunatyczki, która chodząc długo, budzi się wreszcie, znalazła się w Saint-Pancras-Fields, placu pustym, smutnym bez drzew, gdzie był tylko cmentarz i kościół. Małe dziewczynki ubrane biało, były tam zebrane, i nie bawiły się; myśl poważna je zajmowała.

— Na co tu czekacie? spytała Mistress Philipps jednej z nich.

— Byłażbyś pani matką małej dziewczynki utopionej, na której ciało czekamy, aby mu towarzyszyć na cmentarz.

Mistress Philipps zadrżała, i zawołała głosem przerażającym dziecko.

— Utopionej! i kiedyż!

— Wczoraj pani, ty wiesz dobrze, ponieważ jesteś jej matką.

— Oh nie, moja córka żyła jeszcze tego rana. Znajdują się więc matki nieszczęśliwsze odemnie; pomyślała sobie.

— Czy twoja córka umarła tego rana pani.

— Nie umarła, zginęła w Londynie i jej to ja szukam.

— Nie płacz pani. Ja także zginęłam gdym miałam czwarty rok, przez nieuwagę mojej nianki, i odprowadzono mnie do domu.

— Odprowadzono cię i żywą?

Dziecię zaczęło się śmiać.

— Tak, odprowadzono mnie; bo mnie nauczono mówić. Ja się nazywam Zofja Veron, mieszkam na Keppel-street Numer 20.

O ja nieroztropna, czemużem jęj tego nie nauczyła.

— Twoja córka powie to samo i będzie ci oddana.

Missstress Philipps oddaliła się płacząc.

Młoda uczennica zwróciła ją. — „Pani gdy znajdziesz twoją córkę, umieść ją na pensyi, u nas; będziemy bardzo kochały tę drogą towarzyszkę.“

Rozpacz idzie stopniowo; uie zabija odrazu. Bez tego byłaby zła! Opuszcza nas, opanowująca nas, zmienia swe siły, żartuje z nas, kłamie. Nadzieja nie odstępowała w najgwałtowniejszej rozpacz. Przesiliły się łzy missstress Philipps? Nawiwna spokojność dzieciny poruszyła jęj serce. Wiatr chłodny, pochodzący od Tamizy, wyciągnął jęj nerwy, i zmiękczył powieki; było to boskim balsamem dla nięj, płakać głośno idąc, i przez potok łez, postrzegać te linje kryształów i gazu. Była noc; tēm lepiej, nie widziano by jęj. Była tak zmęczona nudząc drugich widokiem swęj boleści! Rozpacz ma jednak skromność. Słyszano by ją; i nie więcej, wzięto by ją za zgłodniałą żebraczkę. Czemuż nie była zgłodniałą żebraczką, trzymającą swe dziecię za rękę!

— Dotąd, myślała sobie, szukałam mojej córki, alem się o nią nie pytała. Sprobujmy, to daleko lepiej.

— Pani, zapytała się człowieka, którego szybki chód, świadczył że szedł z daleka, czy nie słyszałeś mówiących, że znaleziono małą dziewczynkę cztero-letnią... ładną... mającą kapelusik różowy, fartuszek zielony i białą sukienkę?... Jestem jej matką: odpowiedz proszę, zrobisz mi łaskę.

— Pani, odpowiedział przechodzący, czy nie słyszałaś mówiących że znaleziono trzy tysiące suwerenów, które przegrałem w domu gry? Są nowe, wybite z popiersiem króla Wilhelma. Byłem ich właścicielem: odpowiedz proszę, zrobisz mi przysługę.

Biedna matka myślała że mówi do człowieka, a to był gracz. O sto kroków dalej, ona była zaczepioną.

— Pani płaczesz?

— Czyż pan nie widzisz?

— Czy ci się jakie wielkie nieszczęście przytrafiło?

— Straciłam córkę; znaszże większe nad to!

— O znam; na przykład, potrzeba uciekania się do podobnego wybiegu i to bez skutku. Choć i pani jesteś dziesiąta z kobiet spotkanych przeze mnie od godziny; którym podobne nieszczęście się przytrafiło; nie odmówię ci mych przyjaznych pocieszeń. Chceszże abyśmy zaczęli od kolacji. Mis-

tress Philipps nie mogła się zaczerwienić, nie miała już krwi na twarzy; nie mogła płakać na taką obelgę, bo już pierwej płakała. Ukłoniła się starcowi i odeszła.

Przyszedłszy na mały plac, między brzegiem Tamizy i ulicami jej przyległemi, usłyszała odgłos dzwonu. Było coś nakształt snu w jej głowie. Potem zobaczyła dziecię niosące pochodnię, której światło żółte, oświecało twarz chudą człowieka bardzo wysokiego, zdającego się wyższym przez trojgraniasty kapelusz, niebieski długi surdut, na który wywijał się kołnierz czerwony, przez ponczochoy białe przerabiane niebieskim, i ogromne trzewiki ze sprzączkami. Ten sługa kościelny był w towarzystwie drugiego jeszcze chłopca, z dzwonem, którego odgłos ściągnął uwagę mistress Philipps.

Na środku placu ten człowiek zatrzymał się, pierwsze dziecię podniosło pochodnię, drugie poruszało mocno dzwonem. Na ten odgłos, ze wszystkich ulic zbiegli się na plac, żeglarze, handlarze ostryg i dzieci, wołając: Bellman! Bellman! słuchajmy!

Bellman, znaczy człowieka z dzwonem. Jego urząd? zaraz się dowiemy.

Dwieście głów z kształtu ludzkich, a śledziowych z zapachu, okrążyły głowę kościelnego sługi.

— Milczenie w imię Króla!

Mistress Philipps weszła między kupcowę ostryg i przewoźnika; jedną czuć było rybami, drugiego smołą.

— Zgubioną została dzisiaj około czwartej, z południa mała dziewczynka cztero-letnia.

— Skradziona, powtórzyła głośno kupcowa ostryg.

— Przez kogo ponieważ, wiesz? zapytał Bellman.

— Złapana!

Kupcowa ostryg umilkła.

— Skradziona lub zgubiona, tém gorzej, na co pozwalają biegać dzieciom po ulicy?

— Milcz stara Sybillo! tyś dozwoliła spalić się twemu malemu synkowi zeszlęj zimy.

— To nie obchodzi nikogo, jeżeli się spalił to moja szkoda.

— Mówię dalej:

Mała dziewczynka cztero-letnia, mieszkająca w Euston-square, parafia Saint-Pancras.

— Mistress Philipps przybliżyła się aż do wewnętrznego brzegu koła.

— Jest ubrana jak następuje: Suknia biała.

— To córka jakiegś Lady.

— Cichość!

Mistress Philipps chłoneła wyrazy wysokiego Bellman, który dalej mówił:

— Suknia biała, fartuszek zielony.

— Ah! była ładna przynajmniej. Inne kobiety ocierały sobie oczy fartuchem.

— Biedna matka, gotowa była uściskać każdą matkę która płakała.

— Fartuszek zielony, i kapelusz biały! odpowiada na imie Lncylli. Sto gwinei, kto ją odda matce.

— Mylisz się panie, mylisz, dziecko ma kapelusz różowy.

— To ona ukradła dziecko! tak! zabrzmiało tysiąc głów.

— Widzisz jak jest okropna, jak błada, to złodziejka dzieci, widzicie.

— Patrzcie na jej suknię podartą, jej włosy rozlatujące się, oto złodziejka.

— Oddaj nam Fanny skradzioną ostatniego lata, tyś to ją uwiozła do Irlandji.

Oddaj nam Johna, Petersa. Co z niemi robisz czy je chrzczisz czy je zjadasz?

Bellman wołał na Konstabla. Dziecię z pochodnią drżało, dziecko od dzwonu, dzwoniło, mistress Philipps z rozpaczą wołała:

— Nie ukradłam jej, bo jestem jej matką!

— Kto by ci wierzył?

— Na Boga, prawdę mówię!

— Tyś jej matka, ty, błada jak zbrodniarka.

— Jestem jej matką!

— Ty z twemi włosami zwieszonemi i zbłocnemi jak porost skały,

— Jestem jój matką!

— Ty, z suknią podartą jak sieć stara.

— Jestem jój matką!

— Ty nędzna! ty bezczelna! ty niegodziwa!

— Będę tém wszystkim, ale jestem jój matką.

Wtém jakaś kobieta, zmieszana przedziera się przez tłum, niosąc dziecię na rękę.

— Oto jest dziecię! powiedziała, znalazło się! moja nagroda, sto gwineów!

— Weź że je więc! powiedziały kobiety patrząc na mistress Philipps.

— Ach to nie jest moja córka. Cóżbym z nią zrobiła? Ale oto złoto na jój wychowanie.

— Huzza! huzza! krzyknęli wszyscy, oto dowodzi! to pocziwa matka, ale nie złodziejka dzieci. Dziecię przyniesione było tylko widocznym podstępem aby wiedzieć czy mistress Philipps zgubiła swoje, lub czy była tą która z rzemiosła wykradała dzieci. Przed chwilą znieważono ją, teraz żałowano, chciano ją bić, teraz uwielbiano!

Bellman udał się dalej z pochodnią zapaloną, przy odgłosie dzwonka; i w każdym kącie, majtkowie odejmując od ust fajki, wołali. Zgubione zostało dziecię, imieniem Lucylla, z parafji Sgo Pankracego, sto gwineow temu kto ją odda. A matki budzące się temi krzyki, przyciskały do łona swe dzieci z przestraczem. Tak zbliżył się ten orszak aż do

Euston-square. Tam pożegnał mistress Philipps i obiecał szukać jej córki.

Była druga po północy, dziesięć godzin jak mistress Philipps była nieobecna. I dziesięć także jak Sara na progu drzwi podług rozkazu swej pani, czekała odprowadzenia dziecka. Świeca dogorywająca paliła się przy nogach Sary. Ulica była pustą, obojętni spali.

Obie niewiasty zrozumiały się, Sara wzięła świecę i poświeciła swęj pani, poczem zamknęły drzwi za sobą. Powiedziano, że to po dopełnieniu obrządku żałobnego, powrót z cmentarza. Następnie usiadły naprzeciw siebie, przed ogniskiem, nie zważając że było zgaszone, zimno było nadzwyczajne.

Po pół-godziny milczenia, którego sobie nie śmiały przerwać; mistress Philipps rzekła:

— Saro, wiesz, że ci, którzy nie jedli obiadu o tej godzinie muszą być głodni.

— Pani, nie pomyślałam dzisiaj o obiedzie.

— Saro, wiesz, że ci, którzy nie mają ognia, muszą doznawać zimna.

— Przypominasz mi pani, rozpalę ogień.

— Saro, wiesz, że ci, co nie mają łóżka, w takie zimno zły sen mieć muszą.

— Przebacz mi pani, ale nie myślałam o posłaniu łóżka, zaraz się tém zajmę.

— Saro, Lucylla nie jadła obiadu, jej zimno, jej się spać chce!!

Po tych wyrazach, oschłych jak maligna, matka zamilkła.

Postąpiła do łóżka swój córki; jeszcze był znak gdzie leżała; poduszka zachowała nagięcie jój głowy; matka pocałowała to wyciśnięcie, a gdy powstała, przez przyzwyczajenie, obeszła łóżko jak by w nim była Lucylla, zdawało jój się, że dała nocne pocałowanie swój córce. Ciagle tak mechanicznie, odsunęła firanki, i wtedy poniosła palec da lampy aby ulagodzić jój światło, spostrzegła Sarę, która patrzyła smutnie na jój czynności, z postawą litosci, z jaką się uważa poruszenia nie-szczęśliwego, pozbawionego zmysłów.

Padły w objęcia jedną drugiej, i przeszła więcéj jak godzina, a one nie myślały się rozłączyć. Dwie głowy były zwieszzone, cztery ręce wisiały. Trudnooby było poznać, która była matką po wyrażeniu boleści.

Bóg zsyła czasami na rodziny jak na ludy, wypadki, które przywracają równowagę złamaną przesądami, a radość odzyskuje się we łzach. Chociaż mistress Philipps niebyła nigdy dumną, uczuła się zupełnie silną, tylko przez podporę Sary i jój prostych rąk, które jój dłonie ścisnęły, i całej téj dobrej istoty, która podzielała tęsknotę matczyńską, nie mając chlubnej rozkoszy nazwania się matką. Sara była gotowa podziękować swój pani, że z nią razem cierpiała. Smutny to był widok, ta boleść przedłużona i bez głosu, niema,

ciekąca wewnątrz jak rany śmiertelne. Ta lampą oświecająca, to żółtym, to czerwonym promieniem kolebkę bez dziecka. Smutnie było widzieć, jak to co ma zginąć, ulatywało nad tym co znikło; smutnie, jak gniazdo jaskółek, którym potłuczono jajka, i które oświecają na brzegach, promienie zachodniego słońca.

Dzień zaczął świtać; dzień ciemny, mglisty; zorza miażd. Obie niewiasty były nieruchome jak dwie bryły lodu, nagle ich ciała się rozłączają i dwa głosy dobrowolnie wydobywają się z ich piersi.

— Saro!

— Pani!

A jedna przytyka ucho do drzwi, druga do okna.

— Czy słyszysz? nie, nie myślę się Saro.

— To on pani.

— Jesteś pewna.

— Tak pani, to on, jest na rogu ulicy.

Nic nie może wyrazić uniesienia ich słuchu.

— Oh, tak. Cicho, zdaje mi się że go już nie słychać.

— Oh, słyszę go już!

— Ach! to Rog Saro!

— To Rog pani zbliża się, jakby wołał.

— Odprowadza mi moją córkę!

— Nasza córkę pani.

— Ah! Bóg nie opuszcza biednych matek!

— Saro, od zmysłów odchodzę. Czy słyszysz jak szczeka. On nigdy nie szczekał. Szlachetny pies! Szlachetne zwierze! Saro! bieźmy, bieźmy szybko; Tak, Róg, tak, mój synu. „Dzięki ci mój Boże!!“

Mistress Philipps upadła na kolana, nie mając siły otworzyć psu, który szczekał dziwnym sposobem.

Sara straciła głowę, szła do okna, potem do drzwi. Odechodziła aby wziąć lampę i napróżno, bo już był dzień. Wkońcu otworzyła.

Róg szczekał i wył u bramy ulicy.

Mistress Philipps powlekła się do drzwi pokoju, potem na podwórze, przytykając czoło do żelaznych krat schodów.

Róg szczekał i wył ciągle.

A do jego szczekania mieszały się teraz wyrazy kilku ludzi. Jakiś wypadek zapewnie.

Gdy brama od ulicy została otwarta, Rog wpa-
da do pokoju, brudny i zbłocony aż do pyska.

Ach niegodziwy złodziej! pomrúkał człowiek z dołu schodów, wasz pies ukradł mi łopatkę barania, ale mi za nią zapłaci, niech go tylko złapie.

Róg przyniósł tylko kość z łopatki którą ukradł i pożarł chodząc po ulicach Londynu. Pokre-
cił się dwa razy po dywanie, włożył kość między łapy, głowę na grubiej części kości i zasnął.

Rachujcie na instynkt zwierząt!

III.

W tym samym salonie gdzie byliśmy świadkami na początku téj historii, sceny wewnętrznej, obrazu familji, tak pełnego dobroci i szczęścia, znajdujemy też same osoby, doktora Young, Sarę i mistress Philipps, lecz bardzo wszyscy zmienieni od owego czasu.

Próżnoby chcieli się pocieszyć, odwagi im brakuje; Mistress Philipps miała twarz zakrytą chustką, palce blade i pomarszczone, siedziała na fotelu, rękę prawą tylko puściła doktorowi; jest osłabiona. Żadna skarga nie wychodzi z jęj ust, żadna łza z jęj oczu. Wszelka moc już z nięj wyczerpana.

Nieszczęście jak czas działa. Sara zestarzała się o dziesięć lat. Stała się niedołężną.

— Nie wyrzucaj sobie pani, żeś do mnie nie przyszła w twoim nieszczęśliwym celu, nie byłabyś mnie zastała, byłem na wsi.

W samęj rzeczy, mówiła mistress Philipps głosem stłumionym bez zmienienia postawy, musiałeś być nieobecnym dla spraw mojego majątku. Tak, zdaje mi się, żeś się prosiła, abyś się udał do pana Burns, mego notariusza, dla sprzedaży mych posiadłości, i umieszczenia ich aż do czasu pełno-letności Lucylli. — Przebacz doktorze

żem zapomniała podziękować ci za twoje trudy.

Nie sądząc właściwie mówić o tym przedmiocie, doktor umilkł, ale zatrzymał rękę mistress Philipps, którą wzruszenie nerwowe wstrząsało. Była to rozmowa, którą wypadalo oddalić ile możności.

Mistress Philipps trwała w swoim, i tonem przerywanym przez oddech krótki i dyszący, zaczęła mówić:

— Próżny trud! Cóż zrobię z temi pieniędzmi? To bardzo ciężkie. — Aby skończyć ten przedmiot, doktor przerwał spiesźnie.

— Nie jeszcze nie jest zrobioném, ugody prawne nie kończą się w jednym dniu. Rzeczy są w stanie, w jakim był przedtém. Nie zajmujmy się tym więcej, proszę cię.

— I masz panie Young zupełną słuszność, na co się spieszyć z ułożeniem naszego majątku, teraz gdy ta, której go przeznaczylismy, znikła z ziemi. Te słowa są rozsądne.

— Nadajesz im mistress Philipps znaczenie rozpaczające, którego nie mają, ja się tak łatwo nie pozwolę zbijać.

Była to tylko udana stałość doktora.

— Ah! ty jeszcze masz nadzieję, ty!

To było wymówione z pogardą smutną, i twarzą zawsze ukrytą.

— Tak, mam nadzieję, bo jestem rozsądny, i wierzę stale w mnóstwo sposobów, która nam jesz-

rze pozostają. Lekki znak przeczący głową, był całą ufnością, jaką wzbudziło zapewnienie pana Young.

— Tak, mnóstwo sposobów. Dobrze, rozbieżmy to.

Zawsze na tej samej stopie głupoty, Sara zbliżyła się do doktora, i wlepiła w niego wzrok dziwny.

Mistress Philipps odłoniła na moment chustkę, zakrywającą jej twarz, bez odwrócenia jej od strony kominka. Może dobry doktor, zanadto się posunął, i w położeniu adwokatów mających tylko jeden argument w kieszeni, byłby swój popierał jak najdłużej, gdyby tylko miał przynajmniej jeden.

— Nie wykradają dzieci z miłości ku nim; zaczął bardzo mądrze doktor, nie biorą ich także ani na zabicie ani na sprzedaż — to wszystko jest bajką prostych kobiet.

Sara pochwałała już myśl doktora, który może nie miał żadnej myśli.

— A więc w jakimże celu je kradną, Sara położyła swe ręce na grubym kolanie doktora.

Mistress Philipps nie należała do rozmowy.

— Przedewszystkiém, mówił dalej, jestem pewny, że dzieci nie gubią się nigdy w miastach, zawsze je ktoś znajdzie, dlatego wracam do pierwszego zapytania. W jakim celu ją przechowują?

Biedny dobtór nic jeszcze nie wyprowadził z tego rozumowania.

— Ten cel jest zawsze podług mnie interesem; ofiaruj większą nagrodę, a dziecię się znajdzie,

Z kolan Sara podniosła ręce aż do ramion panna Young. Pożerała słowa wychodzące z ust jego.

Mistress Philipps zrobiła słabe poruszenie ku doktorowi, słuchała wręście.

— Aże to są pewnie biedni ludzie ci co je kradną, sądze że z pieniędzmi...

Doktór niedokończył. Wykrzyknienie przerwało mu.

— Tak doktorze! z wielą pieniędzmi, Lucylla jest naszą.

Saro! pióro, papier, spieszę się!

Mistress Philipps pisała prędko, literami nie łączonemi, nieczytelnemi, które zmazywała i znowu pisała. Sara trzymała za jeden róg papieru, doktór Young za drugi; bo biedna matka lewą ręką trzymała się za serce.

— Oto jest i niech czytają jutro na wszystkich murach Londynu, a w trzy dni, w całej Anglji a za kilka w całej Europie.

— Ach, doktorze, Bóg cię natchnął szczęśliwą myślą, myślą anielską. — Weź to, zanieś do drukarza, Saro, niech odbiją milion exemplarzy: potem niech wszędzie rozesła. I niech czytają na

wszystkich murach. Doktorze nie wspieraj mnie, w tej chwili nie jestem cierpiącą.

— I niech czytają:

„Kopalnia w Kornwalji przynosząca rocznie pięćdziesiąt tysięcy gwineów, tudzież dwa kroć sto tysięcy funtów szterlingów akcji z towarzystwa Indyjskiego, temu kto zwróci stroskanéj matce, małą jéj córkę cztero-letnią Lucyllę; Euston-square, parafja Świętego Pankracego.

Dla zabezpieczenia nagrody obiecanéj, wszystkie tytuły własności złożone u notarjusza Burns, w Londynie; i słowo matki przed Bogiem.“

— Idź Saro!

— Usiądź doktorze; nie jest to ani połowa mojego majątku.

A siły mistress Philipps tak były osłabione przed tą nadzieją niespodziewaną, że się zsunęła z krzesła na dywan; ale na jéj bladéj twarzy igrał uśmiech.

Doktór ją otrzeźwił a korzystając z jéj wycieńczenia aby ją skłonić do napicia się rosółu, zadzwonił; lokaj wszedłszy powiedział cicho panu Young że dwóch kupców żądało mówić z panią.

Doktór skinął nań aby ich odprowadził, ale mistress Philipps przyszedłszy do siebie, nastawała aby byli wprowadzeni.

Jakiś człowiek wszedł; był to kupiec sukien; załedwie przeszedł próg, Róg zeskoczył z nóg swéj pani, gdzie spał o trzy stopy od ziemi. Rozgnie-

wany, pokręcił się najeżywszy sierć po pokoju aby z niego wyjść, potem położył się na ziemi, i mruzczał.

— Ah, jesteś tu mały wilku. Dobrze! udawaj grzecznego, płacz teraz; mam twą sprawkę w kieszeni. Kupiec wyjął z kieszeni pięć lub szesć brudnych galganów muślinu białego, a że nie mało podobne były do sznura skreconego w bicz, Rog na ten widok zadrzał, i splaszczyl się. Jego oddech rozchodził się wzdłuż posadzki.

— Wystawcie sobie milordzie i milady, ten diabelski zwierz, wszedł onegdaj do mego sklepu, zbłocony po uszy, a będąc w nim, tak dobrze używał pazurów i zębów, że wprawił w taki stan moje ładne sukienki z muślinu białego. Ja trudnię się sprzedają sukien na wasze usługi. Przeczytawszy na jego obróżce że należy do hrabianki Lucylli, Easton-square, przyszedłem ze spisem szkód przez niego zrzędzonych, nie mogąc sobie wytłómaczyć, dla czego ten obrzydliwy zwierz, przeproszam za wyrażenie, podarł jakby naumyślnie stare sukienki dziecinne, nie dotykając wcale nowych pysznych sukien kostiumowych, jak naprzykład, dawny strój pana Kemble w Otellu lub mistress, Siddons w Henryku VIII.

Doktór nie rozumiał z opowiadania kupca sukien, a mistress Philipps bardzo mało. Otworzyła woreczek i dała dwie gwinee kupcowi, któ-

rego słowom wierzyła widząc upokorzone ułożenie psa.

— Niech was Bóg ma w swojej opiece, milordzie i milady, przyjmcie moje dzięki wraz z żalem że suknie nie były w lepszym stanie. Na drugi raz wystawię nowe, i pozwolę waszemu psu gryść je i szarpać nie okładając go kijem, bo onegdaj, podobno że mu łapę skaleczyłem.

Kupiec sukien przechodząc koło psa choiał się z nim popieścić. Róg niedozwolił na to, i wsunął się jak żaba pod krzesło swojej pani.

— Poczciwe zwierzę, rzekł kupiec odchodząc, przynajmniej odbyt czyni.

Stara kobieta weszła teraz; jej oko wykrzywione, twarde i świecące, jak guzik stalowy, ale zarzewiały na brzegu, dostrzegło psa, który się schował pod dywan. Poszła wprost do niego, uszczypnęła go za ucho, a podnosząc go nad ziemię jak zajaca, patrzała nań przez chwilę. Róg drżał. Stara kobieta dmuchnęła mu w pyszczek; jest to ostatnia obelga, jakiej sobie względem psów, pozwalają stare kobiety i koty.

— To ładne zwierzę jest więc wasze?

— No czarownico, skończmy, odpowiedział doktór; tak jest nasze, cóż dalej.

— Tém lepiej! powinniście w słomę go zapakować. O której godzinie idzie spać?

— Jużem ci powiedział żebyś skończyła.

— Kończę. Otóż tedy, mówiła stara ciągnąc Rogę za uszy; dajcie mi jego skórę, lub zapłaćcie

za sześć kapelusików różowych, które wywrócił w błoto jak kęgle, stłukłszy szyby w szafie w której stały. Żądam tylko szesćdziesiąt szylingów, albo jego skóry.

— Oto są pieniądze.

Gdy stara kupcowa miała w lewój ręce sześćdziesiąt szylingów, puściła Rogą, który padając na ziemię, wydał krzyk rozzierający. Doktor powstał i porwał za swoją laskę, a stara pobiegła do drzwi wołając:

— Czy nie wstydzisz się dawać brzydkiemu, szkaradnemu psu, piękniejszą obrózkę jak chrześcijaninowi! Dobrze przynajmniej, żeście na obrózce kazali wyrzucić do kogo należy.

Lokaje wypchaęli ją na ulicę.

— Rozumiecież co z tego? pytał pan Young służących; — ale jeśli tak będzie dłużej, wszyscy kupcy z Londynu przedstawią swe rachunki. To wasza wina. Ten pies jest zanadto zepsuty; gdybyście go niekiedy bili i nie pozwalali mu wychodzić, nie wystawialibyście pani na podobne wydatki.

— Cóż pani o tém myślisz, rzekł dalej wracając do pokoju. Ah! jeżeli go pani takze pieścisz, to już nie mam co powiedzieć; jeżeli tak go karzesz, milezę; dobra poprawa, niema co mówić.

Rog leży skurczony na kolanach mistress Philipps, która cała zajęta, wzruszona, przesuwa zwol-

na i czule rękę swą po jego grzbiecie; lekko, jakby pieściła się z axamitnemi liśćmi kwiatu, dotyka uszu Rogą, którego głowa podnosi się uważnie, aby połączyć z wzrokiem wilgotnym pani, swe magnetyczne spojrzenie. Instynkt i dusza patrzą na siebie.

Mistress Philipps, rzekła cicho Rogowi do ucha, oddechem krótkim i przerywanym jak gdyby mógł rozumieć słówka przyjaźni, prośby i wdzięczności.

— Dobry przyjacielu, tyś także szukał Lucylli, tyś biegł za moją córką.

Pies wpatruje się w panią aż do głębi oczu, tych dwóch żywych szmaragdów.

— Szukałeś Lucylli i nie znalazłeś jej.

Na imie Lucylli, Rog szczechnął słabo, jakby przez sen. Jego pyszczek czarny, drzy i rozszerza się.

— Chodziłeś jak ja całą noc w błocie i pod kopytami końskimi, wołając jej!

Rog porusza się konwulsyjnie, w przepelnieniu swego instynktu.

— Tak źle się z tobą jak ze mną obchodzono.

Rog dyszy, cierpi, ciągle wpatrując się w oblicze pani.

— Wypędzono cię jak mnie. Rog!

Duch elektryczny okazuje się w jego ścierci jak za zbliżeniem się burzy.

— Obili cię, łapkę ci złamali, złościwi!

Rog żali się, bo rozumie, że go żalują. Język powszechny, boleść, zrozumiałym jest dla wszystkich istot, mistress Philipps, podnosi ostrożnie złamaną i wiszącą łapkę Roga.

— Obili cię jak mnie, Rog!

Pies składa łapkę na palec swój pani wydając jęk.

Mistress Philipps podnosi tę łapkę do ust, ogryzewa ją i całuje jak rękę dobroczyńcy, któryby ją złamał w jej obronie.

Z wdzięczności Rog zwiesił łeb na ramię swój pani.

— No, zawołał doktor, to jest zbytek czułości; za cóżes pani tak obowiązana temu psu.

— Ależ doktorze, odpowie mistress Philipps z słabością płaczącego dziecka; Rog podarł te białe sukienki i różowe kapelusiki, dlatego że szukał mojej córki, bo ona miała białą suknię i różowy kapelusik, kiedy zginęła.

Na honor, to prawda! zwracam mój szacunek Rogowi, ale on ma łapkę złamaną.

— Tak doktorze.

— Oh nawet dość ciężko.

Doktor podarł swoją chustkę, i pokrywając wzruszenie człowieka, pozorem zajęcia się lekarza, nie dał spostrzedz zawiązując ranę psa, czułości której oznakę nosiły wszystkie jego rysy.

Sara wróciła.

— Już proszę pani, zawołała wchodząc, wszystkie pisma przyjęły po trzysta egzemplarzy zawiadomienia dla miast do których się udają. Tego wieczora paketboot powiezie dwadzieścia tysięcy na ład stały.

— Pocałuj mię Saro, i niech Bóg dla wynagrodzenia cię,.... Ale jakże cię nagrodzi?... nie możesz już być matką.

— Pozwalając mi być na ślubie twój znalezionej córki, pani.

— Oby twe wyrazy doszły do nieba, święta niewiasto!

— Niech jej głos dojdzie do nieba! powtórzył pobożnie doktor.

I wszystko troje trzymając się za ręce, biedna matka, starzec z głową bez włosów, i niedołężna służąca, złączyli się sercami aby błagać tego, który zsyła przez wiatr, w dziobek małego ptaszka zbłąkanego od guiazdka, ziarno prośa; i przez deszcz kroplę wody która ma go zaspokoić.

IV.

Trzy lata upłynęły. Deszcz i wiatr już oddawna podarł afisze oznajmiające nagrodę obiecaną temu ktoby zwrócił dziecię. Lucylla stracona na zawsze! Miałaby już siedm lat dzisiaj, śliczny wiek! Jej włosy złote dostałyby do łokcia, można by spleść dwa warkocze zakończone węzłami

wstążki różowej. Matki bardzo pysznią się z tych dwóch warkoczy. Byłaby już podrosła aż do kominika, bez pomocy krzesła mogłaby przejrzeć się w zwierciadle. A jej matka! Jak gdyby Lucylla nigdy jej nie opuściła, widziała cienie stopnowe, jakie nadały trzy lata jej włosom. Jutro jej imieniny, mówiła, a dom napełniony był kwiatami. Krzesło Lucylli było zawsze przysunięte do stołu, w godzinach obiadu, jej nakrycie położone; czekano jej powrotu ze szkoły; w nocy stawiano lampę zapaloną przy jej łóżku, o jej matka kładąc się mawiała: Spij dobra Lucylko. Już śpi! myślała sobie, dzieci mają tak prędki sen.

To nie było wcale udaniem, bo w głębi panowała prawdziwa pociecha. Ale mistress Philipps nie spostrzegła, że kłamstwo którym się żywiła, niszczyło ją stopniowo.

Nawiasem wspomniemy, bo zdarzenie nie warte aby się nad niem zatrzymywać, że lord Philipps zginął w pojedynku, w Sydnėj w Nowej Galiji.

Od pół roku mistress Philipps nie opuszczała łoża, przy którym dwa miejsca nie były nigdy próżne, Sary i pana Young, on także osłabiony, ograniczył swoje wizyty do trzech lub czterech.

Było to w lecie, piękne słońce oświecało pokój chorój, powietrze napełnione było zapachem eterów, różne flaszki poodtykane stały na stołach,

szereg imbryczków przed ogniskiem, rozpaloném w miesiącu Sierpniu.

Łóżko było obrócone do światła, które oświecało twarz choréj więcéj bladą niż wychudłą. Jéj ciemne włosy świeciły się, jéj oczy niebieskie straciły żywość a jéj powieki przedłużone, mocną różową barwą były okryte.

Trwoga przejmowała patrzących na widok muchy, mającéj zamiar usiąść na bladych ustach mistress Philipps.

Ręce jéj były złożone na piersiach: prześciera-
dło odznaczało jéj nogi; czasami zwieszała rękę z łóżka, obok którego stała pusta kolebka.

— Jaki ładny dzień dla tych co są na wsi!

— Tę przyjemność sprawiemy sobie przed koń-
cem pięknej pory, moja dobra mistress Philipps.

— Ja już nie mam nóg doktorze!

— Mój Boże, gdybym tak był pewnym że od-
zyskam wzrok, jak jestem pewny że ci wrócę u-
życie nóg twoich, stukłbym natychmiast okulary.
Ale cierpliwości; ty mię będziesz prowadziła, a ja
cię będę podpiérał, w ten sposób sprawdzimy o-
wą bajkę.

— A któż mnie będzie niósł? mnie która nie-
mogę się ruszyć dzięki memu reumatyzmowi! przer-
wała Sara podnosząc poduszkę pod głową pani;
czy nie biedny Rog. ślepy? O jakże się zmieniło
biedne zwierzę. Cztery lata dla psa, to starość.

Jeżeli się dziwicie, że imię Lucylli, nie było jeszcze wymówione między temi trzema osobami, które je miały zawsze w ustach, to dlatego, że doktor od roku kazał przysiądz mistress Philipps, że nie wymieni nazwiska swego dziecięcia, pod zagrożeniem, że przestanie bywać u niej. Dość było tego imienia, aby u niej wzbudzić wzruszenie nerwowe bez końca, i utratę sił zdolną życia pozbawić. Matka nie mówiła już o Lucylli, tylko z Bogiem, tym który nigdy się nie znudzi słuchaniem biednych matek.

— Doktorze, rzekła mistress Philipps, udając wesolą, mam prośbę do ciebie, i ujęła jego grubą rękę, co dało mu sposobność dotknięcia jakby mimowolnie jej pulsu.

— Gdyby mię tak kto inny prosił, wiedziałbym już co to znaczy: prosiłabys mię o pozwolenie zjedzenia skrzydełka od kurczęcia...

Sara wstawiała już aby zéjść do spiżarki.

— Ale ty, jakież możesz mieć żyezenie, które-gobym nie był gotów wypełnić?

— Obiecujeszże zadość uczynić méj prośbie?

— Amen! mów.

I zamknął oczy, słuchając choréj. Słuchał on uderzeń pulsu. Ostrzeżony szczególnym biegiem jej krwi, pochylił się ku twarzy mistress Philipps.

— Chciałabym się poradzić duchownego, na przykład naszego poczciwego pastora pana Barnej, nie łaj mię doktorze.

— Jest to podobno zapóźno, pomyślał doktor, ale odpowiedział: ja miałbym cię łajac? co za myśl!

— Wiem że się nie mam bardzo źle, wiem to; ale cię upewniam, jest to tylko prosta ostrożność.

Czuła się umierającą; chciała oszukać doktora.

— Pani przeciwnie masz się bardzo dobrze!

Łza błysnęła w posępnym oku doktora.

— Tak, doskonale, doktorze.

Ręka chorej sztywniała.

— Jednakże doktorze, chceszże abym kazała przyprowadzić pana Burnej.

— I owszem, sam biegnę do niego.

— Oh, kiedy tak; to prędko doktorze!

— Za dziesięć minut przyprowadzę ci pana Burnej.

— Jeszcze ci raz powtarzam panie Young, nie myśl, że się mam najgorzej.

— A ja jeśli tyle dokładam pośpiechu w usłuchaniu cię, nie wnoś ztąd żebym cię widział bardzo słabą.

— Ah! jakżem go dobrze oszukała; pomyślała sobie gdy doktor odszedł. Czuję że dwóch godzin nie przeżyję.

— Jak zręcznie utrzymałem ją w błędzie, mruczał doktor wsiadając do kabrioletu, za dwie godziny przestanie cierpieć.

— Saro! Saro! otwórz tę szafę, i przynieś mi mały kuferek z drzewa cedrowego.

Słońce zapadło już nad Londynem; jest to godzina smutna i niepewna. Hałas angielskiego Babelu ustaje, dzwony odbijają się w oddaleniu; gęste tumany wznoszą się z rzeki; i rozchodzą się po ulicach. To słońce zachodzące, zabięra z sobą część życia wszystkich. Mistress Philipps była białą jak jęj poduszka, Położyła ze wzruszeniem ręce na kufereku cedrowym, poczem otworzyła go kluczykiem wyjętym z za piersi, gdzie go zawsze nosiła. Siły jęj brakło i kuferek się zamknął. Znowu go otworzyła i z pobożnością świętej, która dotyka się relikwji, z chęciwością narzeczonej, przeglądającej podarunki ślubne, chora wyjęła wyprawę swęj córki. Bielizna dziecka pachnąca jeszcze łaką, na której ją suszono, koszulki haftowane, czepeczki zawsze za wielkie lub za małe, i w których dziecię jest tak powabnie dziwnem, że się samo śmieje, zabawek bez końca; lalki różowe po tysiąc razy całowane i tiazywane siostrami. Mistress Philipps zbierała z ich malowniczych twarzy te pocałowania; podnosiła koszulki Lucyli za każdy rękawek; całowała próżne miejsce tam gdzie miała być szyja i główka blond jęj córki; a składając koszulki, mówiła im *Farewell!* to długie pożegnanie angielskie, tak czule i rozdzierające. Brała także sukienki, marszczyła je w stanie, bawiła się jakiś czas tęp omamieniem, składała je, całowała, kładła w kuferek i mówiła im *Farewell!* Następnie oglądała małe pończoszki ażurowe;

w których jej ręka wychudła udawała drobną nóżkę córki, całowała je i żegnała. Bądźcie zdrowe, małe trzewiczki, w których dziecię chodziło niepewnie. Bądźcie zdrowe czepeczki, lalki, z których każda miała imię. Bądźcie zdrowe! — Już nie widziała, a jeszcze dotykała się tych materji, muslinów, wstążek, które poniosła do ust, ale już ust swoich znaleźć nie mogła... Farewell!!!

A wieko zamknęło się.

Ten kufer i to łóżko!... mały grób na wielkim!

Sara spuściła firankę, zapaliła lampę i modliła się. Doktor Young umarł w kabryjolecie dotknięty apoplexją.

Wszyscy parowie angielscy postępowali za pogrzebem mistress Philipps. Król posłał dworskie powozy.

Za powozami, za szlachtą, za bogatemi, za gminem, za ubogimi którzy płakali...

Szedł pies ślepy.

V.

Znaleziono w papierach mistress Philipps to jedyne rozporządzenie testamentowe:

„Wszystkie moje dobra, oprócz domu, w którym umarłam, i który zostawiam Sarze, mojej guwernantce, należć będą do tego, który przez

zezwolenie Boga mego, wybawiciela i pana, znajdzie mą córkę Lucyllę.

„Ci co mnie kochają, przebaczą mi, żem nie uczyniła téj ofiary za życia; mój mąż żył, nie mogłam więc rozrządzać tylko połową dóbr moich.

VI.

Od ośmiu lat stara guwernantka nie wychodziła z swego mieszkania na górze. Obojętna jak grób, Sara dozwalała mólom strzydz meble; jéj pożywienie bywało składane w koszyku, który wciągała za pomocą sznura. Skoro koszyk się nie spuścił, miał to być znak, że Sara już nie żyje; wtedy hotel przejdzie na własność zakładu znalezionych dzieci, bo Sara stamtąd wyszła. Co trzy dni jedna istota ją odwiedzała. Rog, lecz nie Rog żwawy choć brzydki, jakim był dawniej, ale Rog zeszepecony starością, i naznaczony utratą ucha, które zostawił w zębach brytanów rzeźniczych. Drapał, i otwierano mu: A stara niewiasta głucha, stary pies ślepy, i stara papuga niema, znajdowały jakąś przyjemność być z sobą razem.

Wypadek jednak dość ważny, zniszczył tę zgodę. Przez pamięć i poszanowanie swych państw, Sara chciała pewnego dnia zdjąć z szyi Roga obróżkę, której herb i napis tarzał w błocie i ry-

sztokach; Rog się opierał, Sara trwała w swęj chęci, pies ją ukąsił i uciekł z obróżką.

Sara zapłakała, nie z boleści ale nad niewdzięcznością.

Teraz przenieśmy się myślą w jeden z tych parków, któremi Londyn jest ocieniony; zatrzymajmy nasz wzrok na tych bukietach rodzin, kwitnących podczas pięknego słońca.

Małe dziewczynki, na rękę piastunek kołyszą się nad polem przechadzających się. Słodko jest widzieć to pokolenie wysokości kłosa, mające zdeptać to, które je posi; widzieć życie, w chwili kiedy w ziarno przechodzi. Jakież wypadek zmieszał od razu wieczną spokojność tych pól? Czyż dziecię jakie w padło w jeden ze stawów wabiąc łabędzie? Tłum zbiera się w jeden punkt, ten punkt się zwiększa, krąży, otwiera się i wymyka się z niego pies, ciągnący to za suknię, to za rękawy, ale niepuszczając nigdy zdobyczy, młodą piętnastoletnią panienkę. Uderzenia lasek padają na psa, on się otrząsa i znowu ciągnie swą zdobycz, odrywają go, on znowu chwyta; krzyki młodej panienki nie przestraszają go, znudzono się biciem go, a jego nie zniechęcają razy, mimo zakrwawionej głowy, mimo oczu ślepych, płaczących.

Młoda dziewica wydaje krzyk! wyzytała na obróżce psa „Róg“ powtarza Róg! a pies puszcza natychmiast odzienie które szarpał; poznany i wołany, zaczyna biegać w około głosu co jego imię

wymówił; skacze, szczeka, szaleje prawie, i biegnie naprzód, a wszyscy idą za nim, co krok odwraca głowę ślepą, a tłum niewie teraz co sądzić o tej władzy psa nad osobą, która idzie za nim jak posłuszne dziecko za swoim ojcem.

W miarę przebywaną drogi, młoda dziewczica odnawia w swęj pamięci ślady zupełnie zatarte. Tu mur biały, tam choroągiew, tu znowu strumyk; dalej też ulica i jej drzwi.

— Ach, zawołała Sara, Róg powraca do mnie; ale to dziwnie, szczeka zupełnie tak jak tej okropnej nocy....

Pociągnęła sznurek,

— Moja dobra pani, tyś więc nie umarła? Czy przychodzisz po mnie, aby mię zabrać do nieba?

Sara wzięła Lucyllę za mistress Philipps, tak wysoka i ładna była Lucylla.

Rog rzucił się na pół kurczęcia pieczonego i zjadł je.

Sara pobiegła po drugą połowę.

VII,

Lucylla była porwaną przez ludzi swego ojca, i zawiezioną do Sydney w nowej Gallji.

VIII.

Podług testamentu mistress Philipps, wszystkie jej dobra miały należeć do tego ktoby znalazł jej córkę. Któż ją wynalazł? Rog.

Rog więc ma być dziedzicem mistress Philipps. Ale czyż pies może być spadkobiercą? Pytanie ważne które sąd miał rozstrzygnąć. Dzień był wyznaczony dla udania się do sędziego.

Sara włożyła najładniejszą suknię, wzięła laskę hebanową i woreczek z materji Indyjskiej. Lucylla jest ładną jak Angielka; postawa wspaniała, oko czule, niebieskie i otwarte pod włosami blond. Rog został wyczesany, wymyty; jego obróżka wyczyszczona świeci się; Rog jest już tylko brzydkim. Ale że Rog jest ślepy, jedwabny sznurek wiązać go będzie do ręki Lucylli.

Przed wyjściem, Sara kładzie portret swój pani na krzesło, i zdaje się zanosić do niej krótką i gorącą prośbę, aby otrzymać szczęśliwy skutek zamiarow. Lucylla przyklękła, Rog szczeka.

Sara odwraca się we łzach do psa;

— Mój stary Rog.

Rog szczeknął.

— Mój stary towarzyszu! Oto jest dziecię naszej dobrej pani! Pozwolemyż mu umierać zgłodni, Rog?

Wzięto nas, mnie zdomu przytulku, ciebie z uli-

cy, i dano nam tutaj, tobie mleka, a mnie chleba,
Rog.

Rog szceka.

— Jesteś stworzenie bez chrztu, to prawda, ale nie jesteś złym, chociaż trochę złodziej. Przebaczam ci to, ale wszystko trzeba oddać twój malęj Lucylli. Cóżbys czynił z temi pieniędzmi? Chleba będziesz miał ciągle obficie, schronienie na zimę zawsze, i zostawię ci twoje obrózkę.

Rog szceka.

— Potém, my niedługo umrzemy; ty masz lat dwanaście, ja niedługo mieć będę sześćdziesiąt, ty ślepy, ja głucha. A to dziecię tak młode, ładne!

Lucylla czule przesuwiała rękę po głowie Roga, który z przyczyny ślepoty, oprowadzał węchem po delikatnej skórze swęj pani.

— I opuścimy tę brzydka górę, zejdziemy do sali, Lucylla zajmie krzesło swęj matki, ja moje, ty między nami. O! tęg zimy mój stary zmarzłaku, będziesz się zagłębiał w popiół, jak będziesz chciał. Nie będę cię nigdy łajać. Słyszysz Rog! będziesz brudził dywan jak ci się podoba.

A Rog, szceka za każdym razem, kiedy Sara wymawia jego imię.

Chodź Rog, chodź, a bądź grzecznym przedpanem sędzią.

IX.

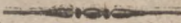
Przed sędzią, pytanie nie było tak zawiłém jak w wyobraźni Sary.

Gdy stanęły przed nim, Sarą podając testament, a Lucylla z psem na sznurku; sędzia of common's court uśmiechnął się pod gęstą peruką, i kłaniając się rzekł:

— Prawo cywilne mówi, że każdy poddany może być spadkobiercą. Ale pies nie liczy się do poddanych tą myślą prawa objętych; testament jest nie ważny.

W imieniu króla, znośmy testament Lady Philipps, i zlewamy na miss Lucyllę, hrabiankę Philipps, wszystkie dobra nieboszki jęj matki.

Dodajemy, jak człowiek nie jak sędzia, że dla dopełnienia w części polecenia testatorki, i z szacunku dla woli świętej tych którzy już nie żyją, miss Lucylla, hrabianka Philipps ma być obowiązana do dobrego obchodzenia się z psem.



LIŚCIE DĘBOWE.

BALLADA

(z Millevoje.)

Spocnijmy tu sobie, pod dębów tych cieniem.

Raz, kiedy wieczorem, ztudzeni chodzeniem,
Siedliśmy na łożu z darniowém wezłowiem,
Co ojciec mi mówił, ja dziś wam opowiem:
(O mili, niech Bóg wam zachowa rodzica;
Ja mego straciłem!). Z dalekiej krainy,
Wędrowiec bogaty, wśród ciemnej krzewiny,
Szedł nocą sam jeden, strach zbielił mu lica.

Spocnijmy tu sobie pod tych dębów cieniem.

Wtem wybiegł z gęstwiny rozbójnik niecnota,
Pożegnaj się biedny wędrowcze z istnieniem;
Twa żona już wdowa, twe dziecko sierota!
Nim skonał, te słowa do zbójcy rzekł jeszcze;
„Tu w lesie nas oczy nie widzą niczyje,
Lecz słuchaj, liść dębu nad nami szeleszcze,
On kiedyś śmierć moję przed światem odkryje.

Spocznijmy tu sobie, pod dębów tych cieniem.

Morderca zabrawszy swe krwawe zdobycze,
Szedł zwolna wśród lasu, z spokojnym wejrzeniem,
Aż przyszedł do domu, w schronienie zbrodnicze,
I oddał swój żonie sakiewki skrwawione.
I wcale nie wspomniał na liście dębowe,
Raz tylko pobladło oblicze zmarszczone,
Gdy słyszał o kupcu zabitym rozmowę.

Spocznijmy tu sobie, pod dębów tych cieniem.

Aż razu jednego, chcąc skryć się przed pieką,
Siadł sobie w drzewo chłodzie, nad czystym strumieniem
A przed nim na stole, pieniające się mleko,
Wtém wicher zaszumiał i z drzewa liść zrywa,
A fala jesienna unosi liść płowy.
Liść upadł na mleko, ... o chwilo straszliwa!
To listek wędrowca to listek dębowy.

Spocznijmy tu sobie, pod dębów tych cieniem.

Morderca się trwoży, blednieje, drży cały,
I błędnym wokoło powłóczy spojrzeniem;
I listek i mleko, krwawemi się zdaly.
Napróżno wzruszenie ukrywać się stara,

Niebacznie słów kilka zdradzieckich wygadał,
Któs słyszał, oskarżył, sąd zbrodnia wybadał;
I słuszna mordercę dosięgła wnet kara.

Spocznijmy tu sobie, pod dębów tych cieniem.

ŚMIERĆ ŁABĘDZIA

CZYLI

pod faj
WROŻBA.

W ostatnich czasach cesarstwa francuzkiego, pobór do wojska dla wielu familji był tak uciążliwym, że wszelkich używały sposobów aby go uniknąć; gdy tymczasem, Napoleon ze swojej strony użył wszystkich mamideł wojskowych, aby przyciągnąć młodzież pod swoje sztandary. Przywileje nadane wojsku, przyrzeczenia prędkiego postępu na wyższe stopnie, organizacja nowych korpusów, gwardje honorowe, gwardje narodowe miejscowe, które wkrótce zamieniano na ruchome, wszystko to czyniło Francję, obszernym zakładem

z kąd jak gdyby czarowną siłą wychodziły wojska młode, lecz pełne zapалу i wyuczone. Jedynym środkiem przeciwko temu prawu, które zagrażało iż wszystkie miasta miały być zamieszkane, tylko przez jednookich, kulawych i garbatach, było małżeństwo, które chociaż nie wyłączając od prawa, zabezpieczało na przyszłość. Dlatego też za ledwo młodzieniec wyszedł ze szkół i pożegnał swoich nauczycieli, rodzice, zamiast obrania mu zawodu, myśleli o ożenieniu go. W owym czasie, niejednemu adwokatowi lub lekarzowi, potrzebniejsza była żona, a niżeli klienci i chorzy. Jednak, chociaż familje roztropnie myślały o przyszłości, zakres ich małżeństw zabezpieczających, był bardzo ograniczony, albo z przyczyn majątkowych, lub też dlatego, że bardzo młody człowiek, powinien był pojąć za żonę młodszą jeszcze panienkę, ażeby później starość żony nie poprzedziła dojrzałości męża. Dlatego to widziano wówczas wielu zakochanych w piętnastym roku, i małżeństw dziecinnych.

W 1810 roku, P. Duranton, bogaty kupiec, w takim zupełnie znajdował się położeniu, jakie dopiero wskazaliśmy; widział się zmuszonym, albo pozwolić wejść swemu synowi do wojska, albo ożenić go. Pan Duranton nie uważał w tém ostatniem nieszczęścia dla swego syna, owszem małżeństwo w jego mniemaniu, spełniało najżywsze jego życzenia. Przyjaźń i pokrewieństwo, łączyły

go z panem Bernard dawnym jego towarzyszem, który od kilku lat porzucił handel. Panna Eugénja, córka pana Bernard, przez obje familje, jeszcze w kolebce, przeznaczoną była za żonę młodemu Karolowi Duranton. Młodzi narzeczeni, chociaż kuzynowie, zaledwie się znali, bo gdy Karól kończył nauki w liceum Napoleona, Eugénja była zamkniętą na jednej z pierwszych pensji Paryża; lecz życie naukowe jakiego wymaga wychowanie, już się dla nich skończyło, i gdy Karól wrócił do domu ojca, który zaprowadził go na giełdę, zapytano pana Duranton: — „Cóż uczynimy z panem Karolem? Panna Eugénja pojechała do Sussy, gdzie Marna wolnym biegiem, w zakrętach swych okrąża piękne posiadłości jój ojca.

„Pragnę z mojego syna mieć urzędnika, pisal Duranton, do swego przyjaciela Bernard; ale żeby nie został podporucznikiem, muszę go pierwój ożenić; uprzedźmy więc przyszłość, kochany przyjacielu, i przyspieszmy o dwa lub trzy lata ułożone małżeństwo, inaczój narazilibyśmy się na to, iż możeby wcale nie przyszło do skutku. Trzeba będzie, naprzykład, ażeby droga nasza Eugénja zezwoliła mieć za męża studenta, i pozwoliła mu chodzić do szkoły; lecz niéma w tém wielkiego złego, i zawód, jaki obieram dla Karola, jest rekojmnią równie zaspakajającą Eugénję jak ciebie.

P. Bernard który kochał swego kuzyna i znał jego majątek, nie był temu wcale przeciwny, i zgodnie postanowiono, aby małżeństwo odbyło się bez żadnej zwłoki. Było to w środku Grudnia, a p. Bernard kochający swoją wieś z całym zapalem nowego posiadacza, jeszcze jej wcale nie opuścił: powietrze Sussy nader było zdrowe dla pani Bernard, a Eugenia, która do tego czasu, nie występowała jeszcze w świecie, prowadziła życie sprzyjające jej rozwinięciu fizycznemu i wolne od niebezpieczeństw, na jakie mogła natrafić w Paryżu. W sobotę, gdy książka dochodów była już zamknięta, i gdy p. Duranton wydał polecenia swoim kommissantom, kazał wsiąść synowi do powozu, i pojechał z nim drogą prowadzącą do Sussy.

— Zobaczysz swoją kuzynkę mój synu, mówił do Karola.

— Te małą Eugenję, której sprzeciwiałem się zawsze, odpowiedział Karól z prostotą studenta.

— Nie oto tu idzie, Eugenia jest już dorosła panna, przyjemna, nawet piękna, przytęm bogata dziedziczka. Otóż jesteśmy w Sussy, pamiętaj abyś się przed nią okazał korzystnie... trzymaj się prosto, popraw kokardę u chustki, włóż rękawiczki... Ożenisz się z Eugenją, będę prosił o jej rękę dla ciebie.

Karól otworzył oczy i patrzył na ojca nic mu nie odpowiadając; był on o sto mil od podobnej myśli. Miał się ożenić! mieć żonę!.. i to jesz-

eze małą Eugenię! Jak wszystkich jego kolegów szkolnych, jedyną jego myślą było, zostać żołnierzem, robił broń, maszerował, jego ucho znało tylko bęben, pobudka zawsze go budziła, zasypiał przy odgłosie capsztrychu głos bębna oznajmiał mu chwilę odpoczynku i kierował jego kroki na przechadźce; wszyscy jego dawniejsi koledzy służyli w pułku jazdy, w którym dzięki towarzyszewi szkolnemu, synowi pułkownika, miejsce jego było już oznaczone, a ojciec chciał go ożenić.

Przybywają, dzień był piękny, i czas bardzo przyjemny, jak na tę porę roku. Słońce ostatniemi promieniami złociło żółte wierzchołki drzew, kiedy powóz wjechał w długą aleję prowadzącą do pałacu; przed pałacem był obszerny wodozbiór, przed którym familja Bernardów była zgromadzona. Powóz zakreślił koło, aby zatrzymać się przed schodkami pałacu, i gdy młody Karol wyskoczył na piasek zżywością swego wieku, przestraszył łabędzia, dla którego panna Eugenia Bernard chleb kruszyła. Ptak przestraszony zwrócił się od brzegu, rozszerzył skrzydła, i używając nóg zamiast wioseł, przemknął się szybko na przeciwną stronę wodozbioru i skrył się w swojej drewnianej budce, przedź jeszcze, a niżeli zagładziły się na wodzie ślady w miejscach które przepłynął.

— Któż to przestraszył mego łabędzia? zawołała panna Eugenia.

— Karol nie widział jeszcze nic tak pięknego jak panna Bernard, której niebieskie oko ożywione gniewem, błyszczało jak rubin; śnieżna szyja i nsta różowe, nadawały jej wiele wdzięku i świeżości; była to róża; pan Karól uczuł że Virgiliusz słusznie opiewał Amaryllis i Galateę, jeżeli te nimfy podobne były do panny Emilji Bernard, i nie myślał już o pułku jazdy. Mała rączka młodej dziewczyny trzymała jeszcze chleb, który podawała przestraszonemu łabędziowi, paluszki były jeszcze czerwone, od lekkich uszczypnień dziobu ptaka.

Przepadnij przekłeta kaczkę! pomyślał Karól, ten tehorz poróżni mię z moją kuzynką.

Łabędź jakby dlatego, aby go przekonać o ile był niesprawiedliwym, wyszedł ze swęj budki, wypłynął na środek wodozbioru, podniósł swe skrzydła, nadawał szyi najgiętsze poruszenia, pływał z wdziękiem, później zanurzał się, później okazał wszystkim oczom, swoje pióra bielsze jak lilja, więcej połyskujące jak atlas; był to ptak Wenery, uwodziciel Ledy.

— Moja córka bardzo lubi swęgo łabędzia, rzekła pani Bernard do pana Duranton.

— Ptaszku, ptaszku, wołała panna Eugienja, wyciągając dłoń pełną pokruszonego chleba.

A Karól, który chciał przypodobać się swęj kuzynce i pogodzić się z spłoszonym ptakiem, wołał także wabiąc go:

— Ptaszku! ptaszku!

Lecz łabędź zbliżał się powoli, bojaźliwie, wy-
ciągał szyję ku Emilji, i skoro spostrzegł Karola,
zanurzył się i po chwili ukazał się u drugiego
brzegu wodozbioru.

— Zapewne pan go przestraszasz, rzekło mło-
de dziewczę, odstępując chęci nakarmienia łabę-
dzia i przyjmując rękę, którą jęj pan Karol po-
dał.

Weszli do pałacu.

Małżeństwo, jak powiedzieliśmy, było już uło-
żone, i należało się spieszyć, bo straszne echo
wojennęj trąby, które mogło powołać Karola do
wojska, brzmiało nieustannie w uszach pana Du-
ranton, i mogło co chwila ozwać się. Zdawało
się, iż narzeczeni podobali się sobie. Eugieńja,
wczoraj pensjonarka, nie znała innęj woli prócz
woli rodziców, zapytana przez matkę, przyznała,
rumieniąc się, że nie czuje żadnęj odrazy do pa-
na Karola. Kontrakt więc miał być podpisany na-
zajutrz z rana, jak tylko przybędzie notariusz.

Karol postępował podług nauk danyh mu przez
ojca, usiłował okazać się przyjemnym przed swo-
ją kuzynką, przypominał jęj chwile dziecinne,
nie sprzeczeki, lecz niektóre z tych miłych wypad-
ków, które znamionują dzieciństwo i pozostają
w pamięci. O dziesiątej godzinie wieczorem,
Eugieńja zajęta dniem jutrzęjszym, prosila aby jęj
pozwolono oddalić się, i udała się do swego po-

koju. Powietrze się oziębiło, księżyc świecił w całym swoim blasku. Nagle w pośród nocnej ciszy, trwożne krzyki przerwały spokojną rozmowę w salonie.

— Cóż to jest? błędąc zawołała pani Bernard.

— Co to się stało? zapytał pan Duranton rzucając karty, chociaż miał ośm, ośmnastie, i był pewnym, że da kapot swemu przyjacielowi.

— Gdzie jest moja córka? pytała pani Bernard.

— Jest w swoim pokoju... a głosy słychać na dworze, odpowiedział Karol.

Słusznie mówił, słychać było głosy pomieszane, wkrótce zastukano do drzwi które służący otworzyli.

— Dlaczego otwieracie? mówiła pani Bernard, cała drżąca.

— To są ludzie z folwarku i ogrodnicy, odpowiedzieli służący.

Ci ludzie ukazali się istotnie w przedsionku z fuzjami na ramionach, i nie wchodząc do salonu, wołali przerażeni:

— Wilk... wilk...

Karol porwał się z krzesła, pochwycił fuzję, i pobiegł na wilka z temi, którzy się narażali na to niebezpieczne polowanie. Niedaleko trzeba było iść na spotkanie zgłodniałego zwierza: był przed schodkami pałacu.

Eugieńja Bernard, pierwsza spostrzegła wilka, stojąc w oknie swego pokoju, ujrzała coś czarnego wbiegającego do ogrodu, słyszała krzyk łabędzia i uderzenia jego skrzydeł. W ten czas wołała, klaskała w swe małe dłonie i wieśniacy przybiegli. W kilka chwil potem Karol i ludzie z folwarku byli uzbrojeni i walka się rozpoczęła. Księżyc użyczał światła wyrównywającego prawie światłu dziennemu, widziano dobrze wilka, opartego przednimi łapy na brzegu wodozbioru, z najeżoną siercią, z otwartém chciwie gardłem, ognistym wzrokiem. Przeraził on spojrzeniem drżącego łabędzia, którego pióra przez trwogę wzniesione, utraciły prawie swój śnieżny kolor, zdawało się, iż były szare. Wilk nie odważył się ścigać swego łupu w wodzie, lecz gdy zobaczył przybywających strzelców, gdy usłyszał głuchy odgłos nabijania fuzji, wskoczył w wodozbiór. Wówczas to w tych szrankach wodnych, odbyła się walka zręczności i trwogi, bo wilk, zwierz niżejzemny i trwożliwy, nicobeznany z łupem, który ścigał, nie wiedział czy nie stanie przeciw niemu w odporze niebezpiecznym. Głód go popychał, trwoga czyniła niepewnymi jego kroki zaczepne; wystrzały wymierzone na niego, były mu także przeszkodą i wstrzymywały jego napad; jużto ukrywał się pod wodą, później ukazywał się, aby odetchnąć, i i rzucał się na łabędzia. Ten także zanurzał się, później usiłował ulecieć z wodozbioru; lecz prze-

strach odbierał moc jego skrzydłom już ciężkim, i upadał w wodę.

— Nie zabijemy tego przekłętego wilka, mówili wieśniacy.

— Sto talarów, jeżeli uratujecie łabędzia mojej córki, wołał pan Bernard, który pomimo prośb żony, postępował śmiało przeciwko wilkowi.

— Ten wilk musi być wściekły albo zaczarowany.

Po wielu wystrzałach zdawało się iż wilk był raniony, gdyż woda przybrała kolor czerwony, lecz rozżarty zwierz z bólu przybrał nową wściekłość; rzucił się na łabędzia, porwał go za szyję, i jednym skokiem wybiegł z wodozbioru z łupem w zębach. Biedny ptak nie zanucił wcale ostatniego, bajecznego śpiewu, który jak mówią, jest poprzednikiem śmierci, lecz gorzkie bolesne krzyki które wzywały pomocy i litości. Wilk po wyjściu z wody, zastanowił się z razu, obejrzał się, jednym poruszeniem głowy zarzucił swój łup na grzbiet i zaczął uciekać.

— Wilka!... wilka! strzelaj! krzyczano ze wszystkich stron.

Dziesięć fuzji wyrzuciło grad ołowiany za wilkiem, pan Karol poskoczył naprzód, zdawało się że pragnie zaszczytu zwycięstwa, strzelił, a szeroka plama krwi zaczerwieniła błyszczące pióra łabędzia; strzelano ze wszystkich stron, lecz wilk uniknął

grotów i po trzech skokach zniknął z oczu strzelców.

— Otóż mamy, zabiłem kaczkę, rzekł pan Karol opierając fuzję o ziemię. Obejrzał się i zobaczył pannę Eugenię Bernard zemdloną przy nogach swoich,

.....

Nazajutrz Eugenię przysła do pokoju pani Bernard. kobiety słabego charakteru, łatwowiernej i zabobonnej. Eugenię blada i drżąca rzuciła się w objęcia matki. Nie chciała ona zaślubić pana Karola Durantona; był to student źle wychowany, człowiek złośliwy, brzydki, z którym byłaby najniešťliwszą... Przeczucia nie zawiodły jej. Jakie okropne nieszczęście wydarzyło się od chwili gdy ten człowiek przybył do ich domu. Nieszczęsny przypadek, który naraził życie wielu ludzi i pozbawił ją drogiego ptaka. Kto zabił nieszczęśliwego łabędzia, którego zakrwawionego widziała jeszcze przed oczyma? To nie wilk, ale pan Karol Duranton... Jakaż okropna wróżba. Przeczucia panny Eugeni były tak straszliwe, że matka nie śmiała się nad nimi zastawiać.

Pani Bernard, w istocie, tak okropną przewidywała w śmierci łabędzia przepowiednię, że drżała o przyszłość swęj córki. Kazano zawołać pana Bernard. Matka i córka przekonywały go, że należy zerwać podobne małżeństwo, i że postanowiły nie widzieć więcej panów Durantona. Ojciec, czło-

wiek rozsądny i roztropny, chociaż słabego serca, użył prośb i przekładań, aby zmieniły swoje zdanie, lecz nie nie zdołało ani matkę ani córkę odwieść od powziętej myśli. Notariusza odprawiono, a spokojny umysł pana Bernard musiał się natém ograniczyć, że bez gniewu pożegnał się z panami Duranton.

— No, panie Karolu, rzekł pan Duranton do swego syna, kiedy siedzieli w powozie i odjeżdżali do Paryża, pięknie się spisałeś!.. Popamiętasz długo tego łabędzia.

— Przekłeta kaczka! zawołał Karol.

— Kaczka czy łabędź... nie trzeba było zabijać, trzeba było zostawić go wilkowi... Tak piękne małżeństwo zerwane... co teraz czynić aby cię przyzwolicie ożenić? Jeżeli się nie ożenisz, będziesz musiał słuchać trąby.

Właśnie na to liczył Karol, gdy ujrzał zerwane swoje małżeństwo i gdy był pewnym, że panna Eugienja Bernard, podzieliła swoją nienawiść między niego i wilka, pobiegł do towarzysza szkolnego, którego ojciec był pułkownikiem, a ten przez wzgląd na przyjaźń łączącą syna jego z Karolem Duranton, ofiarował mu stopień wachmistrza w swoim pułku.

Jednak to rycerskie życie, które w czoraj młodzieńcowi wydawało się tak piękne; nie miało już teraz tyle powabów dla niego,.... widział pannę Eugienję Bernard. Konń, pałasz pistolety, o-

bóz, nie przedstawiały mu tyle przyjemności jak niegdyś; nie spoglądał na piersi, aby ujrzeć na nich krzyż, nagrodę męztwa, i już mu się nie tak piękna wydawała muzyka wojskowa, przeciwnie, myślał o długiej cienistej drodze do pałacu w Sussy, o nieszczęśliwym łabędzie, przez którego śmierć zemdlala panna Eugienja. Minęło osmnaście miesięcy; Karol był już oficerem, miał krzyż, który nie był jednak jedynym przedmiotem jego życzeń: nie został marszałkiem Francji to prawda, lecz porucznikiem dragonów, i byłby zapewne kapitanem, gdyby nie był ranny w początkach wojny 1812 roku; wówczas otrzymał uwolnienie i wrócił do Paryża.

Panna Eugienja nie była jeszcze zamężną.

Było to w Maju. Drzewa miały wszystkie swoje liście, ziemia wszystkie kwiaty. Karol uczynił wszystkie przygotowanie do podróży i prosił ojca, aby mu towarzyszył do Sussy. Gdy przebyli długą aleję i gdy objeżdżali wodózbiór:

— Kaczka jeszcze nie ma zastępy, uśmiechając się, rzekł pan Duranton do swego syna.

— Tego się tylko obawiałem, odpowiedział Karol, i spojrzal znaczącym wzrokiem na służącego; który otwierał drzwiczki powozu.

Weszli do salonu, witano się, ściskano, winiszowano młodemu wojownikowi, a Karol i Eugienja uwielbiali zmianę, jaką osmnaście miesięcy w nich

sprawiły. Karol nie był to już ten student nieokrzesany, niezgrabny, w którym odbijały się jeszcze obyczaje szkolne, a Eugieńja zawsze piękna i przyjemna, pozbyła się przysad dzieciństwa. Po pierwszych przywitaniach, Karol zbliżył się do niej.

— Pójdź ze mną do ogrodu, piękna kuzynko, rzekł do niej.

Podał rękę Eugieńji, przeszli salę, przedsiónek, schodki, poprowadził ją do wodozbioru... Łabędź połyskującej białości igrał w pośrodku wody.

— Ptaszku! ptaszku! zawołał Karol.

Posłuszny łabędź przyplynał do brzegu, służący podał kawałek chleba Eugieńji, a ptak jadł jej z ręki. Eugieńja podniosła oczy, spostrzegła przy sobie Tomasza, jednego z ludzi z folwarku jej ojca, śmiałego strzelca.

— Kapitanie, rzekł Tomasz, niosąc rękę do kapelusza. Ten wilk... kapitan wiesz... mieliśmy z nim wielką biędę... niedługo ośmnaście miesięcy, jak go ścigamy.

— I cóż? zapytał żywo Karól.

— Dziś rano go ubilem, odpowiedział Tomasz, nie ma już żadnego w tych okolicach.

Mówiąc to, otworzył torbę myśliwską i wyjął z niej łapę wilka.

Eugieńja wówczas puściła rękę kuzyna, pobięła do salonu, i płacząc rzuciła się w objęcia matki.

— Mamo! mammo! wołała... nie mam już złego przecucia, nieszczęśliwa wróżba już zniweczona. Wilk zabity, pójdź zobacz mego łabędzia.

Panna Eugienja zamiast zostać małżonką urzędnika, została żoną porucznika dragonów.

SZAL.

Powabna Amelja de Stern, siedziała w gustowném ranuém ubraniu przed stalugami, i z żywym zajęciem malowała. Często zatrzymywała się, spoglądała na obraz wzrokiem ukontentowania, w którym rokosz uszczęśliwionego młodego serca, widocznie się przebijała, i znowu gorliwie wracała do pracy. Niekiedy także przerywała sobie spoglądając na ulicę, lub słuchając czy kto nie idzie po wschodach, jak gdyby czekała na kogo.

O ile można było sądzić z niedokończonego jeszcze malowidła, był to obraz młodego pięknego mężczyzny, z ognistém okiem i kruczemi włosami, które w miłym nieporządku pokrywały przez połowę piękne wysokie czolo. Reszta zarysów dopie-

ro była kredą naznaczona, ale ten kontur wystawiał wcięty mundur oficera od huzarów.

Wkrótce piękna malarka tak żywo zajęła się pracą, że nie słyszała lekkich kroków w przedpokoju, wtem drzwi się otworzyły, a Amelja z krzykiem zerwała się, i rzuciła chustkę na obraz, a paletę i peźle na ziemię.

— Poranek sprzyja sztukom pięknym, rzekła wchodząca piękna dziewczyna i uściskała Amelję.

— Ach, jak mię przestraszyłaś! odrzekła Amelja, powinnabym się gniewać.

— Ale gdzie zaś, gniew powinien być na zawsze wymazany z słownika panieńskiego, bo gniew jest namiętnością, która szpeci najpiękniejsze oblicze; a potem narzeczona! narzeczona, powinna być zawsze łagodną, słodką jak gołębek. Ale cóż to tak starannie zakryłaś? Ah! to obraz twojego przyszłego męża i pana. Rozumiem teraz; jesteś ubrana jak na przechadzkę, czekasz na twoje drugie *Ja*, i myślałaś że to on wchodzi, i zastaje cię przy miłym zatrudnieniu, którego owoc, dopiero w dzień ślubu ma ujrzeć.

— Tak, luba Fanny, dlatego przebacz, ja myślałem że to nie ty.

— No, zapomnijmy o gniewie; ale luba Ameljo, jesteś błada, co ci jest? Tak bliska celu twych wszystkich życzeń, powinnaś błyszczyć szczęściem a rumienić się rokoszą!

— Droga przyjaciółko, czy nie słyszałaś nigdy o okrętach, które toną widząc już port przed sobą.

— Bezwątpienia, rzekła z żartobliwym uśmiechem Fanny, spoglądając w około, ale Bogu dzięki, znajdujemy się na stałym lądzie.

— Figlarko, że też z tobą nie można poważnie pomówić! Ah, miałam sen.

— Narzeczona, tak mi się zdaje, musi ciągle między niebem i ziemią ulatywać, i ciągle znajdować się w pośrednim stanie, między snem i czuwaniem.

— Miałam bardzo zły sen.

— Niezawodnie szatan zazdrości, grał w nim główną rolę! Istotnie, ja sama uważałam, jak wczoraj na balu Baronowej Murawa, cały świat pannieński zwracał strojne główki do pewnej osoby, tak jak słoneczniki do słońca. Zgrabny wcięty mundurek, jest to zawsze powabna wędka dla dziewczęcych oczu.

— Zawsze jesteś pusta; mój Maurycy, kocha mnie i nieobawiam się o jego stałość; ale sen mój wróży mi rozłączenie.

— Przestraszasz mnie. Proszę cię, nie wyszukuj sobie urojonych cierpień w tych dniach, które za najszczęśliwsze w twojem życiu uważać powinnaś.

— Patrz, teraz jeszcze trwoga mię przejmuje, jak tylko wspomnę sobie.

— Opowiedzże mi luba Ameljo, ciekawa bardzo jestem dowiedzieć się, co zdołało zasmucić cię w tak pięknych dla ciebie chwilach.

— Sniło mi się, zaczęła piękna malarka, westchnąwszy głęboko, że znajdowałam się wpośród wrzawy świetnego balu, wkoło mnie snuła się wesola młodzież, a słodkie brzmienia muzyki napełniały duszę moją roskoszą.

— No, początek bardzo przyjemny, to lubię.

— Tańczyłam z Maurycym, i nakoniec znużona usiadłam na sofie, on usiadł przy mnie, i zaczęłam się bawić z puklami jego włosów. Zaprzestano tańczyć, podwoje szeroko otworzyły się, i mnóstwo rozmaitych masek z hałasem wbiegło do salou. Była to najrozmaitsza mieszanina postaci naturalnych i fantastycznych, Jakaś cyganka wróżyła mi wiele szczęścia, bogini kwiatów obdarzyła mnie mirtowym wieńcem, Rycerz jakiś przyprowadził do stóp moich swych jeńców, Turek z całym kramem przepysznych szalów, ofiarował mi swoje towary; wtém zabrzmiała zachwycająca melodia, i okazał się hymen w towarzystwie mnóstwa pięknych maleńkich amorków z splotami róż i lilji.

— Przyszli ustroić cię kwiatami; wistocie, to mogło się śnić tylko szczęśliwój narzeczonej!

— Nie przerywaj mi niecierpliwa, tylko słuchaj końca. — Czułam że ręka kochanka przyciska mię do serca, spojrzałam nań, Iza roskoszy błyszczała w piękném mężkiem oku. Tu, zbliżył się Hymen

i skinął na bożków miłości, aby nas otoczyli różanemi splotami; i małe bóstwa lekkimi stopy zbliżały się ku mnie. Nagle huk gromu zabrzmiał w mych uszach; czarna postać wystąpiła z pod ziemi, podniosła uplecioną wężami rękę, a słodkie bóstwa odbiegły ze drzeniem. Zwolna widziadło przybliżyło się do kupca tureckiego, wzięło od niego najpiękniejszy szal, rzuciło go na mnie, i rzekło podziemnym ponurym głosem: „On będzie śmiertelnym całunem twój miłości!“ — Czułam że mi się zaćmiło w oczach, zmysły mię opuściły, padłam na ziemię....

— I obudziłaś się! — A wiesz co, to okropny sen! Pojmuję dobrze że narzeczona może marzyć o indyjskich szalach, i kupidynekach; ale to widmo jest tylko dodatkiem w skutku jakiegoś modnego francuzkiego romansu. Czy na twój toalecie niema Balsaka albo Wiktora Hugo, albo czy nie wróciłaś się do szalonego Hoffmanna?

— Nie żartuj figlarko, ja jeszcze nie mogę się uspokoić, dręczy mię jakieś przeczucie, podobne do cisnącego powietrza przed burzą.

— Spójrzyjno, Ameljo, twoje słońce wschodzi; rozpędzi ono zaraz czarne chmury z widnokregu twój duszy, rzekła Fanny spoglądając z uśmiechem za okno; wysmukła postać mężka przechodziła przez ulicę.

— Maurycy idzie, zawołała Amelja, trzeba schować ten obraz, niepowinien go jeszcze wi-

dzieć! Wzięła obraz ze stalug, i zaniósła do przyległego pokoju. Odkrywszy chustkę (którą spieszenie i niedość ostrożnie rzuciła na malowidło przy wejściu Fanny), aby raz jeszcze przyjrzeć się swemu dziełu, ujrzała ze smutkiem, że kolory prawie zupełnie się zmasały.

— Jesteż to druga zła wróżba? rzekła wznosząc smutnie oczy ku niebu. Wtém zabrzmiały skrzypiące kroki w przedpokoju, i Amelja wbiegła do swój pracowni. Fanny tymczasem ustawiała na stalugach zaczęty krajobraz. Drzwi się otworzyły, wszedł Rotmistrz Maurycy de Sauden, uklonił się przyjacielce Amelji, i pobił pocałować rękę swój narzeczonój.

— Przyszedłem, rzekł; ubóstwionój Amelji powiedzieć słodki dzień dobry; jakże spałaś, miałaś sny przyjemne?

Amelja zbladła i opuściła rękę wzniesioną do ust kochanka, wspomnienie snu, mimowolnie żywo ją wzruszyło.

— O czemże narzeczona marzyć może, jeśli nie o kupidynekach, podarunkach weselnych, wieńcach różowych, a dla nadania obrazom cokolwiek cienia, o złym duchu zazdrości, odezwała się Fanny.

— Oby ten obrzydły duch, nigdy między nami się nie pojawił; ale moje damy, jeśli zechcecie, poranek piękny, możemy użyć miłej przechadzki.

Amelja z radością przyjęła ten wniosek, rozmowa, która zaczęła przybierać poważniejszą postać, nie mogła jęj być przyjemną. Na otwartém powietrzu, wpośród snujących się w kolo tłumów życiem tętnących; spodziewała się znaleźć roztargetnienie jesli nie spokojność. Wzięła kapelusz, i wszystko troje udali się na przechadzkę. Ułożono udać się do lasku Bulońskiego; powóz pana de Sauden stał na rogu ulicy St. Honoré, poszli więc przez Palais-Royal.

Przechodzili wspaniałe galerje sklepów wszelkiego rodzaju, mijając je i nie zairzymując się ani przed dowcipnemi karykaturami które zawsze zciągają mnóstwo przypatrujących się, ani przed pełnemi smaku, modnemi kapeluszami twórczej ręki Pani Herbot, ani przed tysiącznemi innymi godnemi uwagi bogactwami przepychu i smaku; i już zbliżali się do wyjścia na ulicę St. Honoré, gdy nowo otwarty skład szalów, ściągwał ich uwagę.

— Ach! jaki przepych kolorów, zawołał rotmistrz. Wejdzmy tu na chwilę, moja droga Amelja miała sen o podarcunkach weselnych, a ponieważ wyznaje, że lepiej znam się na planach pozycji i manewrach polowych, anizeli na strojach kobiecych, muszą piękno moje towarzyszki wesprzeć mi swemi radami co do wyboru. Najprzód obierzemy tu modny szal. I nie czekając odpowiedzi, wprowadził obie przyjaciółki do składu szalów. Kupiec wpośród tysiąca ukłonów i

zachwalania swoich towarów, rozłożył wszelkiego gatunku piękne wyroby krajowych i zagranicznych fabryk wiedeńskich, angielskich, aż do najdelikatniejszego kaszemiru, godnego zdobić najpiękniejszą odaliskę z haremu sultana.

Obie przyjaciółki pływały w pośród tego morza kolorów i piękności, i wzajemnie udzielały sobie uwag nad cienkością, lekkością materji, żywością gustem i doborem kolorów, to wybrały, i znowu natrafiwszy na piękniejsze jeszcze, odrzucały tamte; tymczasem rotmistrz przeglądał także towary, sądził podług swego zdania, i nagle znalazł szal, który zdawał mu się gustem i prostotą przewyższać inne. Szybko zbliżył się do swych towarzyszek, które właśnie ostatecznie namyślały się nad jednym pysznym szalem.

— Patrz, droga Amelio, jestem zawczasu już pewny, że pochwalisz mój wybór, i ten pełen prostoty i smaku szal, przeniesiesz nad jaskrawą tkanekę rozłożoną przed tobą. Nie prawdaż, wszakże ci się podoba.

Amelja zaledwie spojrzawszy na szal, wybrany przez jej narzeczonego, wybuchła głośnym śmiechem.

Biedny Maurycy, stanął pomieszany; Fanny chcąc naprawić nierozwagę przyjaciółki, rzekła z uprzejmym uśmiechem:

Amelja śmieje się, że syn Marsa pozwala sobie tak stanowczego głosu w sprawie tyczącej się państwa Mody.

— Ale nie, przerwała lekkomyślna Amelja, śmieję się z wyboru, i dziwię się, że Maurycy tak mało ma gustu.

— Przebacz mi kochana Ameljo, ale myślałem...

— Patrzno na ten pyszny kaszmir, który wybrałam, przerwała mu narzeczona. Jaki przepych, jaka żywość kolorów, jakby go Irys swemi różowemi paluszkami tkala.

— Tak; ale jeśli mam rzetelnie mówić, zdaje mi się przesadzonym, pstrocizna, jak na pawim ogonie, bez smaku, prawdziwe *co kto lubi*.

— Niech ten pan osądzi, rzekła Amelja, wiele pan cenisz ten szal?

— Pięć tysięcy franków, łaskawa pani; jest to najdelikatniejsza, prawdziwie indyjska tkanka, odpowiedział kupiec.

— A ten? zapytał prędko rotmistrz.

— To jest wyrób krajowy, mogę go oddać za tysiąc franków.

— Spodziewam się, że teraz jesteś przekonany...

— Przekonany? O, bynajmniej pani; twoje szczególne upodobanie w tej arlekinadzie, nie pozwala ci dojrzyć prawdy. Zgadzałem się, że ten szal więcej ma kolorów, pozwalałem, że jest prawdziwy indyjski; mimo to jednak, sądzę, iż twoja piękność lepiej się wyda w tym przyjemnym i mniej krzyczącym, który mam w ręku. Wieniec

z róż zdoła rozkwitającą piękność, której jest obrazem, lepiej, niż ciężki djadem z ognistych rubinów.

— Prócz tego, róże mniej są kosztowne niż rubiny, odpowiedziała rozgniewana oporem narzeczonego Amelja.

Fanny lękając się złych skutków coraz żywszej sprzeczki, chciała zwrócić rozmowę do innego przedmiotu, i pokazała narzeczonemu panią Malibran, która w tej chwili w wykwintnym powozie przejeżdżała z lordem Semelton; ale oni nie mieli oczu dla królowej śpiewu.

— Pani, rzekł rotmistrz z przytłumioną urazą, nigdy nie zważam na rachunek, kiedy idzie o sprawienie ci jakiej przyjemności, chociażbym pragnął, dodał ciszej z westchnieniem, żebyś nad dumny błyszczący tulipan, przeniosła wony fioletek. Oto tu mój przyjacielu, rzekł do kupca, masz żądane pięć tysięcy franków, podesz do mieszkania państwa de Stern, wybrany przez tę panią szal, bo życzenie Amelji jest zawsze dla mnie rozkazem; ale sądzę, i to dodał prawie proszącym głosem, że i moje skromne życzenie będzie wysłuchane. Oto jest tysiąc franków za ten drugi szal, posłój go pan razem z pierwszym.

— Mój panie de Sauden, rzekła Amelja, do prawdy, wojownikowi nie przystoi mięszać się do toalety kobiet, powtarzam, że twój wybór nie da się potwierdzić; nigdy w życiu mojem, nie wi-

działał nie brzydszego jak te kolory, nie bardziej starodawnego i bez gustu jak ten dessein; wystawiłabym się na obmowę całego miasta, gdybym się gdzie pokazała w tym ordynarnym, krajowym szalu, jak jaka mieszcanka z przedmieścia S. Antoniego.

— A jeśli taka mieszcanka, jest kobietą szanowaną, posiadającą wszelkie przymioty potrzebne do uszczęśliwienia męża, jeśli jest dobrą matką, gospodynią, i godną szacunku sąsiadką, któż wolny od przesądów, za złe jój mieć będzie, że nie mieszka w pałacu, i że nosi krajowy szal, zamiast indyjskiego kaszmiru, za który pieniądze nasze do obcych nieznanych krajów wychodzą.

— Istotnie, dziwię się pańskim ekonomicznym rozumowaniom, panie de Sauden, czynią one zaszczyt jego filozoficznemu sercu, rzekła z drwiącym uśmiechem panna de Stern.

— A ja, przeciwnie, z wielkim sumtkiem odkrywam niektóre nowe przymioty twego charakteru, które z boleścią wyznać muszę, wcale jój zaszczytu nie przynoszą.

— Na Boga, szepnęła do ucha przyjaciółce, Fanny, która z coraz wzrastającą trwogą słuchała żywej i nieprzyjemną barwę przybierającej sprzeczki dwojga narzeczonych, umiarkuj się, obróć w żart twoje postępowanie, ale natychmiast, jeśli niechcesz, żeby się to smutnie skończyło; pamiętaj o twoim śnie.

— Czyliż jestem dziecięciem, albo chorągiewką zwracającą się co chwila w inną stronę? mamże rzekać się tych zasad z którymi się zrodziłam i wychowałam, i mówić przeciw memu przekonaniu? Panie de Sauden, w tej chwili odbyłam smutne doświadczenie, które inne, dopiero po uczynieniu wielkiego, stanowczego kroku odbywają! Mężczyźni, tak słyszałam często, jest to zły ród, który obdarzony podwójną twarzą jak niegdys Janus, używa jęj dla oszukiwania płci słabszej. Zawsze śmiejące, uprzejme, wesole oblicze kochanka, pokazują oni wtedy, gdy wśród tysiącznych pochlebstw i przysiąg, jak motyle ulatują około rozwijających się pączków róży, udając uczucia, o których serce ich nic nie wie; ale zaledwie dopną celu, zaledwie połączą się wiecznymi węzłami łatwowierną, słabą istotą, odwracają drugą twarz, brzydką, dumną, pańską twarz męża, a wtedy biada zwiedzionęj żonie, która oddała szczęście, radość i miłość za żelazne małżeńskie jarzmo.

— A cóż ma powiedzieć mąż, odpowiedział rotmistrz, który pod czas długiego okresu jaki tylko język kobiety, bez zająknienia mógł wymówić, zaledwie zdołał gniew swój wstrzymać. cóż ma powiedzieć mąż, który obraz bóstwa w sercu swoim nosił, uśmiechający się do niego w słodkich marzeniach miłości, który jak święte palladium, strzegł go wiernie i tklawie, gotowy umrzeć dla niego, któ-

ry go w wyobraźni swojej zdobił najpiękniejszemi barwami nieba, i wystawiał sobie raj na ziemi, jeśli nagle hukem gromu ockniony, postrzega że jego bóstwo jest tylko pospolitą kobietą, córką Ewy, kapryśną, niestałą, samolubną, zazdrośną i wtedy spada jak strącony z nieba anioł, i zakrywa twarz rękami, aby nie widzieć swych okowów i nieszczęśliwej przyszłości!

Oczy Fanny zwracały się błagając to na Mauricego, to na Amelję. Napróżno! Oboje tak byli uniesieni, iż niezważali na trwożną niespokojność przyjaciółki. Amelja właśnie postąpiła ku drzwiom jak gdyby chciała wyjść ze sklepu; ale rotmistrz ujął ją za rękę. Był głęboko wzruszony, i głos jego drżał, kiedy mówił.

— Ameljo! rzekł on łagodnie, zaklinam cię, nie przestap tego progu, ten krok mógłby być stanowczym dla naszej przyszłości. Jest to czarodziejskie koło w które twój dobry jeńjusz wprowadził cię; nie występuj z niego nie podawszy mi ręki na znak pojednania!

Fanny patrzyła błagającym wzrokiem na swoją przyjaciółkę.

— A więc nieprzyjaciel poddaje się! rzekła Amelja cofając się od proga.

— Któżby nie poddał się takiemu zwycięzcy, z uśmiechem miłości odpowiedział de Sauden.

— Zdaje się na łaskę? zawołała szybko Amelja.

— Tego nigdy waleczny żołnierz nie zdoła uczynić odpowiedział rotmistrz, ale kapituluje.

— A warunki? zapytała żartobliwie Amelja.

— Przebaczenie?

— Przychylamy się!

— Zapomnienie?

— Przyrzekamy!

— Podanie ręki?

— Oto jest!

— Pocałowanie?

— Zbyt wiele! jednak przez zbytek łaski zezwalamy.

— Anielska dziewico! dopełnij dzieła twój dobroci; przyjmij jako chorągiew pokoju, jako znak, że gniew twój znikł zupełnie, i słońce twój łagodności zajaśniało, ten szal zrak moich, tak jak przyjmuje się małeńki datek biednej sieroty. Raz tylko, dla mojej miłości niech on otoczy twoją piękną postać, potem niech zostanie skazany na wieczne zapomnienie, nie będę dlań błagał litości. Nie prawdaż Ameljo, wysłuchasz tej dziecinniej prośby twego Maurycego, dla którego nie raz już gotowa byłaś zamienić samotną chatkę za świetny pałac?

— Prośby dzieci są niekiedy nierozsądne i niezawsze dobrze jest przychylić się do nich. Po tych suchych słowach wzmocnionych spojrzeniem nieukontowania, Amelja de Stern opuściła skład szalów, a jej przyjaciółka z wolna udała się za nią.

Maurycy de Sauden długo stał niemogąc słowa wymówić i z żalem spoglądając za odchodzącymi. Nakoniec wstrzymując łzę w męzkim oku, rzekł do kupca.

Oba te szale, odeślesz pan do mego mieszkania. Wybiegł i wsiadł do swego powozu.

Krok który Amelja uczyniła za próg składu szalów, stał się istotnie linią rozdzielającą dwa serca.

Następnego dnia, Amelja namyśliła się rozsądnie, złorzeczyła swęj popędliwości, i przysięgła nadgrozić swemu kochankowi przykrości, które mu wczoraj sprawiła, spełnieniem wszelkich jego życzeń.

Siedziała przy oknie i patrzyła na drogę, którą miał przybyć; ale godzina za godziną upływała, a Maurycy nie przybywał! Może jest słaby, mówiła dla uspokojenia trwoźnie bijącego serca, i już chciała posłać do jego mieszkania, gdy wszedł służący rotmistrza, i oświadczył, że pan jego w nocy wyjechał w daleką podróż. Prawie pozbawiona zmysłów, padła Amelja na krzesło; wróciwszy do przytomności, ujrzała przed sobą list pożegnalny Maurycego.

Pan de Sauden, opuściwszy Palais-Royal, już był powziął mocne postanowienie. Pojechał do ministra wojny, i prosił o sześćmiesięczny urlop. Przejechał prawie cały ład stały, ale smutek wszędzie mu towarzyszył.

Gdy Francja przygotowywała się do wyprawy przeciw Dejowi Algierskiemu, pospieszył do Toulonu, dla podzielenia trudów wojennych swoich ziomków. Pod Algierem został śmiertelnie raniony; na łożu śmierci oświadczył życzenie, aby go w trumnie przykryto znany nam szalem.

KORSARZ.

Przez dziesięć dni wiatr dał od wschodu i flota stojąca pod Harwich, nie mogła na morze wypłynąć. Nie jeden majtek, stojąc na brzegu niecierpliwie czekał czy się nie obróci choregiewka na wielkim maszcie; ale nadaremnie, wiatr niepomysłny trwał ciągle.

Dauntless stał w samym wylocie portu aby pierwszego tchnienia pomyślnego wiatru nie stracić, i najspieszniej popłynąć ku Portsmouth, bo przeznaczeniem jego było ścigać okręt korsarski, niosący na swoim pokładzie sławnego rozbójnika nazwiskiem Gonsalvo, który z banderą hiszpańską napadał na kupieckie okręty, mordował osadę

i zabierał pakunki. Majtkom nakazano nie oddalać się z pokładu, aby na każdą chwilę byli gotowi do odpłynięcia.

Pewnego wieczora, wszyscy ludzie okrętowi siedzieli razem pijąc grog, było nawet kilka osób obcych; dla rozweselenia towarzystwa, sternik Tom Pipes zaśpiewał piosnkę o kosarzu, tak stosowną do obecnego przeznaczenia okrętu. Wszyscy z uniesieniem przyjęli piosnkę, tylko Peter Doleful, siedział z założonemi na krzyż rękami, i nie dzielił powszechnej wesołości. Zapytany od towarzyszy o przyczynę ponurości, odpowiedział: powiadam wam, nie skończy się dla nas szczęśliwie ta podróż. Od dzieściu dni, stojemy tu na kotwicy, i stać będziemy jeszcze Bóg wie jak długo, bo wiatr nie zdaje się zmieniać kierunku. Przypominam sobie, że kiedy wypływaliśmy z pod Yarmouth, dwa przekłete kruki czy też wrony, długo krążyły do koła okrętu, i nakoniec siadły na szczycie wielkiego masztu. To był zły znak, a chociaż strzelaliśmy do nich ślepemi nabojami, nie ruszyły się wcale, aż je Tom Pipes śrótem ubił.

Wszyscy się śmieli z babskich przesądów Petera, on mimo to, tysiącnie przytaczał przykłady nieomyślności swoich wyrachowań, iż inni nie mogli nic innego uczynić jak ustąpić mu. Obecne osoby oddaliły się, rozstawiono straż nocną, a Peter Doleful wsunął się w swoje wiszące łóżko.

rozmyślając o przeszkodach jakie mają jeszcze spotkać w przedsięwziętej podróży.

* * *

Brazio de Hiero, był wsławionym korsarzem, który z dwudziestu towarzyszami gotowemi na wszelkie zbrodnie, napadał na kupieckie okręty. Najhojniejsze nagrody przeznaczone były temu, kto by go żywego lub umarłego dostawił, ale wszelkie w tym celu wyprawy, były bezskuteczne. Brazio nie był pospolitym zbrodniarzem, pochodził on z szlachejnej bardzo rodziny. Młode lata spędził w złych towarzystwach, które go uczyniły graczem, a to było źródłem późniejszych jego nieszczęść. Miał on połączyć się małżeńskim związkiem z piękną córką bogatej rodziny, i dzień zaślubin był już wyznaczony; ale na nieszczęście, przegrawszy cały majątek i zaciągnawszy mnóstwo długów, nie śmiał rodzicom swój narzeczoną, objawić prawdziwego stanu swego, dopóki cokolwiek przynajmniej z utraconych pieniędzy nie odzyszcze. Pod różnemi pozorami zwlekał dzień zaślubin, aż nakoniec wszystkie wybiegi wyczerpał i zwłoka dalsza była już niepodobną. Naradził się przeto z towarzyszami swemi, i skutkiem tej narady było postanowienie szukania pomocy przy stole gry, nie powierzając się jednakże ślepemu losowi, ale z użyciem fałszywych kości. Oczeki-

wanie zupełnie zostało spełnioném, Brazio wstał od gry z znacznemi summami pieniędzy. Naznaczono dzień ślubu, którego tym razem narzeczony oczekiwał bez trwogi. Za wygrane pieniądze kupił wspaniałe powóz, i urządził dom swój jakby pałac książęcy. Na głos sumienia, które szeptało mu, że zdradą i oszukaństwem zyskał majątek i żonę, serce jego było zupełnie głuchém.

Nadszedł dzień ślubu; wspaniale ubrany wsiadł Bruzio do powozu, i pojechał do mieszkania Izydory. Słudzy w liberji otworzyli drzwiczki, wysiadł; poranek był piękny, postanowił przeto przejść się cokolwiek po ogrodzie, pierwój nim uda się do pokoju narzeczonej. Przechadzał się po gęsto z obu stron zarosłej alei, gdy nagle, z za posągu kamiennego, wystąpił człowiek zakryty zupełnie płaszczem i rzekł: — Sennor, nim wejdziesz do pałacu, mam wam kilka słów powiedzieć.

— Któż jesteś, i czego chcesz? zapytał Brazio.

— Jestem towarzyszem twoich zbrodni, odpowiedział obcy, odsłaniając twarz swoją.

— Juan de Alva!

— Ten sam.

— Spiesz się, mów czego żadasz, bo moja dłuższa nieobecność, mogłaby wzbudzić jakie podejrzenie i zniszczyć wszystkie moje nadzieje.

— Słuchaj więc, szczęście odwróciło się ode mnie. Nie poprzestając na tém co wygrałem téj nocy, kiedy używaliśmy fałszywych kości, siadłem do gry raz jeszcze. Ale szatan mię oślepił, zamiast fałszywych kości, wziąłem zwyczajne, i przegrałam wszystko, bo niepostrzegłem mojej omyłki. Jak szalony wybiegłem na ulicę, nie wiedząc gdzie szukać pomocy, gdy przypadkiem spotkałem towarzystwo spieszące na twoje wesele, to mi ciebie przypominało, i przychodzę prosić cię o pieniądze i pomoc.

Brazio równie był zdziwiony jak rozgniewany. Cóż mogę dla ciebie uczynić, rzekł nakoniec, to co ci dać jestem w stanie, niewiele poprawi twe położenie.

— Jako! krzyknął Juan, groźnie patrząc mu w oczy, czy sądzisz że przyszedłem jak żebrak prosić cię o małą jałmużnę? Nie, ja domagam się! Albo mi oddasz w téj chwili część wygranych przez oszukaństwo pieniędzy, albo nim godzina przeminie, wrócisz do twojej nicości!

— Jak to rozumiesz? zapytał Brazio.

— Wydam jakim sposobem wygrateś!

— Ciszéj! szepnął Brazio, oto mój worek, weź, i oddal się bo jeśli nas razem zobaczą, zgineliśmy obadwaj.

W ogrodzie dały się w téj chwili różne głosy słyszeć, i Juan, który nie rad był zostać spostrzeżonym w swoim nieporządném ubraniu, oddalił się

mówiąc: — Odchodzę, ale wkrótce się zobaczymy.

Głosy zbliżyły się, przybiegło kilku służących, oświadczyć narzeczonemu iż oczekują nań w pałacu. Poszedł za nimi, i wkrótce stanął przed Izydora i jej ojcem, otoczonymi mnóstwem weselnym gości.

* * *

Dauntless jeszcze przez dwa dni stał pod Harwich, nakoniec wiatr zmienił kierunek i okręt wypłynął na morze. Wały unosiły go z szybkością ptaka i wkrótce zawinął do portu Dover. Następnego dnia wiatr był pomyslny, i Dauntless wesoło przebył kanał. Właśnie majtkowie rozmawiali o pięknej pogodzie, kiedy Peter Doleful wszedł zwolna i z zwyczajną zamysloną miną.

— No Peter, rzekł Tom Pipes, cóż słyhać? Wiatr przepyszny, żagle wydęte, dziesięć węzłów na minutę. Niedługo zobaczymy ocean atlantycki!

— Daj Boże! radbym żeby tak było, odpowiedział Peter z zwykłym spojrzeniem powątpiewania, ale zdaje mi się że niedługo wiatr przestanie dąć z téj strony.

— Cóż znowu? zapytał Jack Tompson ściągając ramiona, skądże ta zła wróżba?

— Tak, zła wróżba, odpowiedział Peter, spoglądając nań pogardliwie; te przekłete wieprze któ-

re z sobą wieziemy, ściągną na nas jakieś nieszczęście. Jeśli kapitan niemożę obejść się bez wieprzowego mięsa, dla czego niekazał porzucić ich na lądzie i mięso w beczkach zabrać. Żywe wieprze w najlepszej porze złą są wróżbą. Patrzno tylko na tę karmną bestję, jak podnosi ryj w prawą stronę. Wicież co to znaczy.

— Jakem cieśla, niewiem, odpowiedział Pat Larkins.

-- Byłem tego pewny, mówił znów Peter; o-tóż tedy on patrzy na wiatr. Zobaczycie, nim dwie godziny miną, zadmie on wam prosto w zęby.

Wszyscy rozśmieli się z prorocstwa, ale nie tak serdecznie jak zwykle. Jednak godzina za godziną upływała, nadszedł nawet wieczór, a wiatr ciągle był pomysłny.

Znowu zasiedli ludzie okrętowi pijąc grog. Pat Larkins nie mógł wytrzymać, żeby nie przyciąć zabobonnemu Peterowi. A co, zapytał go śmiejąc się, skąd wiatr dąje?

— Z północy, odpowiedział sucho Peter.

— A ryj wieprza wskazuje na południe, mówił dalej Pat, to dziwnie, jakim sposobem wieprz patrzący na południe, widzi wiatr wiejący od północy, chyba że trochę zézuje.

Peter przybrał wejrzenie pełne tajemnicy, i rzekł uszczypliwie: — Czegóż się można spodziewać po Irlandczyku, jeżeli nie ciemnoty. Otóż żeby cię przekonać, że nie masz mózgu w twojej irlandz-

kiej skorupie, muszę ci całą rzecz wyjaśnić. Nie pierwszy raz mnie być na morzu, zjadłem już połowę zębów żeglując, i uważałem zawsze bacznie na najdrobniejsze znaki, po których możemy zgadnąć bliską zmianę powietrza. Że świnia widzi wiatr, to jest pewne, nie zdołają temu zaprzeczyć wszyscy astrologowie i filozofowie. Nasz wieprz patrzył jak wszyscy widzieliście prosto na południe, i w dwóch godzinach byłby się wiatr zmienił, gdybym niedość wcześniej przypomniał sobie jeden jeszcze środek.

— A to jaki? zapytał Pat.

— Wykręciłem wieprza tak, że prosto musiał patrzeć na północ.

Pat i wszyscy inni głośno rozśmieli się.

— Śmiejcie się sobie, rzekł dumnie Peter, ale bądźcie pewni, że gdybym tego nie uczynił, znajdowalibyśmy się jutro rano z parą set mil w tył.

Zbliżyli się do Plymouth-Sund, i zarzucili kotwicę, aby zabrać na pokład dwóch spokrewnionych z kapitanem oficerów, którzy chcieli być uczestnikami wyprawy. Wkrótce wypłynęli znowu na morze. Wiatr był północno-wschodni, Peter stał przy sterze.

Okręt płynął właśnie z spuszczoną ołowianką wzdłuż ciasnego kanału, a Peter z powodu wielu skał pod wodą, bardzo uważnie sterował. Jeden z dwóch świeżo na pokład wziętych oficerów, stał spokojnie przy kompasie i gwizdał. „Rule Brita-

nia.“ Peter kilkakrotnie spojrział nań z nieukontentowaniem, nakoniec nie mogąc się dłużej powściągnąć rzekł: Sir, przestańcie gwizdać.

— Przestać gwizdać? zawołał oficer, a cóż to szkodzi?

— W tej chwili może bardzo wiele, odpowiedział Peter.

— A to śmiesznie, rzekł znowu oficer, musisz być dziwnym człowiekiem, bo nie każesz mi gwizdać, a sam czyniłeś to przed minutą.

— Prawda, ale wtedy niebyło wiatru, a teraz więcej go jest niż potrzeba.

— Iakto, więc gwizdanie wpływ wywiera na wiatr?

— Bezwątpienia. Przysłowie żeglarskie mówi: „Cicho siedź kiedy wiatr silny wieje, a kiedy cisza na morzu, pogwizdaj w tę stronę skąd pragniesz wiatru.“

Oficer rozśmiał się, odwrócił się, poszedł do kajuty, zostawiając Peterowi wolność rozrządzania wiatrem.

* * *

Szlachetni goście w pałacu Izydoży, po dopełnionym obrzędzie ślubnym, zasiedli do wspaniałej uczty, która późno w noc trwała. Nowo zaślubieni wsiedli do powozu pana młodego i pojechali do jego mieszkania. Nazajutrz odwiedził ich ojciec

Izydory i oddał swemu zięciowi bogaty posag jego żony.

Miesiąc upłynął małżonkom w niezachwianej spokojności, aż pewnego wieczora służący wszedł do pokoju gdzie się znajdował Brazio, i oświadczył, iż jakiś obcy nie chcący wymienić swego nazwiska, żąda być natychmiast wpuszczonym. Brazio zbladł, już było późno, byłżeby to który z graczy, podobnie jak Juan, żądający jego wsparcia? Nie wiedział sam co ma o tém myśleć. Już chciał odmówić widzenia się, ale w porę jeszcze namyślił się, że to zdradziłoby obawę jego, a jeśli tak było jak się domyślał, mogłoby nawet gorszy mieć koniec. Zeszedł więc do sali w której czekał nieznajomy, i poznał w nim Juana. Zdziwiony Brazio spojrział na niego i zapytał: Cóż to znaczy? Czyliż nie otrzymałeś żądanej pomocy? dlaczegoż mię jeszcze nachodzisz?

— Sennor Brazio, odpowiedział Juan z dumnym uśmiechem, nie rozumiem was. Spodziewałem się przyjaźniejszego przyjęcia, w chwili kiedy się tak żywo twojém dobrem zajmuję. Ponieważ jednak zbyt jesteś niecierpliwy, opowiem ci natychmiast powód moich odwiedzin. Nie zapomniałeś zapewne o téj nocy, kiedyś grał fałszywemi kośćmi, śmieliśmy się wtedy z głupców, których nam udało się oszukać, i ani nam się śniło, że możemy być wydanemi:

Tak jest, wydano naszą tajemnicę, ale nie lekaj się, twoje bezpieczeństwo od ciebie samego zależy. Słuchaj — odkryto, że graliśmy fałszywymi kośćmi, i że one od ciebie pochodzą, i dziś wieczór, miało cię z tego powodu odwiedzić kilku z ogranych wtenczas gilów. Twoje położenie przejęło serce moje. Pomyślałem sobie, że ty niedawno ożeniłeś się z piękną młodą kobietą, która cię kocha, a ja nie mam ani żony, ani dzieci i niedola moja dla mnie tylko samego byłaby smutną. Postanowiłem przeto poświęcić się dla przyjaźni. Wprost zaprzeczyłem temu, że miałeś udział w fałszywych kościach, i wyzwałem z skruszoną miną, że ja tylko jestem winnym.

— Szlachetny przyjacielu! zawołał Brazio, tak wspaniałomyślny postępek nie może pozostać bez nagrody.

— Ja też nie mam zamiaru odejść stąd bez nagrody, odpowiedział Juan z przyciskiem, i to właśnie jest celem moich odwiedzi. Aby ile możliwości oszczędzić czasu, wygotowałem pismo, któremu brakuje tylko twego podpisu, a interes nasz jest ułatwiony zupełnie.

— Cóż obejmuje to pismo?

— Jestto uznanie niektórych względem mnie zobowiązań, i prosty zapis połowy twego majątku.

— Nikezemny! krzyknął zapalczywie Brazio. Wolalbym żebrać, albo pójść na galery, a niżeli podobne warunki przyjąć.

— Nie unoś się Sennor Brazio, rzekł Juan. Jestem zupełnie spokojny jak widzisz. Nie podpiszesz tego układu; to stanie się z tobą jak sam teraz powiedziałeś. Dobranoc Sennor, nie będę ci już nigdy natrętnym. Znam jeszcze z tuzin towarzyszów twego oszukaństwa, pewnie chętnie odwiedzą cię i może będą szczęśliwsi odemnie. Juan postąpił ku drzwiom.

— Zatrzymaj się, nikezemny! krzyknął Brazio dobywając miecza, sądziszże, iż ujdiesz méj zemście? Życie twe jest w mojej mocy, i w tej chwili...

— Zwolna, zwolna, Sennor Brazio, odpowiedział Juan, nie unoś się. Twój miecz jest bezwątpienia silnym dowodem, ale ja mam z sobą dwóch przyjaciół, których grom będzie hasłem twój śmierci; to mówiąc, wydobył dwa pistolety i wymierzył je ku swemu przeciwnikowi.

Dwaj przyjaciele niegdyś, stali przez chwilę naprzeciw siebie, jak dwa tygrysy mierzące się ognistym wzrokiem, obaj pozostali, w stanie obronnym. Nakoniec Juan przerwał milczenie.

— Brazio, rzekł on, widzisz że jestem aż nadto przezorny, i nie wystawiam na grę mojego życia; bo znam cię dostatecznie, i wiem że jesteś wstanie, przyjaciołom którzy zadaleko zajrzeli

w księgę twego życia, jednym zamachem wieczne nakazać milczenie. Podpisz to pismo albo, natychmiast udam się do alkadów. Życie moje nic mię nie obchodzi, i chętnie wstąpiłbym na rusztowanie, byleby w twojem towarzystwie. Mam przy sobie list do Alvaresa, opisujący wszystkie nasze wspólne postęпки, i łatwo pojdziesz iż on, który i tak niechętnym ci jest od czasu jak mu z pod ręki zciągnąłeś Izydoreę i jej posag, chętnie wszystko uczyni, aby cię zgubić.

— Oddal się! rzekł Brazio, innym razem naradzimy się nad tém.

— Nie, odpowiedział Juan. Bez tego pisma nie pojędę ztąd. Podpisz, Sennor; czas mój jest policzony. Wybieraj więc, podpisz, lub przyjmij los jaki cię czeka.

— O niech wszystkie przekleństwa spadną na twoją głowę, szatanie! krzyknął Brazio i porwał pióro.

— Podpisz, powtórzył Juan, patrząc dumnie na papier, albo twoi własni słudzy, będą najpierwszemi, którym w prawdziwém świetle okaże charakter ich pana.

Drżąc z wściekłości podpisał Brazio papier, potem otworzył drzwi i zawołał: Idź niktęmny, i nigdy mi się więcej nie pokazuj.

— Bodaj się spełniło wasze życzenie, Sennor, odpowiedział Juan spokojnie składając papier. Nigdy już nie przyjdę sam, tylko jak będę potrze-

hował pieniędzy, przyśle zawsze Alvaresa twego rywala. Po tych słowach wyszedł i znikł w mgnieniu oka.

Brazio pobiegł do swego gabinetu, wziął parę pistoletów, okrył się płaszczem, i wyszedł tylnymi drzwiami w nadziei że dogna Juana i pomści się nad nim. Od chwili podpisania nie opuściła go myśl, że Juan niepowinien żyć dłużej i używać owoców swojej podłości. Wiedział on na jakie naraża się niebezpieczeństwo, ponieważ Juan miał możnych przyjaciół; dla tego tajemnie chciał zgładzić nienawistnego przeciwnika. Ale i Juan działał przezornie, zostawił bowiem służącym list, z najsurowszym rozkazem wręczenia go Alvaresowi, jeżeli on sam nie wrócił przed północą. W tym liście pisał mu, że jeżeli w ciągu godziny po wręczeniu tego listu nie przyjdzie do niego, dowodem to będzie iż został przez Brazio zamordowany.

Była prawie północ gdy Brazio wybiegł na ulicę. Posłuchał przez kilka chwil, wszystko było cicho; poszedł dalej i nagle zatrzymał się, bo w niejakięj odległości słychać było stąpanie. Spiesznie skrył się za pobliskimi słupami, stąpanie przybliżało się, — był to Juan.

— Giń nikczemny! krzyknął Brazio strzelivszy doń z pistoletu. Juan zachwiał się i upadł. Brazio rozpiął gwałtownie suknię jego i porwał papier który przymuszonym był podpisać. Wystrzał

obudził kilku sąsiadów, a Brazio wiedząc, iż bezpieczeństwo jego na tém zależy, aby niepostrzeżony wrócił do domu, podniósł z ziemi wystrzelony pistolet i spiesźnie się oddalił. Wrócił przez bramę ogrodową tak, że nikt w całym domu nie mógł domyślać się chwilowego jego oddalenia się.

Ponieważ Juan o północy nie wrócił do domu, przeto służący jego oddał Alvaresowi zostawiony przez pana list, a ten, w towarzystwie wielu przyjaciół, w godzinę potem udał się na szukanie znikniętego. Wkrótce zbliżyli się do mnóstwa ludzi, którzy zgromadzili się około jakiegoś zabitego, przystąpiwszy bliżej, z wielkiem podziwieniem i zgrozą poznali, że tym zabitym był Juan. Przyjaciele Alvaresa głośno obwiniali Brazio o morderstwo, a jeden z tłumu z powierzchowności okazujący się być żeglarzem, podniósł z ziemi pistolet, który zdawał się poznawać. Brazio! zawołał, to imię jest mi znane.

Alvares i jego przyjaciele, chcieli natychmiast wybijać do domu Brazio, ale zatrzymał ich ów żeglarz. Nie tak spiesźnie, rzekł on, ten mord pokryty jest ciemną zasłoną tajemnicy, i trudnoby wam było dowieść, że Brazio jest zabójcą. Ja znam go, pozwólcie mi udać się samemu do niego, może mi się uda zedrzyć mu maskę.

Przystał na to Alvares z swemi przyjaciółmi, i Ovieda (tak nazywał się marynarz) udał się na-

stępnego dnia do pałacu Don Brazio, gdzie nie bez trudności wstęp znalazł.

— Przyjacielu, zapytał Ovieda, gdy Brazio bla-
dy, drżącym krokiem i z trwoźnym spojrzeniem,
wszedł do pokoju, — czy nie przypominasz sobie
moich rysów? Więc już zapomniałeś twego dawne-
go towarzysza Ovieda?

Brazio przerażony cofnął się. Nie lekaj się
mnie, mówił da'ej Ovieda; nie zajmuję się już za-
dnemi sprawami na stałym lądzie. Od lat dziesię-
ciu obrałem sobie za okręg moich działań szer-
okie morze; najpiękniejszy okręt jaki kiedykolwiek
po walach się unosił, jest moją własnością, i spo-
dziewam się na nim żyć i umierać. Ale mój czas
jest policzony; przed nocą muszę być na pokładzie.
Przyszedłem ostrzedz cię o niebezpieczeństwie.
Czy jesteśmy sami? czy nikt nas nie słucha.

— Nie rzekł Brazio, mów cicho nie podobna
ścianom wierzyć.

— Słuchaj więc, Juan został zamordowany, i
ciebie mają w podejrzeniu.

— Mnie? zawołał przerażony Brazio. Moi do-
mownicy świadczyć mogą, że przez cały wieczór
z domu nie wychodziłem.

— Chętnie bym temu uwierzył, odpowiedział
Ovieda, ale jedna okoliczność mówi przeciw tobie.
Ten pistolet jeszcze dymiący się świeżym wystrza-
łem ma na osadzie nabijane złotem twoje nazwi-
sko.

Brazio nie miał siły poruszyć się. Ovieda prawdę powiedział; w chwili bowiem gdy Brazio schylał się aby odebrać zamordowanemu podpisany przez siebie papier, wypadł mu z za pasa pistolet, i w ciemności, zamiast swego podniósł jeden z pistoletów Juana.

— Sennor Brazio, rzekł Ovieda, widzisz iż wiem wszystko, i jestem jedynym, który może przekonać cię żeś popełnił to morderstwo. Ale nie mam potrzeby szkodzić ci. Nic nie skorzystam jeśli pójdziesz na rusztowanie, ale tej okoliczności nie mogę ominąć bez jakiegobądź użytkowania z niej. Jesteś bogaty, a ja nie wymagam wiele. Alvarés wszystkoby oddał aby otrzymać taki dowód twego czynu jaki ja posiadam, a ja za 10,000 franków ocalę cię. Ale czas nagli. Weź twój płaszcz i kapelusz i pójdz za mną do mego mieszkania; ja tymczasem pojde dowiedzieć się czy Juan żyje jeszcze, i czy nie wymienił swego zabójcy.

Brazio uczynił podług rady Ovieda, i wkrótce znalazł się w jego mieszkaniu nad brzegiem morza. Chytremu marynarzowi nie wiele oto chodziło czy Brazio zostanie powieszonym lub nie, jeśli stąd dla niego żadna nie wypłynęłaby korzyść; ale tu przedstawiała mu się nadzieja ubicia dwóch ptaków jednym wystrzałem. Poszedł do Alvarésa, i oświadczył mu iż za 5,000 piastrow, da mu niezbity dowód, że Brazio jest winnym.

Alvares uśmiechnął się usłyszawszy to przełożenie, i ani słuchać o niem nie chciał. Głupcze! rzekł do Oviedy, czyliż nie wiesz, że potrzebuję tylko wziąć kilku żołnierzy i schwytać mordercę.

— Bardzo słusznie, ale gdzie go znajdziesz?

— W jego domu.

Ovieda uśmiechnął się. Zwolna, zwolna Señor! rzekł. Któżby czekał spokojnie, poki po niego nie przyjdą oprawcy? Brazio aż nadto jest roztropnym, i pewno nie siedzi w domu, potem co zaszło.

— Gdzież więc mam go szukać? zapytał niecierpliwie Alvares.

— Gdzie ci się podoba, uśmiechając się odrzekł Ovieda. Ale jeśli nie potrafisz sobie poradzić, przysłój wtedy do mnie, a ja ci dopomogę.

Rozgniewany wahaniem się Alvaresa, wyszedł i wrócił do swego mieszkania, bo Brazio przez swoją łatwowierność wskazywał mu nadzieję korzyści. Juan skonał w kilka chwil po otrzymanym wystrzale, i nie mógł nikomu wyjawić kto był jego mordercą, ale Ovieda nie chciał tego powiedzieć, aby Brazio nie mógł być z tej strony spokojnym; owszem wszedłszy do swego mieszkania, odezwał się z udaną niespokojnością:

— Zła wiadomość; Juan żyje jeszcze i wyjawiał nawet powód, dla którego chciałeś go zamordować. Sąd przedsięwziął spieszne środki dla pochwycenia cię, bo lekarze oświadczyli, iż Juan de

jutra nie dożyje, w skutku odniesionej rany. Do jutra nie byłbyś tu bezpiecznym, musisz więc przed świtem uchościć w takie miejsce, w którym nie mogliby cię znaleźć. Ale przedewszystkiem potrzeba pieniędzy; ja ich nie mam, najlepiej więc będzie, jeśli mi dasz pełnomocnictwo do odebrania niejakich summ z twego domu, bo za parę godzin Alvares zamyśla sądownie zająć wszelkie twoje własności.

— Nie dożyje on téj chwili! krzyknął Brazio, i porwawszy pistolety Oviedy, zasłonił się płaszczem, i przez uboczną drogę pospieszył do swego domu. Tu zatrzymał się przez chwilę; usłyszał głos Izydory, która kogoś błagała aby jej nie oddalał z jej domu, „Zapomnij o mordercy, odrzekł inny głos, i bądź moja.“ Był to głos Alvaresa. Brazio wpadł do pokoju żony; Alvarez klęczał u jej nóg i już się nie podniósł. Przeszyty kulą, upadł nie wydawszy nawet jęku. Słudzy zbiegli się na odgłos wystrzału. Brazio, który teraz obawiał się nawet swoich domowników, wyskoczył oknem do ogrodu i w mgnieniu oka zniknął. W kilka chwil przybył Alkad z siłą zbrojną, dla ujęcia winnego. Ale to było za późno, Brazio znikł, i niepodobna było znaleźć go nigdzie.

Ovieda, który na chwilę nie stracił z oczu głównego swego celu, wszedł do pałacu Brazia zaraz po nim, i w zamieszaniu zabierał wszystko, co tylko mogło zmieścić się pod jego płaszczem. Zob-

fitym płonem pieniędzy, diamentów i innych kosztowności, wyszedł niepostrzeżony, i przez ogród zdązał do swego mieszkania, kiedy w tém z gęstych krzaków wyszedł Brazio. Obadwaj spojrzeli na siebie z zadziwieniem.

— Zkąd idziesz? zapytał się Ovieda.

— Musiałem uciekać z własnego domu, odpowiedział Brazio zaledwie oddychając. Moi nieprzyjaciele otoczyli mnie. Jestem teraz zbiegłym mordercą! Mój majątek stracony, na moją głowę naznaczono cenę! W którymże kraju znajdę przytułek?

— W żadnym, odpowiedział Ovieda. Daj pokój lądom, musisz udać się na morze. Lepiej przecie utonąć, aniżeli dać się schwytać. Przytém niebędziesz żebrakiem, a winienes to mojemu mężtwu. Patrz, to pudełko z brylantami, te dwa worki z piasrami, i te wexle, którym brakuje tylko twego podpisu. W całej Hiszpanji każdy bankier wypłaci ich wartość, bylebyśmy dopłynęli do jakiego odległego portu, nim się rozejdzie wiadomość o twojem nieszczęściu.

Brazio patrzył błędnie przed siebie, jakby nie pojmował co się w koło niego dzieje, tak dalece pomięszaly go wypadki dwóch dni ostatnich.

Pójdź przyjacielu Brazio, mówił dalej Ovieda, noc się zbliża, trzeba spieszyć na pokład. W Hiszpanji niema dla ciebie bezpieczeństwa, ale trzeba pogardzać niedolą. Podziel się ze mną tém, co

dla ciebie ocaliłem, zostaw mi piastry, a sobie weź brylanty i wexle, i pójdz ze mną na okręt. Będziesz żył wesoło i spokojnie, a jeśli ci się nasze życie nie podoba, będziesz miał zawsze dość czasu wrócić tutaj.

Brazio zezwolił. — Oto moja ręka, zawołał, jestem twoim, uczyn ze mną co ci się podoba.

Podzieliwszy się zdobyczą Owiedy, pobiegli do czółna, które ich wkrótce zawiozło do okrętu, i skoro tylko wstąpili na pokład, podniesiono kotwicę. Zaledwie Brazio przyjrzał się swojemu nowym towarzyszom, którzy zdawali mu się dziwnym zbiorem rozmaitych narodów, gdy wszedł Owieda, w inném zupełnie ubraniu. Miał futrzany kapełusz na głowie, z trupa głową z przodu, ogromny pałasz i cztery pistolety za pasem. Wszystkie paki towarów na pokładzie ustawione, uprzątnięto, i z pod nich ukazały się działa. Cała osada uzbroiła się jak najspieszniej. Brazio jeszcze z niemém zadziwieniem przyglądał się téj zmianie, kiedy przystąpił doń Owieda, i kładąc mu poufale rękę na ramieniu rzekł:

— Przyjacielu Brazio, pojmuje twoje zadziwienie, sądziłeś, że znajdujesz się na okręcie kupieckim, a to rzecz zupełnie ma się inaczej. My sobie bez zatrudnienia pływamy, tylko nie przepuszczamy żadnego ładunku, który nam w ręce popadnie. Znają nas dobrze, bośmy niejeden już okręt kupiecki z dymem puscili. Słyszałeś bezwątpienia o sla-

wnym Gonzalvo, on sam stoi w tój chwili przed tobą. Wiesz teraz gdzie jesteś, jeśli nie chcesz zostać między nami, każę cię zaraz na ląd wysadzić, jeśli zaś zostaniesz, będziesz miał równy ze mną stopień.

Brazio wołał to ostatnie, i przysiągł żyć jak korsarz.

* * *

Dauntless opuścił Falmouth i znajdował się teraz na oceanie atlantyckim. Z pomyslnym wiatrem przybył do zatoki biskajskiej, powietrze było bardzo łagodne.

Dnia pewnego, około drugiej godziny po południu, majtek siedzący w koszu, dał znak, że postrzeżga okręt płynący pełnym żaglem, i takiego kształtu jak opisano okręt korsarza Gonzalvo. Okręt ten z hiszpańską handerą bez obawy zbliżał się coraz bardziej.

— Jeśli to ten, którego szukamy, to będziemy mieli co do roboty! zwołał kapitan. Zakryjcie otwory przed działami, bo zdaje się, że oni nas mają za kupców.

Obcy okręt coraz bardziej się zbliżał, nakoniec wywiesił czerwoną banderę.

— Odkryć działa! krzyknął kapitan, wpakujcie mu w bok cały ładunek! — Ale ładunek został za

późno wystrzelony, korsarski okręt płynął jak strzała i Anglicy na ten raz stracili go z oczu.

Wkrótce potem, kiedy osada bawiła się znowu śmieszną kłótnią, jaką toczyli między sobą Pat Larkins i Peter Doleful, nagle z kosza zawołał majtek:

— Okręt przed wiatrem!

Kapitan wziął lunetę. — Ten sam okręt! zawołał po chwili: Hola chłopcy, wiatr dmie, tym razem nie ujdą nam.

Wiatr był gwałtowny; Dauntless rozwinął wszystkie żagle i popłynął jak strzała. Wkrótce zbliżyli się na strzał do okrętu korsarskiego, i wystrzelili ze wszystkich dział. Zachwiał się korsarski okręt, ale to tylko na chwilę. Lecz za drugim strzałem wielki maszt upadł, i na pokładzie powstało wielkie zamieszanie.

Strzały angielskiego statku wielką zadały korsarzom klęskę; Owiada był śmiertelnie raniony. Gdy go złożono na żaglu, skinął na swego towarzysza Brazio, aby się doń przybliżył, a osadzie kazał się oddalić.

— Przyjacielu Brazio, rzekł umierający, moja godzina nadeszła, i wkrótce moje życie uleci. Nasz okręt został tak uszkodzony, iż niepodobna umknąć z nim przed ścigającymi Anglikami. Z obu stron śmierć jest nieochybną, ale nie mogę znieść tej myśli, żeby moi towarzysze mieli wisić. Jesteś odważny nieraz jak bohater gardziłeś śmier-

cią. Ty możesz uwolnić wszystkich od hańby Prochownia jest pełna, od ciebie zależy, żeby moi ludzie zginęli tak jak żyją, to jest jak dzielni mężowie.

Brazio uściskał podaną mu rękę, i zawołał: Na wszystkie moce piekielne, to stanie się jak żądasz!

Jeszcze jeden postrzał trafił Owidę. Trup jego potoczył się na pokładzie. Rozpaczający korsarze raz jeszcze pobiegli do dział. Wtém zablysnęło okropne światło ze środka okrętu. Brazio wypełniając wolę swego towarzysza, podłożył ogień prochowni. Przerażona osada wydała okrzyk rozpaczony. Okropny wybuch zagłuszył wszystko, a gdy potem wiatr rozpedził chmurę dymu, nie widać było najmniejszego śladu okrętu ani ludzi.

N A P O L E O N

N A Z W A L I S K A C H P A L M Y R Y .

Pewnego zimowego wieczora w 1804 roku, zgromadziło się w żółtym salonie Józefiny około dwudziestu osób; zimno było przejmujące, kobiety cisnęły się do komina, i możnaby było mniemać, że nawet w dobrze ogrzanym pokoju starają się schronić przed gwałtownym wichrem, który zewnątrz ryczał. Napoleon spoczywał jak zwykle, w pół leżąc na sofie, gdzie głębokie jego zamyślenie przerywał często gwałtowny szum burzy. Nakoniec, przesunąwszy kilkakrotnie ręką po czole, jakby chciał nakazać milczenie swoim myślom, powstał szybko z sofy. — „Podobna burza, ryczała pewnej nocy, gdyśmy znajdowali się pod Saint-Jean d'Acres, mój namiot został porwany wiatrem, i obudziłem się pod gołym niebem. Ale ten mały przypadek nie tyle mię obszedł, ile inne zdarzenie, które mi się trafiło w puści. Jest to dziwny wypadek, muszę wam go opowiedzieć. „Po tych słowach zaczął przechadzać się po salonie szerokimi krokami, jak to zwykle czynił, opowiadając.

Przybyliśmy właśnie do Syrii, zaczął dalej mówić. Armja moja zatrzymała się. Wszysey uniosili się nad wzniosłemi zwaliskami, których ani pędzel malarza ani pióro poety dokładnie nie zdoła przedstawić. Przed nami wpośród morza piasku, rozciągała się aż do niedojrzanej odległości, niegdyś tak wspaniała Palmyra, ten olbrzymi skielet świetności, o której teraz trudno powziąć dokładne wyobrażenie. Niepodobna wystłowić uczuć powstających na widok tych niezmiernych dowodów ubiegłej potęgi. „Patrzcie! tak wolają te zwaliska, którym trzysta wieków nie zdołało wydrzeć ich wielkości, i sądzić po tém, co pozostało, o świetności czasów, do których należemy. Ta świetność zagasła, burza spustoszenia zniszczyła korony naszych królów, zamieniła na proch ich potęgę! Ale burze trzechset wieków, oszczędziły nas dlatego, aby okazać późniejszym pokoleniom z jakiego szczytu wielkości upadła potęga monarchów, którzy nas wznieśli!“

Nie zdołam wystawić, jak głęboko wzruszył mnie ten widok, mówił dalej Napoleon; rozkazałem rozbić namioty niedaleko zwalisk, światło naszych strażniczych ogni odbijało się od nich. Przez cztery godziny siedziałem samotnie w moim namiocie, i patrzałem na ogromne szczątki oświecone ogniami obozowemi, tak, iż mogłem wyraźnie różnicować pelue smaku ozdoby tych arcydzieł architektury.

Nakoniec około północy, wrzawa obozu wokoło mnie zupełnie ucichła. Moje wirusy spały na piaszczystém łożu. Pójdę obejrzyć te zwłoki królowej pustyni, rzekłem sam do siebie, wstając szybko, w téj uroczystej godzinie pójdę błędzić wpośród tych pamiątek, których wymowa tak silnie odzywa się do dusz zdolnych zrozumieć język kamieni, może jęńjusz wieków zechce mi co powierzyć.

W kilka chwil znajdowałem się wpośród zwalisk; odgłos kroków moich, wypędził mnóstwo szakali, których przenikliwe wycie odbiło się od ścian téj wielkiej samotni. Usiadłem na obalonéj kolumnie, i oddałem się marzeniom o przemijającej wielkości dzieł ludzkich, gdy w tém lekki szelest ocucił mię z zamyślenia. Zrazu myślałem, że to jest odgłos stóp szakala, który mógł się w pobliskich sklepieniach ukrywać, ale wkrótce przy świetle księżyca, który w téj samej chwili z poza chmur wypłynął, rozróżniłem wyraźnie postać ludzką, w białéj zasłonie. Nie przeląkałem się, nawet prawdę mówiąc, nie bardzo się zdziwiłem. Dotąd nie wierzyłem w nadprzyrodzone zjawiska, ale rozumowania filozofów nie przekonywały mię zupełnie, że podobne zjawiska są niepodobieństwem.

Co w téj chwili myślałem, sam niepamiętam, ale moja niepewność niedługo trwała. Postać zbliżała się do mnie szybkim krokiem, była to młoda,

piękna kobieta, która, zapewne aby mię uspokoić, zdaleka już zawołała po włosku:

— Nie chciej jenerale, obwiniać szczególnego mego postępkę, wysłuchaj pierwój moich powodów. Potrzebowałam z panem samym pomówić, od czasu jak armja opuściła Kair, idę z nią ciągle w ubiorze wiwandjerki, aby ukryć mój stan prawdziwy.

— W jakimże celu czynisz to pani? zapytałem.

— Natychmiast dowiesz się jenerale, odpowiedziała, wskazując mi abym usiadł, z czego wniesć mogłem, iż opowiadanie jój nie będzie krótkiem.

— Jestem twoją rodaczką, jenerale Bonaparte, zaczęła znowu piękna z ruin, a nawet twoją daleką powinowatą.

Wymieniła mi swoje nazwisko, ale wam mogę tylko powiedzieć, że jój imie było Eleonora, i że pochodziła z Ajaccio.

— Znasz jenerale, kapitana Armanda P... mówiła dalej, jest on także twoim rodakiem, i dla niego to znajduję się w Egipcie, dla niego, szłam z armją przez płonące piaski pustyń.

— A, teraz domyślam się, przerwałem jój, bezwątienia pomiędzy jego i pani rodziną, istnieje *vendetta* (zaprzysiężona zemsta). Miałażbyś zamiar...

— Od trzech lat, rzekła Eleonora, moja naj-
główniejsza miłość wszelkich dokładała starań dla znisz-

czenia téj rodzinnej nienawiści, której płomienia wiek cały i krew wielu serc szlachejnych nie zdołały przygasić,

— A Armand, jestże dla niej wzajemnym?

— On mnie zna zaledwie.

— W takim razie, sądzę, że pani wplatałaś się w awanturkę, która wpośród wojskowych wkrótce nieprzyjemne dla pani mieć może skutki.

— Rozumiem cię, jenerale, ale upewniam cię, że rozwiązanie tego węzła nie może szkodzić sławie szlachejnej Korsykanki. — Po pierwszym twojem zwycięztwie we Włoszech, mówiła dalej, Armand na krótki czas zjawił się w Ajaccio. Chociaz dopiero był podporęcznikiem, już jednak zjednał sobie sławę walcząc przy twoim boku, cięcie szabli upiękniło jego męskie oblicze, a mundur Gidów podwyższał kształtną jego postać. Cóż mam ci powieścić — pokochałam go z pierwszego wejrzenia! Ale sądz o mojem nieszczęśliwem położeniu. Zaledwie przybył Armand, ocuciła się cała dłoń nienawiść mojej rodziny. Moi rodzice nieraz dali mi słyszeć te przerażające mię słowa.

„Dlaczegoż ręce nasze nie mają dość siły, aby utopić sztylet w sercu Armanda, dla czegoż Eleonora nie jest mężczyzną!“

Te wykrzyknienia, mocne na mnie czyniły wrażenie, i choć nie byłam w stanie zdać sobie sprawy z myśli, które tłumnie snuły się w méj głowie, pojęłam jednak podobieństwo słuchania głosu mi-

łości, udając przed rodziną; że z całą gwałtownością ich nienawiść podzielam. Widziałam Armanda w liczném towarzystwie, jego oczy kilkakrotnie ku mnie się zwracały, słyszałam jak szeptał swoim przyjaciółom pochwały mojej piękności, — to jenerale, było słabą podstawą na której zakładałam moje nadzieje,

Tymczasem Armand znowu opuścił Korsykę, zabierając z sobą moje serce, i spokojność całego mego życia. Wielki Boże! jakże żałowałam iż oddalił się nie znając moich uczuć! Miałam wtedy lat osmnaście, w tym wieku łatwo łudziemy się nadzieją, ja wmawiałam w siebie, iż Armand podzieli moje uczucia jeżeli tylko znajdę sposobność zobaczenia go znowu. Moja rodzina równie jak ja, smuciła się odjazdem Armanda, ale dla tego że utraciła sposobność nasycenia swęj zemsty krwią nienawistnego przeciwnika,

Nakoniec mój zamiar dojrzał. Jeden z moich stryjów niepawidził Armanda bardziej niż reszta rodziny, i zazdrościł szczęściu Wenecjan, którzy mają zawsze pod ręką bandytów, zapomocą których łatwo mogą się pozbyć celu swęj nienawiści. Podobnej chwili jego uniesienia użyłam do mego zamiaru: — Ja, zawołałam nagle, ja chcę dowieść, że pragnienie zemsty zdolne jest uzbroić ramię bezsilnej nawet kobiety!

— Jakto? co przez to rozumiesz? zapytał mój stryj.

— Wynajdź mój stryju sposób, żebym pojechała do Włoch, a przysięgam, że sława Armanda w samym pączku zostanie zniszczoną.

— Twoja myśl jest wzniosła, rzekł zapalony starzec. Posłuchaj mnie; dwa mamy powody do zglądzenia Armanda: zaspokojenie naszej zemsty i znakomitą korzyść. Armand jest ostatnim szczepem nienawistnego nam rodu, jeśli go zamordujemy, czeka nas sława zadania ostatniego ciosu w walce od lat stu toczącej się, i to jeszcze ręka kobiety. Ale, o czém nie wiesz zapewne, z śmiercią jego cały jego majątek w nasze ręce przechodzi. Zważ tylko co za rozkoszna myśl dziedzictwo wroga!

Zadrżałam na tę zbrodniczą mowę, ale ukryłam moje wzruszenie; stryj mój mówił dalej: — Dwie twoje ciotki mieszkają we Włoszech, jedna w Weronie, druga w Wenecji. Jutro odjedziesz pod pozorem odwiedzenia jednej z nich; znajdziesz się wpośród wojsk Bonapartego; młodej, pięknej kobiecie łatwo będzie ściągnąć na siebie uwagę dobrze wychowanego oficera. Cel uświęca środki użyte do jego osiągnięcia. Napiszę do moich sióstr, aby je zawczasu uwiadomić, że dla spełnienia zamiaru, który równie je obchodzi jak resztę mojej rodziny, może wypadnie ci postępować nie tak, jakby na twoje urodzenie i stan przystało. Rozumiesz mię Eleonoro? Wszystko co jest potrzebne, jest godziwe.

Oburzenie moje gotowe było wybuchnąć, ale nagle przyszło mi na myśl iż przyjmując pozornie przełożenia stryja, ocalę życie Armanda, na którego może nasiałby bandytów.

— Palam niecierpliwością wyjechania jak najprędzej; odpowiedziałam przezwycieczając moje uczucia.

— Pieniądzy nie będzie ci brakować, rzekł dalej mój stryj, i dodał z złośliwym uśmiechem: musisz praść złote sieci wkoło siebie, aby w nie wpadł nasz nieprzyjaciel.

I już następnego poranku, znajdowałam się z moją pokojową i jednym służącym, na pokładzie statku płynącego do Livorno. Armja twoja jenerale, ciągle gwałtowne czyniła postepy, i Werona znajdowała się już w waszej mocy, kiedy przybyłam do mojej ciotki mieszkającej w tém mieście.

Mój stryj nie omylił się w swoich rachubach, ciotka podzielała jego uczucia, była ona okrutną i chciwą. Już trzy tygodnie mieszkałam u niej, a nie mogłam znaleźć sposobności zbliżenia się do Armanda który walczył przy twoim boku. Byłabym pół życia oddała, żeby choć na chwilę ujrzeć tego, którego wspomnienie stanowiło całe szczęście moje, ale jakimże sposobem mogłam go znaleźć wpośród wojska, które ciągle zatrudnione było w dzień nowemi zwycięstwami?

Pewnego wieczora znajdowałam się z moją ciotką w teatrze, i cała zajęta miłością, patrzałam na

scenę, nie widząc co się na niej dzieje, i słuchałam śpiewu, nie rozumiejąc go wcale. Serce moje było gwałtownie, czułam, że ma mię coś nadzwyczajnego spotkać; wtém Jenerale, otworzyły się drzwi naszój loży i wszedł Armand, zdawało mi się, że ducha ujrzałam i utraciłam przytomność. Przyszedszy do siebie, znalazłam się w sali przyległej lożom, przy otwartém oknie, a ciotka moja i Armand starali się nieść mi wszelką pomoc jakiej stan mój wymagał.

Wróciwszy do loży, szepnął mi Armand, usiadłszy obok mnie: — Zdaje mi się, pani, że miałem już szczęście widzenia pani, podobno w Ajaccio; a jednak sędzę, że ta korsykańska dama, którą zdaje mi się poznawać w osobie pani, niepodobna żeby w téj chwili zaburzeń wojennych, znajdowała się na stałym lądzie.

Gdybym sama z nim była, bezwątpienia wyznałabym mu wszystko, ale wiele mi zależało na tém, żeby ciotka moja nie domyślała się kogo ma przy sobie, bo znajdując się w kraju bandytów, mogłaby powziąć chęć pozbycia się zapomocą ich sztyletów, nienawistnego wroga. Ale moja ostrożność była zbyteczną, jak się wkrótce przekonałam. Dwaj oficerowie ztego samego pułku co Armand, przechodząc koło nas podczas mego zemdleńia, mówili z nim i wymienili jego nazwisko. Moja ciotka zatem wiedziała, że ten który się tak żywo moją słabością zajmował, był ostatnim

szczałkiem rodziny żyjącej, od stu lat w nieprzyjaźni z naszą rodziną.

— Widzę, że omyliłem się, mówił dalej Armand smutnie, bo gdybyś pani była tą młodą korsykanką, za którą cię miałem, nieznajdowałabyś się tu, a przynajmniej nie przy mnie.

— Dlaczegożby nie panie? zapytałam więcć żywo niż ostrożnie.

— Ach! odpowiedział, Armand z głębokiem westchnieniem, są okoliczności, okropnie niekiedy ciężące nad losem ludzi, okoliczności, na które użalamy się, przeklinamy je, a jednak zamilczamy, bo choć zupełnie niewinni, nie możemy wspomnieć ich bez zarumienienia. Ja i ta korsykanka, którą przypominają mi rysy pani, znajdujemy się pod wpływem podobnej nieszczęśliwej okoliczności. Rodziny nasze żyją w najzaciętszej nieprzyjaźni, i gdybym nie oddalił się z mojej rodzinnej ziemi, możeby dotychczas sztylet niewiadomą prowadzony ręką, zanadto blisko zapoznał się z moją sercem.

Moje dziecię, przerwała mu ciotka moja, zwracając do mnie mowę, lękam się, żeby panujące tu gorąco, nie osłabiło cię powtórnie, pójdźmy lepiej do domu.

Armand ofiarował się towarzyszyć nam; ale moja ciotka nie przyjęła jego ofiary, odmówiła nawet prośbie jego, o pozwolenie odwiedzenia nas niekiedy, wymawiając się, iż żyjemy zupełnie sa-

motnie, i że pobyt jego u nas, zadziwiłby naszych sąsiadów. Armand skłonił się w milczeniu, ale rzucił na mnie wzrok pełen znaczenia, na który ja wymowniejszém jeszcze spojrzeniem odpowiedziałam.

— Czy wiesz, kto jest ten młody mężczyzna, który cię zemdloną wyniósł z łoży? zapytała mię ciotka po odejściu Armanda.

— Czy znasz go kochana ciociu?

— Nie znałam go, ale wymieniono jego nazwisko. Jestto Armaud P., wiedziałas o tém tak dobrze jak ja. Widziałam z twojej twarzy, że nie jest dla ciebie obcym. Ale wzruszenie twoje na jego widok, przekonywa mię, iż nie miałabys dość siły do wypełnienia obowiązku zemsty, jaki na siebie przyjęłas. Muszę to donieść twemu stryjowi.

Następnego wieczora oddychalam siedząc w otwartém oknie, świeżém powietrzem ogrodu mojej ciotki, w odległości, widziałam francuzkie placówki, a ich wojenne *qui vive!* szczególną tworzyło sprzeczność z melodyjnymi brzmieniami gitar tu i owdzie słyszeć się dających. Nagle ujrzałam jak się otwierały małe drzwiczki ogrodu, a w kilka chwil przesunęła się ciemna postać, w której poznałam ponurego Alberti, przyjaciela i doradcę mej ciotki. Zwykle nie przychodził on tak późno, i tak tajemnie.

Alberti nie mógł mię dostrzedz; bo świece były u mnie pogaszone, i ciotka mniemała, że już od-

dawna spałam. Pokój mój oddzielony był tylko drzwiami od pokoju mojej ciotki. Po cichu przysunęłam się do drzwi, i usłyszałam następującą rozmowę.

— Sądziś więc, że oni znają się i kochają, zapytał Alberti.

— Pewną jestem, mój przyjacielu! Nie zdoła ona nigdy dopełnić tego czynu; chciałam widzieć się z tobą dla naradzenia się, czy nie trzeba by użyć w jej miejscu najętego bandyty.

— I owszem, ja sam nawet postaram się o niego.

— Dobrze, niech więc jutro o dziesiątej przyjdzie do cyrku, ja tam będę niewątpliwie, trzeba nam spieszyć się, żeby nam Armand nie umknął.

— Przyślę bandytę o dziesiątej niezawodnie. A teraz, dobra noc, mam jeszcze niedaleko ztąd mały interes.

Okropnym przestraczem zdjęta; cofnęłam się do drzwi, i za ledwie poranek zaświtał, posłałam przez moje wierną pokojową, następujący bilet do Armanda: Panie Kapitanie! natychmiast, tego poranku wyjeżdżaj ztąd, twoje życie jest zagrożone. Naprózno staralbyś się tu w Weronie uniknąć sztyletu-mordercy. Ta, która panu tę radę daje, za ośm dni znajdować się będzie w Wenecji. Jeśli dziewiątego dnia, od dziś licząc, będziesz wieczorem w kościele Santa-Marja pod drugą kolumną po prawej stronie, wtedy dowiesz się powodów niniej-

szego pisma. Ale teraz, uciekaj z Werony, uciekaj natychmiast! Nie spuszczaaj się na twoją waleczność, którą tyle razy okazywałeś w bitwach, mordery, uderzają w ciemności. Nie zapomnij pan kościoła Santa-Maria.

Moja powiernica miała oddać ten list kapitanowi w własną rękę, ale nieodpowiadać na żadne jego zapytanie. Była posłuszną. Armand przeczytał list mój w jej obecności; w jego rysach nie dała się zobaczyć żadna zmiana. Miałem i tak dziś opuścić Weronę, ponieważ dopełniwszy powierzonego mi zatrudnienia, wracam do głównej kwatery, ale za dziewięć dni będę w Wenecji. Nie omyliłem się, to ona, dodał po cichu, tak jednak, żeby moja posłanka mogła usłyszeć.

We dwa dni potem, oświadczyłam mojej ciotce, iż wyjeżdżam do Wenecji dla odwiedzenia jej siostry; nie czyniła mi żadnych przeszkód, i tego samego dnia byłam już w drodze do Wenecji.

Ciotka moja mieszkająca w tym mieście, którą nazywała się Lemaida, była młodą, piękną i otoczoną rojem wielbicieli; byłam więc w jej domu tyle wolną, iż mogłam czynić co mi się podoba.

Wieczorem w dniu oznaczonym, udałam się w towarzystwie mojej pokojowej do kościoła Santa-Maria; Armand już się tam znajdował; ujrawszy mnie, zbliżył się szybkim krokiem.

— Zaklinam cię, pani, zaczął mówić z żywością, usunąć dręczącą mnie od dziewięciu dni niepewność;

Jeśli moje przeczucie nie zwodzi mię, jeśli pani jesteś Eleonora M., to ja jestem najszcześniejszym z ludzi.

— Jestem tą samą! odpowiedziałam z bijącym sercem. Przybyłam do Włoch, jakim bądź sposobem, zakończyć nieprzyjaźń dzielącą od tylu lat nasze rodziny. Przybyłam tu, aby panu życie ocalić, a mojej rodzinie oszczędzić zbrodni; w tej chwili nie mam innego życzenia, jak widzieć cię zdalą od niebezpieczeństw, które ci grożą.

A więc pozwól mi pani mieć nadzieję, iż wolno mi będzie tobie poświęcić ocalone przez siebie życie! Bo cóżby mi przyszło z mego istnienia, gdybym go z twojem nie mógł połączyć? Czyliż nie zdołam najgorętszą miłością przewyciężyć rodzinnej nienawiści?

— Myślmy teraz tylko o niebezpieczeństwie, jakie panu zagraża, przerwałam mu pomieszana; jak długo pozostaniesz pan w Wenecji?

— Przyjechałem tu z poleceniem do Jenerała Angereau, i pozostanę przez trzy dni jeszcze.

— Może wypadnie skrócić wasz pobyt tutaj; moja ciotka z Werony pragnie krwi waszej i obawiam się, czy nie wysłała za wami najętych morderców.

— Mogę powierzyć się memu orężowi, droga Eleonoro, i nielekam się morderców. O jak byłbym szczęśliwym, gdybym mógł tych trzech dni

użyć na przekonanie cię, że moja miłość dla ciebie tylko z życiem mojem może się skończyć.

— Jeśli mię istotnie kochasz! rzekłam z czułością, której nie mogłam ukryć, tedy naradz się zemną nad sposobami zabezpieczenia twojego życia.

— Mów, Eleonoro, rozkazuj, twoja wola jest moją.

— Jutro z rana na wielkim kanale oczekiwać będzie gondola, z czerwoną flagą; o ósmój godzinie przybędę tam.

W tej chwili zbliżyła się do nas szybko moja powiernica Tamira, oświadczając, iż dostrzegła jakąś ciemną postać, która się wsunęła za słup na przeciwko nas będący, bez wątpienia dla podsłuchania naszej rozmowy. Armand odwrócił się szybko i dostrzegł człowieka zaslonionego czarnym płaszczem, który jednak klęczał i zdawał się modlić. Osądziliśmy jednak za potrzebne, rozłączyć się. Ja powróciłam do mieszkania mojej ciotki, ułożywszy się z Armandem że się zobaczymy o ósmój naza jutrz, na wielkim kanale.

O przeznaczonej godzinie, znalazłam mego kochanka oczekującego na mnie w gondoli. Zdawał się być zdziwionym, postrzegłszy że dwóch gondolierów zamiast jednego, siedziało z wiosłami w ręku; niedługo jednak zajmowaliśmy się tą okolicznością i gondola popłynęła lotem strzały. Mój kochanek przyciskał dłoń moją do swego serca, i najęci jedynie naszymi uczuciami, poprzysięga-

liśmy sobie wzajemnie wieczną miłość. Nagle powstał jeden z gondoljerów, i z dobytym sztyletem rzucił się na Armanda. Ale Armand wcześniej postrzegł jego zamiar, silną ręką, rozbroił go, przebił własnym jego sztyletem i wrzucił w kanał. Potém odwrócił się w zapalczywym gniewie do drugiego gondoljera. Nędzny! krzyknął piorunującym głosem, jeśli jesteś współnikiem zbrodniarza, którego w tej chwili ukarałem, drżij o twoje życie!

Winny czy nie; gondoljer rzucił się do nóg Armanda i przysiągł że morderczy zamiar jego towarzysza, zupełnie był mu nieznany.

Blady jak śmierć, i z zmienioném obliczem, zwrócił się Armand do mnie, która drżałam jak listek. Niegodna! zawołał, to więc było twoim zamiarem? Z Werony tu mię zwabiłaś aby pod pokrywką miłości twoją zemstę nasycić! Hańba tobie i twoim!

Napróżno starałam się go uspokoić, i przekonać o mojej niewinności wściekłość jego nie znała granic. Gondola zbliżyła się do brzegu, Armand wyskoczył z niej, wymówił jeszcze kilka słów okrutnych dla mnie, i zniknął.

Wróciwszy do mieszkania mojej ciotki, spędziłam okropną noc w moim pokoju. Następnego dnia dostałam gwałtownej gorączki, zmysły mnie odstąpiły, i w tym stanie przepędziłam miesiąc cały. Dowiedziałam się iż ciotka moja miała o mnie najikliwsze staranie, i że najslawniejszych lekarzy

wzywała do mnie. Dopiero po zupełném wyzdrowieniu powiedziano mi, że mój okrutny stryj i mściwa ciotka z Werony, umarli w ciągu mojej słabości. Dowiedziałam się także, że Armand nie oddalił się z Wenecji będąc przeznaczonym do sztabu Generała Angereau; ale niestety! i tego mi nie tajono, iż wszystkie starania mojej ciotki, której Tamira odkryła tajemnicę mojego serca, aby przekonać Armanda o mojej niewinności, bezskuteczne były, i że on otwarcie stara się pozyskać serce zachwycającej księżniczki Berberoni, siostrzenicy zmarłego doży.

W osm dni potem opuściłam Wenecję. Szalona, mniemałam, iż niesprawiedliwe względem mnie postępowanie Armanda, zniszczyło już moją dla niego miłość. Mój majątek, przez śmierć stryja i ciotki potroił się; udałam się do Paryża z Tamirą, która dla zachowania przystojności, wystąpiła jako moja ciotka. Ale tu miłość moja ocuciła się z nową siłą. Dowiedziałam się, że Armand połączył się z wojskiem, które ty jenerale prowadziłeś do Egiptu. Wsiadłam na pierwszy okręt, i w ubiorze wiewandjerki, wysiadłam na brzegach Afryki we dwa miesiące po przybyciu w to miejsce armji francuzkiej. Zostawiłam w Paryżu bogactwo i wszystko co może uprzyjemnić życie, dla miłości spełniłam tę ofiarę, ale nie śmiałam się pokazać oczom tego, dla którego tylko żyję. Dni, tygodnie przeminęły,

• a ja nie miałam odwagi zbliżyć się do niego; wyrzucałam sobie sama tę słabość, ale nie mogłam jęj przewyciężyć. Nakoniec postanowiłam do ciebie się udać jenerale, i prosić cię o pomoc; długo starałam się zbliżyć do ciebie i błagać o pośrednictwo między mną i Armandem. Ale zajęty byłeś ważniejszymi przedmiotami, nie chciałam cię zatrudniać uczuciami cierpiącej kobiety. Nakoniec dziś zdawało mi się, że mogę ci się powierzyć, gdym cię widziała wychodzącego w nocy z twego namiotu. Jenerale, czyliż zawiodłam się, licząc na twoję czułość?

Na tém skończyła swoje opowiadanie Eleonora, mówił pierwszy konsul. Jęj nieszczęście bardzo mię wzruszyło, ale jęj szczególne żądanie, żebym był pośrednikiem między nią i Armandem, nabiwiało mię niemałego kłopotu. Namysliłem się przez chwilę, i rzekłem: Chciałbym bardzo usłużyć mojej młodej rodaczce, ale nie wiem jak się wzięść do tego. Serca moich oficerów, nie ulegają mojej wojskowej władzy, pani sama musisz w tym względzie działać. Trzeba cię zbliżyć do niego, rozumiesz mię pani? Powiemy naprzykład, że jeden z moich przyjaciół, były jenerał, przysłał mi swego syna jako ochotnika; ten młodzieniec, to jest pani, przybył dzisiejszego wieczora. Nie naturalniejszego, że między oficerami mego sztabu, wybiorę dlań Mentora, wybór mój pa-

dnie na kapitana Armand, czy przyjmujesz pani ten plan?

— Ach, z najżywszą radością jenerale! a moja wdzięczność...

— Nie mówmy o tém! niedoli pani, trzeba przecież raz koniec położyć. Ale skąd weźmiemy ubiór męzki.

— Mam go, Jenerale!

— A więc wszelka trudność już usunięta. Jutro, albo raczej dzisiaj, bo już za temi zwaliskami pokazuje się jutrenka, pierwój nim się wojsko zgromadzi, przybądź pani do mego namiotu, w ubiorze męzkim, a ja każę przyzwać kapitana Armanda. Ale jesteś pani pewną, że on cię nie pozna? Bo pojednanie za rozkazem nie może być wystarczajacém.

— Bądź spokojnym jenerale, Armand widział mię tylko kilka razy i to przy świetle albo wieczorem. Prócz tego, mocno zmieniłam się od tego czasu; smutek wysuszył moje lica, zbladł koral ust moich, a od słońca Afryki ogorzała twarz moja.

Wróciliśmy do obozu. O kilkadziesiąt kroków przed pierwszą placówką, rozeszliśmy się. Wkrótce po wschodzie słońca, ujrzałem wchodzącego do mego namiotu, mojego młodego ochotnika z listem w ręku. Eleonora była zachwycającą w męzkim ubiorze, i prawie gniewałem się, że zamias

pośrednika, nie przyjąłem na siebie roli pocieszyciela.

Udawałem że czytam list, który mi podała, pytałem się o zdrowie mniemanego jej ojca, bo Bertier, Laanes, Lavalette i inni byli obecni; potem odpowiedziałem, że mój przyjaciel nie omylił się licząc na mnie. Z nami mój młody przyjacielu odbędziesz twoje pierwsze próby odwagi, tu łatwo może ci się zdarzyć sposobność okazania twego zapału, mówiłem, lekko uderzając po ramieniu mniemanego ochotnika. Ale komuż mam cię powierzyć, aby cię nauczył powinności dobrego żołnierza.

— Muie, mnie, mnie, Jenerale! zawołało wiele głosów.

— O, nie, odpowiedziałem śmiejąc się; wy jesteście dzielni do rąbania, ale to jest za słaba latorośl. Zawołajcie kapitana Armanda P. jemu jako najmłodszemu z was, powierzę wychowanie mego pupilka.

Przybył Armand. Wchodząc, zaledwie spojrzał na młodego ochotnika, dopiero gdy mu objawił, czego od niego żądam, spojrzał uważnie na swego przyszelego ucznia, i przekonałem się że nie poznał Eleonory.

Armand polubił w krótkce swego wychowawca który przez całe dnie nieodstępował go na chwilę, i cieszyłem się widząc ich poufałość. Kilka tygodni upłynęło w ten sposób. Postępowaliśmy

właśnie ku Jaffa, kiedy nagle pewnego poranku, zabrzmiał krzyk trwogi w obozie. Kapitan Armand zamordowany! znaleziono go nieżywego w jego namiocie! wołano ze wszech stron. Okropna myśl uderzyła mię, pobiegłem do namiotu Armanda. Nieszczęśliwy leżał bez życia w krwi własnej, skościła ręka trzymała list, który zapewne czytał przed skonaniem. List ten zawierał tylko te wyrazy: Wrogu mojej rodziny, Eleonora jest twoją zabójczynią, uniknęłaś sztyletu, który przygotowałam dla ciebie w Wenecyi, ale Korsykańka umie dopełnić ślubu zemsty. Scigałam cię po morzach i płonących piaskach pustyni, przez zmyśloną powieść oszukałam twego dewódzce aby się do ciebie zbliżyć. Ale on jest Korsykanin, wie co to jest *Vendetta* i przebaczy mi mój podstęp. Przysięgłam zamordować cię, i dopełniłam przysięgi! Nie spodziewaj się ocalenia, sztylet, który twe serce przebił, jest zatruty!

Tu przerwał mowę Napoleon i spojrzał po obecnych, aby się przekonać jakie na nich wrażenie uczyniła jego powieść, potem dokończył opowiadania następującemi wyrazami; posłałem oddziały konnicy na wszystkie strony, dla schwytania zbrodniarki, ale napróżno, nigdzie jej nie znaleziono.

F I L O Z O F.

Paryż zapadał w tę pół-nicość którą, nazywamy nocą. Wieczór już znikał, światła pogaszono, umilkła wrzawa. Miasto spoczywało w bezwładnym śnie. Spokojność i milczenie panowały wszędzie, nawet na bulwarze des Italiens, gdzie wieczór bywa tak długi i pełen życia. Z tłumu który przed kilku chwilami napelniał przestrzeń między Café de Paris, i ulicą Grange-Batelière, pozostali tylko dwaj przechodzący się wolnym krokiem.

Jeden z nich, był mały, otyły, wesoly człowiek, około lat pięćdziesięciu; w twarzy jego, błyszczał ten żywy, swobodny wyraz wewnętrznego zadowolenia, będącego skutkiem zdrowego żołądka, dobrze zabezpieczonego majątku, i umiarkowanego ćwiczenia władz umysłowych. Miał on niebieski frak, gruby i długi złoty łańcuch błyszczał na czarnej atlasowej kamizelce, żaboty związane były djamentowymi spinkami, duży pierścień z podobnemi kamieniami zdobił średni palec jego lewej ręki, a tabakę nosił w pięknej złotej tabakierze. Ten człowiek, wydawał się zupełnie szczęśliwym. Drugi, który mógł być o dziesięć lat starszym od swe-

go towarzysza, był wysokiego wzrostu, i szlachetniejszej postawy. Łatwo można było poznać że jest cudzoziemcem, i wysokiego rodu. Był to Szwed, i nazywał się Hrabia von St...

Hrabia, nie był w Paryżu, więcej niż od trzydziestu lat. Tego samego dnia przybywszy, poszedł zaraz na Operę włoską i przypadkiem usiadł obok tego jegomości, z którym w tej chwili przechadzał się. Ten, z natury bardzo przystępny i rozmowny, w pierwszym zaraz między-akcie zapoznał się cokolwiek z sąsiadem, opowiadając mu rozmaite zakulisowe wypadki, był bowiem bardzo obeznany z teatrem, i umiał o każdej śpiewaczce coś zajmującego powiedzieć. Nie oszczędził on siebie w tych opowiadaniach, i Hrabia wkrótce dowiedział się, iż rozmawia z panem de La Marinière, bogatym kapitalistą, i posiadaczem pięknych dóbr, a nadto filozofem, bo ten przydomek ciągle sobie dawał pan de La Marinière.

Po operze, hrabia zabiérał się pożegnać uprzejmie swego sąsiada, ale pan de La Marinière, nie chciał tak łatwo wypuścić z swych rąk człowieka, o którego imieniu i stanie nie się jeszcze nie dowiedział; jedynie w ciągu rozmowy pojął, iż sąsiad jego pragnie obejrzyć godne widzenia pomniki i budowy Paryża, ofiarował mu się zatem służyć za *cicerone* i namówił go naprzód do zwiedzenia kościoła de la Madeleine, przy świetle księżyca. Hrabia z uśmiechem przyjął to uprzejme

przełożenie, a pan de La Marinière, po drodze udzielił mu mnóstwo objaśnień, względem nowych upiększeń Paryża, i nowych obyczajów, które od czasu konsulatu, zupełnie zmieniły powierzchowną fizjonomją stolicy Francji. Hrabia de St., słuchał go nie nudząc się, bo pan de La Marinière posiadał, jeśli nie dowcip, to przynajmniej obfitość zajmujących wiadomości, w rzeczach, o których mówił. Dlatego, jego gadatliwość dla cudzoziemca nie mogła być nieprzyjemną.

Już było po północy, kiedy nasi dwaj znajomi znaleźli się przed oknami klubu żokejów.

— Dziękuję panu za jego grzeczność, rzekł hrabia de St... ale nie śmiem ję nadużywać, proszę więc darować mi, że go pożegnam, mieszkam na ulicy Richelieu, może przykrość panu czyniłbym, oddalając go od jego mieszkania, jeśli to nie w tój stronie się znajduje.

— Bynajmniej! odpowiedział pan de La Marinière, bynajmniej! pójdziemy razem przez bulwar. Pan mieszka przy ulicy Richelieu, właśnie w tę stronę mam iść. Prócz tego, jestem filozofem, a filozofowie lubią nocne przechadzki.

— Tego człowieka, pozbędę się chyba przed memi drzwiami, pomyślał hrabia; Bogu dzięki że już niedaleko. Przy rogu ulicy Richelieu, zatrzymał się hrabia, i pomyślawszy przez chwilę jakby zbierał swoje wspomnienia, zapytał:

— Co to za zwałiska? Jeśli mię nie zwodzi pamięć, był tu kiedyś hotel i ogród, który się nazywał Frascati.

Pamięć pańska jest wierną, odpowiedział pan de La Marinière. Ogród* znikł nie dawno pod temi wielkimi domami które pan tam nisko widzisz. Hotel przez połowę został zrujnowany druga zaś połowa wkrótce także się rozwali. Moi współcześni, to jest ci, oo już szósty krzyżyk liczą, żałują mocno, że pod wpływem coraz bardziej wznmagającej się żądzy budowania, która co dzień odmienia kształt Paryża, wkrótce nie zostanie ani jeden kamień, ani jeden wzgórek, któryby im młode ich lata przypominał; ale dla mnie, który jestem filozofem, pocięchą jest widzieć coraz bardziej niknące ślady tego ogrodu i hotelu, i do tego mam moje szczególne powody. Prócz tego, Frascati w ostatnich czasach nie był już tém, co przed trzydziestu laty. Frascati został zamieniony w dom gry, co za poniżenie! Ale dzięki Bogu, wydano prawo przeciw takim domom, i w przyszłym roku wszelkie gry będą zniesione.

— To jest bardzo piękna zmiana. Żadnych domów gry! to dobrze, bardzo dobrze! Gra jest nie-szczęśliwą, okropną namiętnością!

— Czy pan byłeś graczem?

To zapytanie, wywabiło uśmiech na usta bra-biego; ale przyzwyczaił się już do órodusznój rubasznosci swego towarzysza. Prócz tego pan de

La Marinière wyrażał się tak naturalnie, mówił o wszystkim i o samym sobie tak otwarcie i bez ogródki, iż zdawał się zasługiwać na zaufanie. Hrabia odpowiedział zatem:

— Tak jest panie, byłem graczem. Chociaż wy panowie filozofowie utrzymujecie, iż niepodobna uleczyć się z tej nieszczęśliwej namiętności, jednakże ja poprawiłem się! Ale lekarstwo było gorsze niż choroba, bo winienem wyleczenie moje, okropnemu przypadkowi.

— Jakież to było nieszczęście? zapytał pan de La Marinière, który zrazu małomównością hrabiego utrzymywany był na wodzy; teraz zaś ośmielił się jego ufnością. Hrabia de St... mówił dalej:

— Miałem brata, którego tkliwie kochałem, i który podzielał moją skłonność do gry. Brat mój, będący kapitanem w jednym pułku jazdy, przegrał pewnego dnia sumę, dwa razy prawie przewyższającą jego majątek. Sądził się shańbionym. Niedolę byłby zniósł stale, ale na myśl o shańbieniu, odwaga odstąpiła go: zastrzelił się!... Pamięć jego jednak nie została splamioną; zapłaciłem dług jego. Po dopełnieniu tej powinności, nic mi prawie nie pozostało, ale byłem poprawiony, a zatem bogatszy niż pierwej. Wkrótce bogaty spadek, postawił mnie w możności prowadzenia życia, stosownego do mego urodzenia; ale od czasu bolesnej straty, którą poniosłem, nigdy już nie grałem. Zielony stół, stał się dla mnie przed-

miotem obrzydzenia; gdybym dotknął się karty, zdawałoby mi się, że nurzam rękę w krwi mego nieszczęśliwego brata. Osądź pan teraz jak chwalebny wyda mi się zniesienie domów gry; jest to postanowienie, które oszczędzi wiele nieszczęść i występków!

— Ja równie jak pan pochwalam ten środek, odpowiedział pan de La Marinière; ale pomimo zamknięcia domów gry, niepodobna jest wykorzenić tę nieszczęśliwą namiętność. Z końcem przyszłego roku, moralisci i filozofowie obliczać będą samobójstwa i wyroki sądowe... daj Boże! żeby liczba okazała się mniejszą jak dawniej.

— Zdaje się, iż niepodobna wątpić o tém.

— Jako filozof, nie mogę temu zaprzeczać, owszém wyznaję, że zbawienna reforma moralna znakomity już postęp uczyniła we Francji. Skasowano loteryę...

— W tém bardzo mądrze postąpiono. Przypadek, który jest podstawą tego rodzaju gry, jest to zawsze niebezpieczny kusiciel, i zły doradca.

— Nie uwłaczając sądowi pańskiemu, ja z mojej strony, chociaż zawsze byłem wszelkich gier zawziętym nieprzyjacielem, zachowywałem jednak niejakię względy dla loteryi. Jest to istotnie słabość, ale ma szczególne powody. Właściwa gra otwiera przepaść namiętności, podaje ona prędkie, nieograniczone, zawsze gotowe przypadki szczęścia; rozciąga przed chciwemi oczami kupy złota, i u-

żywa najbardziej ludzących mamideł. Przeciwnie, loterja postępując z wolna, z wszelkimi formalnościami, nie może tak rozpałać namiętności; dla tego niecierpliwi, młodzi gracze pogardzali zawsze loterją, pozostawiając ją marzeniom starych bab i nie wielu łatwowiernych. Mało kto przez zawo-
dzące amba i terna, zniszczył się na majątku; loter-
erja zabijała tak jak te słabości, na które w dzie-
więćdziesiątym roku umieramy, i zawsze była roz-
rywka dla wyobraźni bogatych, którzy lubią ży-
wić się omamieniem. Pan mi opowiedziałeś zda-
rzenie smutne, skutkiem gry będące, opowiem pa-
nu za to anekdotę o loterji.

Pewien człowiek został zniszczony aż do ostat-
niego solda, a nie miał ani wujaszka w Ameryce,
ani rewersu na wielki dług, ani myśli o nowym
wielkim wynalazku; chciał się zastrzelić.

Ale nie; w swojej niedoli był tyle szczęśliwym,
iż nie miał dość pieniędzy, aby sobie kupić pi-
stolet. Woda płynie dla całego świata, i tyle jest
mostów, które stają się widownią samobójstwa, tej
ostatniej parodji, odgrywanej przez rozpacz. Otóż
tedy, ten nieszczęśliwy szedł sobie prosto na most,
z mocnym postanowieniem, użycia ostatniej kąpieli.

Szedł szybkim i pewnym krokiem. Nie docho-
dząc do mostu, ujrzał tabliczkę, na której napi-
sane było pięć numerów. Nad tą tabliczką wisia-
ła latarnia z trzema nieprzezroczystymi ścianami,
na czwartej zaś napisano było:

»Dziś ciągnieniestrzburgskiej loterii!»

Ten napis był latarnią morską wpośród skał i wirów rozpaczy; był światłem nowego życia, gwiazdą szczęścia. Zamiast na most, poszedł nasz biedak do biura loterii. Rzucił ostatni swój pieniądz na stół i zawołał: — »Garson, proszę o kwaterno za 20 sous!

Zamiast garsona, powabna dziewczyna wypełniła jego żądanie, podając mu cztery zwyczajne numery, i w dodatku przyjemny, słodki uśmiech.

Kto postawił na loterii, ten ma nadzieję, kto ma nadzieję, ten nie jest w rozpaczy, a kto nie rozpacza, ten się nie topi. Ten człowiek za dwadzieścia sous kupił sobie w kantorze loterii nadzieję, szczęście, życie. Wskaż mi pan sklep jaki inny, w którymby tak tanio dostać można było tak szacownych towarów! Nasz biedak, który miał zamiar odebrać sobie życie, wrócił spokojnie do domu, aby zaczekać na ciągnięcie strazburskie. Oczekiwanie jest tajemnicą mądrości.

— I zapewne wygrał to kwaterno? zapytał hrabia de St...

— Rynajmniej, mój panie, wygrał tylko czas; nadeszła mu pomoc z innej strony; został ocalony, i widzisz pan, że obecnie jest w dobrym stanie; bo tym człowiekiem, który chciał się utopić, i w rozpaczy uwiesił się u losu loteryjnego, ja jestem.

— Pan?... Istotnie, o tém aniby mi się przy-
niło.

— Bardzo wierzę, ponieważ mię pan widzisz wesółym, i wiesz że jestem bogaty; nie sądziś przeto że kiedykolwiek inaczej być mogło. A jednak życie moje, burzliwsze może było jak pańskie; odbyłem najokropniejsze próby, najboleśniejsze doświadczenia, byłem opuszczony, zdradzony, zniszczony, do rozpacz przywiedziony, miałem już zamiar wskoczyć w rzekę, tak że mogę upewnić iż mało kto podobne przebył koleje. Pan na przykład?

Hrabia de St... nic nie odpowiedział na to pytanie, przeto towarzysz jego dalej ciągnął swoją rozprawę.

— Wiesz pan, że 31 Grudnia będzie dniem nader pamiętnym? Jest to ostatni dzień gry! możesz pan sobie wystawić, jaki tłum ludzi tłoczyć się będzie do tego domu. Najtrwoźliwsi nawet oddadzą się choć na chwilę popędowi naniętności; zapaleni gracze, przyniosą z sobą całe swoje majątki, aby po raz ostatni z wściekłością doświadczyć szczęścia! Stoły będą złotem pokryte. Ale z pierwszym uderzeniem dwunastej, wszystko zniknie; krupjerowie połamią swoje grabki, i założę się że gracze, którzy nie odebrali sobie życia przegrawszy kiedykolwiek, pójda się utopić, dla tego że już nie będą mogli przegrać.

— Czy mógłbym się pana zapytać o jedną rzecz, przerwał hrabia de St...

— Żartujesz pan z mojej ciekawości, odpowiedział pan de La Marinière; ale bez ceremonji, proszę, gotów jestem odpowiedzieć na wszystko.

— Odkryłeś mi pan powody, dla których nie jesteś przeciwnikiem loterji, ale nie wspomniałeś przyczyn nienawiści twojej dla Frascati. Czy mogę wzajemnie zapytać pana, czy byłeś graczem i czy tym sposobem zostałeś zniszczony?

— Nie byłem nigdy graczem, ale grałem w tym domu i wygrałem 300.000 franków. Lecz jako filozof, dla 100.000 talarów nie zrzekam się mojej nienawiści. Miałem tylko kilka ludorów kiedy wygrałem tę sumę. Ale Frascati był miejscem, na którym przytrafiło mi się wielkie nieszczęście, — zdradza miłość. Frascati był wtedy miejscem zebrania się pięknego świata. Później, gdy zostałem ubogim, Frascati zamienił się w dom gry; przypomniałem sobie jedno przysłowie, i spróbowałem szczęścia tam, gdzie je straciłem. Tym razem przysłowie sprawdziło się.

— Wszak pan opowiesz mi historję twojej nieszczęśliwej miłości?

— Pierwsza godzina bije, a opowiadanie mego romansu, mogło by trwać do rana. Przyjdź Pan jutro na koncert P. Musard, tam opowiem panu moje nieszczęścia.

— Zgoda; do jutra, na koncercie P. Musard.

Hrabia de St... i pan de La Marinière, zeszli się na przeznaczoném miejscu.

— Piękna jest ta sala, rzekł hrabia, liczne zgromadzenie, wyborna muzyka! To miejsce musi panu przypominać Frascati.

— Co pan mówisz? zapytał pan de La Marinière; musiałeś pan nie znać Frascati w czasach jego świetności! O mój panie, co to za różnica, o ile to świetniejszym był Paryż dawniej jak teraz! Uśmiechasz się pan i patrzysz na mnie jak na starego gdéracza, który tylko dawne czasy chwali, *laudator temporis acti!* Ale zdaje mi się, że już panu wspominałem, jestem filozof, i nie powoduję się popospolitym sądem. Lata nie mają żadnego wpływu na moją bezstronność. Spytaj pan kogokolwiek, albo czytaj pan opisy ówczesnych uczt i zabaw, a przekonasz się pan, że w czasie, o którym mówię, więcej było świetności i przepychu we wszystkiém, jak w obecnej chwili.

— Bardzo wierzę, odpowiedział hrabia.

— Moje przypadki z lat młodszych, zupełnie pana przekonają. Urodziłem się w Poitou. Los obdarzył mnie bogactwem i niezawisłością, w wieku, w którym umiemy już używać tych dwóch dobrodziejstw. W dwudziestym roku utraciłem ostatniego krewnego, który mi cały swój majątek zapisał. Z procentu od tego dziedzictwa, mogłem się przyzwoicie utrzymać; to jest niepotrzebując pracować; ale w tym celu, musiałbym pozostać w małym miasteczku, w którym lata dziecinne spędziłem. Na nieszczęście, nie byłem jeszcze tyle

filozofem, aby przyjąć radę, jaką mi rozsądek podawał. Paryż wydawał mi się ziemią obiecaną. Spieniężyłem przeto moje dziedzictwo i przyjechałem do Paryża. Było to w roku 1803.

Piękne to były czasy! Paryż odżył w spokojności, dostatkach i bezpieczeństwie. Obfitość i wesołość wszędzie panowały. Wszyscy myśleli tylko o rozrywkach. Paryż codziennie w każdej godzinie, strojny był, jakby podczas uczy. Szczęśliwi ci, którzy wtedy mieli lat dwadzieścia! Zachowali piękne wspomnienia młodości, i przeszłość uśmiecha się do ich filozofji.

Przybywszy do Paryża, postanowiłem dobrze żyć; to jest nie odmawiać sobie niczego, i iść za popędem mego wieku. Tu będę równie bogatym jak w Poitou, tylko, że to krócej trwać będzie, mówiłem sam do siebie. Jeden z moich przyjaciół młodości, bawił już od roku w Paryżu, i należał do rzędu modnej młodzieży. Ci panowie, gotowi byli przyjąć mię do swego społeczeństwa, i zająć się mojem ukształceniem. Przedstawiono mię areopagowi mody, i zajęto się układaniem mię. Najprzód zapytali mię jak się nazywam, a ja odpowiedziałem dobrodusznie: Karol Marin.

— Dobrze to jest w Poitou, odpowiedziano mi; Karol Marin, może to być bardzo szanowne imię, z którym na prowincyj znakomitą można grać rolę; ale tu między nami, szczególnież jeśli pan masz jakie widoki szczęścia, musisz mieć przyjemniejsze

i poetyczniejsze mianb. Ale łatwo temu poradzić; nazwisko Marin, jest giętkie, można z niego coś ukształcić; przedłożywszy je z obu stron, zrobi się *de la Marinière*: a co? czy nie ładniej brzmi. Co do imienia chrzesnego, musisz o niem zapomnieć, a wybrać które z ulubionych teraz w pięknym świecie. Teraz w modzie są bardzo skandynawskie imiona; wybierz pomiędzy, Oskarem, Fingalem, Ossianem.

— Od téj chwili nazywałem się Ossian de La Marinière. Szampanem obleliśmy nowe moje nazwisko. Moi opiekunowie zaprowadzili mię następnie do krawca, który mię w krótkim czasie w najbardziej jeszcze zadziwiający sposób przeistoczył. Dzięki nowym przyjaciółom, w ciągu tygodnia liczyłem się do najwykwintniejszej młodzieży Paryża, i mogę bez chwalby powiedzieć, iż moje przymioty wiele się do tak świetnego powodzenia przyłożyły. Teraz wprawdzie jestem trochę pękaty, ale wtedy byłem smagły, kształtnie wcięty, i w ogóle nader powabny.

Aby zupełnie stosować się do mody, i memu imieniu nadać jakieś znaczenie, potrzeba było koniecznie pojedynku. Moi przyjaciele zwrócili na to moją uwagę, a ja postanowiłem nie zapomnieć téj ważnej porady. Okoliczności niedługo potrzebowałem czekać. Poszedłem do Teatre français z postanowieniem szukania kłótni, i wyzwania.

Teatra w Paryżu były wtedy bardzo uczęszczane i świetniej stały jak dzisiaj. Zdania publiczności, żywo podzielone były między dwoma młodemi artystkami, pannami Duchesnois i Georges.

W tym dniu, kiedy poszedłem do teatru dla szukania sprzeczki, nie występowała żadna z dwóch wymienionych artystek. Grano Hamleta, i rolę Ofelji, przedstawiała pierwszy raz występująca, panna Bourgoing. W między-akcie zaczęto rozprawę o talencie młodej, powabnej artystki, a ja żywo odezwałem się za jej stronę, i przekładałem ją nad Fedrę i Klitemnestrę. Pomiedzy przeciwnikami, wybrałem najzagorzalszego, i sprzeczka do tego stopnia doszła, iż wzajemnie daliśmy sobie nasze adressy, z naznaczeniem schadzki nazajutrz z rana, w Bagateli. Nasi świadkowie postanowili, że powinniśmy się strzelać, to było mi zupełnie obojętném, bo dobrze byłem obeznany z tą bronią, i mogłem motyla wlot zastrzelić. Mój przeciwnik dostał kulę w łopatkę.

Równie dobrze umiałem użyć pałasza jak pistoletu, ale pojedynek jaki odbyłem tą bronią, nie był tyle dla mnie pomyslnym. W pierwszym razie byłem napastnikiem, i los mi sprzyjał, w drugim słuszność była z mojej strony, a jednak otrzymałem cięcie, które mię przymusiło przez tydzień przechodzić się z ręką zawieszoną na chustce, to zdarzenie atoli nie było dla mnie szkodliwém, owszem obudziło współczucie wielu serc tkliwych.

Dotąd nic panu nie wspomniałem o moich miłośnych awanturkach, ponieważ zacząłem od mało znaczących miłostek, nie mających żadnego następstwa, i wiele miesięcy upłynęło, nim mi się nastreczyły ściślejsze związki. Ale nakoniec przyszedł dzień, w którym dusza moja oddała się gwałtownej namiętności. Nie byłem jeszcze filozofem! Pewnego dnia w Passy, gdy w obec licznego zgromadzenia szukających tam zabawy, szczególnie odznaczyłem się w sztuce kierowania koniem, ujrzałem damę nadzwyczajnej piękności. Była pięknego wzrostu, brunetka, najkształtniejszej postaci i pełna wdzięków. Stałem jak skamieniały z podziwienia, i zdawało mi się, że moja piękność z zajęciem na mnie spogląda. Może to było omanienie zarozumiałości. Zbliżyłem się do pięknej nieznajomej, która znajdowała się w towarzystwie wielu kobiet, i udało mi się rozmawiać z nią; już prawie zaczynałem mówić o miłości, kiedy gwałtowny deszcz mi przeszkodził. Nastąpiło ogólne zamieszanie, każdy spieszył do powozu, i koczki w galopie oddalały się; chciałem ścigać za moją nową zdobyczą, ale zniknęła mi, i sam, zmoczony i zmęczony, wróciłem do Paryża.

Był to nieszczęśliwy przypadek, ale w roku 1803, nie tak łatwo traciłem odwagę. Znajdę ja ją, rzekłem sam do siebie, niczego nie będę szczędził, aby ją znowu zobaczyć. Słyszałem że moją piękną nieznajomą nazywano Laurą, to była już wa-

żna wiadomość. Wprawdzie wiele kobiet nosiło to nazwisko, bo dla kobiet modne były wszystkie imiona kończące się na *a*, tak jak skandynawskie dla mężczyzn. Następnie, moja nieznajoma była w żałobie; sądziłem więc że jest wdową, i cieszyłem się tą nadzieją.

Szukałem tedy mojej powabnej wdowy, mającej imię Laura, w całym Paryżu. Wszędzie wypytywałem się, pisałem listy *poste restante*, i kazałem umieścić w dzienniku dla dam, allegoryczny artykuł; zawiązywałem znajomości w magazynach mód, przebiegałem wszystkie miejsca przechadzki, bywałem na teatrach, koncertach, i nigdzie nie znalazłem najmniejszego śladu mojej pięknej wdowy. Tyle daremnych starań wzmogło moją namietność, obraz Laury sięgał mię wszędzie, a moja miłość tak była gwałtowną, iż o mało zmysłów mię nie pozbawiła.

Nagle przyszła mi myśl następująca: — Jeśli Laura nosi żałobę po mężu, napróżno szukałbym jej w teatrach i na koncertach, w Passy nawet, musiała być przypadkiem. Szukajmy jej za tem w miejscach stosownych do jej poważnego ubioru. W roku 1803, były w modzie wieczory literackie. Sądziłem że moja wdowa szuka może pociechy w literaturze, i zapytałem o nią muz, ale muzy nie mi nie odpowiedziały.

Rozpacz zaczęła mię ogarniać, kiedy pewnego piątku, — o niespodziana radości, o nieopisane

szczęście! — ujrzałem ją na tarasie Feullans, piękniejszą jeszcze jak owego dnia, kiedy się pierwszy raz moim oczom ukazała. Była sama, poznała mnie, mówiłem z nią, i żadna moc ludzka nie byłaby zdolną zatrzymać wyznania mojej miłości.

Dowiedziałem się od niej, że istotnie jest wdową od pięciu miesięcy, że mąż pozostawił jej trzydzieści tysięcy franków, rocznego dochodu, i że nie ma wstępu od nowych związków. Mówiła z wdziękiem i dowcipem. Moje hołdy zostały przyjęte i powziąłem nadzieję otrzymania ręki Laury po upływie czasu żałoby.

Jakże mam panu szczęście moje wystawić? Widziałem ją codziennie, kochała mnie, poświęcałem jej cały mój czas, ona upiękniała wszystkie moje chwile. Jedyna tylko ehmurka zciemniała widnokrąg mojej przyszłości; Laura była bogatą, a ja mogłem jej tylko mierny majątek oddać z moją ręką, ponieważ już połowę mego mienia straciłem. Laura wynalazła sposób usunięcia tej okoliczności, i aby mnie z tego względu uspokoić, postanowiła zostać moją dłużniczką. Rodzice jej męża prowadzili z nią process, który wygrała, ale całoroczny dochód poszedł na koszta prawne. Aby więc nie naruszać kapitału, Laura udała się do mnie. Z jakimże zapalem ofiarowałem jej wszystko co miałem! Przyjęła znaczną sumę, aby mi przez to dać prawo do wzięcia później od niej daleko więcej; a ja, uwielbiałem tę nadzwyczajną de-

likatność, która jęj coraz nowe pozory nastęrczała, do pożyczania odemnie pieniędzy. Kobiety są tak wymyślne!

Jęj żałoba zbliżała się do końca, i moje pieniądze podobnie. Laura dłużną mi była około 60,000 fran.; ale czyliż nie miała mi za to w ciągu kilku tygodni 600,000 oddać? Nagliłem o wyznaczenie dnia, który miał wszystkie moje życzenia spełnić. Kiedy chcesz, odpowiedziała tkliwym głosem. Padłem jęj do nóg, upojony miłością i szczęściem.

Pospieszyłem przygotować wszystko, najpierw zająłem się ślubnym podarunkiem. Pożyczyłem tysiąc luidorów, i kupiłem za nie rozmaite kosztowności, które z uniesieniem miłości zostały przyjęte. Do wypełnienia formalności prawnych, potrzeba było jeszcze czternastu dni, ale ponieważ nie nie mogło sprzeciwić się naszym związkom, Laura nie wahała się, pokazywać się ze mną publicznie. Jakże dumny byłem, że mogę być przy jęj boku! Piękność Laury wszędzie była podziwianą, i wszyscy mi zazdrościli. Pewnego wieczora prosiła mię Laura, żebym ją do Frascati zawiózł.

Piękny świat w owych czasach nie był tak niestały jak dzisiaj. Dnie były rozłożone do rozmaitych rozrywek, co wieczór moda naznaczała w jakimś miejscu ogólne *rendez-vous*, i tym sposobem można było być pewnym znalezienia tam pra-

wie wszystkiego co dobry ton stanowiło. Co wieczór o jedenastój godzinie po teatrze udawano się do Frascati; raz w tygodniu spędzano tam cały wieczór; wtedy bywał koncert i ognie sztuczne. W zimie, Frascati stanowił Ateneum tańca, i dwa razy w tygodniu bywały tam bale. Właśnie to zdarzyło się tego wieczora kiedy poprowadziłem tam Laurę. Zastaliśmy wybór pięknego świata. Kobiety były ubrane *à la grecque*, mężczyźni w dzień *à l'anglaise*, ale wieczorem wracali się do stroju francuzkiego, wyjąwszy pudru, który już zaczął znikać. Ale sam nie wiem jak mogę mówić o toaletach z 1803 roku, w chwili kiedy przystąpić mam do najokropniejszej katastrofy!... Tańczyłem z Laurą; wielu z młodzieży prosiło ją także; zamieszanie balu, rozdzieliło nas na chwilę, szukam jęj i nie znajduję! Tłumy coraz bardziej się przierzadzały a Laury nie było widać. Nakoniec wybiła godzina trzecia, a ja stałem sam jeden w salonie!

Biegnę do jęj mieszkania, potem do mojego!... Niéma! Mięsza mi się w głowie; gorączka i szaleństwo opanowały mię. Gdzie jest Laura? Bez wątpienia porwano ją! gwałt, podstęp, zbrodnia, niezawodnie rozłączyły nas; ani mi na myśl nie przyszła zdrada. Od czasu jak Laura zaczęła bywać ze mną na przechadzkach i widowiskach, uważałem młodego człowieka, który jęj się raz uklonił. Był to malarz, którego znałem z nazwiska.

Biegnę do niego i dowiaduję się, iż malował portret Laury, i że tego samego dnia zrana, była u niego dla dokończenia dzieła. Towarzyszył jej młody człowiek, którego portret także został dokończony. Laura między innymi rzekła do towarzysza: — Tego wieczora w Frascati! — Dobrze odpowiedział on, o północy powóz mój będzie stał na rogu bulwaru.

Dopiero wtedy poznałem cały ogrom mego nieszczęścia, i powziąłem śmiertelną nienawiść dla Frascati: Malarz znał uwodziciela Laury, nazywał on się...

— Lothar de St... przerwał hrabia; a teraz opowiem panu moją historję.

Jestem hrabia Lothar de St...

Pan de La Marinière patrzył nań przez chwilę z zadziwieniem. Następnie pōdał mu rękę mówiąc:

— Mimo to, żadnej nieprzyjaźni między nami; ja jestem filozofem panie hrabio.

L O Ż A

PIERWSZEGO PIĘTRA.

I.

Kiedy pierwszy raz wystawiano Niemę z Portici w Paryżu, zapal publiczności był nieopisany. We wszystkich towarzystwach, wielkich i małych, bogatych i ubogich, błyszczących i cichych, mówiono tylko o Feneli, słyszano tylko temata z Niemęj. Trudno było, bardzo trudno, prawie niepodobna, dostać bilety na tę operę; uważano je za kosztowny klejnot, za skarb nieoszacowany; były one przedmiotem zazdrości, upragnienia. Szczęśliwi ci, którzy tę operę widzieli, z dumą opowiadali profanom cudą tego arcydzieła, a słuchający, nie wazyli się podczas tego opowiadania nawet odetchnąć; ci ulubieńcy losu, którzy z jego rogu obfitości, otrzymali bilet na Niemę z Portici, z uniesieniem chwalili muzykę, grę Feneli, śpiew Mazaniella, wspaniałe kostiumy, dekoracje i cudowny wybuch Wezuwjusza. Takie opowiadania coraz bardziej zapalały publiczność.

Nie pamiętano podobnych uniesień od czasu istnienia opery francuzkiej.

Tylko jedyny człowiek w całej stolicy, wpośród tego ogólnego zapału, zachował zupełną obojętność. Inna okoliczność zajmowała jego umysł, jego życzenia i nadzieje. Był to młody urzędnik w ministerjum skarbu, zaręczony z młodą piękną dziewczyną, i chętniej spędzał wieczór u swojej Henryki jak w teatrze. Henryka była do zachwycenia piękną; anielskim wzrokiem spoglądała ona na swego kochanka, siedząc obok niego przy fortepianie, i przebiegając po klawiszach swemi różanemi paluszkami. Prócz tego, Henryka była bogatą, ojciec jej zostawił piękny dom i 200,000 franków. Wprawdzie majątek nie powiększa szczęścia jakie sobie obiecujemy w zamęściu; opiekun Henryki, chciał aby odebrała wychowanie jak najstaranniejsze, i stosowne do mody, dlatego nie szczędził pieniędzy. Prócz tego chciał ją koniecznie wydać za kogoś z bardzo wysokiej rodziny. Nakoniec znaleziono narzeczonego, jakiego sobie życzone. Ślub miał się odbyć w następujące zapusty; ciotka Henryki mówiła często do swego męża: Alexander nie jest wprawdzie bardzo wysokiego rodu, ale grzeczny bardzo młodzielec. Ma już piękną posadę, i z swojemi zdolnościami daleko zająć może. Przy tém, nie dumny, i pomimo że nosi orderową wstążkę w dziurce od guzika,

zawsze bardzo grzecznie całuje mię w rękę. Nie można lepszego postanowienia szukać dla Henryki.

Pan de Niveau, miał chwalebny zwyczaj nie sprzeczenia się nigdy z swoją żoną, i dobrze mu z tém było.

Pewnego Czwartku, narzeczony Henryki wyszedł z biura o trzeciej godzinie i udał się do jęj mieszkania, ponieważ miał obiadować u pana de Niveau. Im bardziej zbliżał się do jego domu, chmury administracyjnych myśli rozpraszaly się zwolna na jego czole; wolniej oddychał, a kiedy spotkał Henrykę z zwyczajnym jęj słodkim uśmiechem, naprzeciw niego wychodzącą, jakby oczarowany, zapomniał odrazu wszystkich trosk swoich.

— Alexandrze, zaczęła Henryka, kiedy on czule jęj rękę całował, mam do ciebie jedną prośbę.

— Powiedz raczój, rozkaz, nadobna Henryko.

— Przynieś mi bilety do łoży na Niemę z Portici. Umieram z niecierpliwości widzenia tęj opery, o której moja kuzynka cuda opowiada. Musi to być zachwycająca sztuka.

— Z największym ukontentowaniem, odpowiedział Alexander, całując jęj rękę.

— Ale to musi być łoża pierwszego piętra; gdzieindziej nie pójdę, dodała z znaczącem poruszeniem głowy.

Henryka była cokolwiek prózną.

— Wszystko stanie się jak żądasz, ubóstwiona Henryko, odpowiedział on, uradowany, iż może jój przyjemność sprawić.

Bardzo rano następnego dnia, poszedł do kassy Teatru; ale niestety, wszystkie łoże były już rozebrane.

— Na następne wystawienie.—niema ani jednej łoży; na przyszłą Sobotę — wszystkie zamówione.

Narieczony Henryki błagał, prosił, ofiarował pełną garść pieniędzy, wszystko na próżno. Nie mógł dostać łoży pierwszego piętra, na drugim piętrze była jeszcze jedna łoża, ale nie śmiał jój wziąć. Henryka żądała pierwszego piętra.

W ten sposób minęło ośm przedstawień Niemęj, Alexander szalał z gniewu, Henryka zaczęła być nieukontentowaną, i kwaśną.

Nakoniec ogłoszono dziewiąte wystawienie ulubionęj Opery. Alexander pobiegł jeszcze ranięj do teatru. Załedwie zapytał się... niema żadnej łoży. Któż wyobrazi sobie jego rozpacz. Wychodzi wściekły. W przedsionku spotyka człowieka w liberji.

— Czy pan chcesz łoży na Niemę? zapytał z cicha Alexandra.

— Na którem piętrze?

— Na pierwszém.

Dreszcz radości przejął narieczonego Henryki.

— Wiele chcesz za bilet?

— Trzysta franków!

— To niepodobna; dziesięć razy drożej jak zwykle.

— Tak jest; mój pan tyle za nią zapłacił; ale nie może korzystać z biletu, bo otrzymał zaproszenie na bal u hrabiego B....

Alexander pomyślał przez chwilę, przygryzł usta, przesunął bilet między palcami, i dał nakoniec żądane pieniądze. Cokolwiek to jest drogie, rzekł siadając do kabrioletu, ale trzeba.

Z tryumfującą miną stanął przed swą narzeczoną i podał jej bilet. Wdzięczny, słodki uśmiech był jego nagrodą.

Henryka zaledwie mogła się doczekać tego dnia szczęśliwego; dziesięć razy na dzień, przyglądała się swjej nowej sukni, bransoletkom i kolji dżamentowej, i po tysiąc razy przeglądała się w zwierciadle. Biedna Henryka!

Nakoniec nadszedł dzień tak długo oczekiwany. Henryka chciała koniecznie żeby Heljot ubierał jej głowę, ale ponieważ tego samego dnia był bal u hrabiego B...., przeto obciążony zatrudnieniami fryzjer, niemógł jej służyć inaczéj jak o dziewiętej godzinie z rana. Nie nie pomoże; Henryka postanowiła przez cały dzień siedzieć nie poruszona, aby nie popsuć ubrania głowy. Zaraz po obiedzie, udała się do swego pokoju i dopiero o siódmej była zupełnie ubrana. Kuzynka jej którą razem z mężem zaprosiła z sobą na teatr, czekała

już w salonie, kiedy Henryka w pyszném ubraniu ukazała się.

— Trzeba już jechać, rzekł Alexander prowadząc damy do powozu.

Wkrótce znaleźli się przy wchodzie do teatru, który przez powozy i pieszych był oblegany. Weszli do sali wchodniej, gdzie zwykle podczas pierwszych wystawień sławnych sztuk, wielki tłok bywa. Wielu tam było bez biletu, i bez nadziei otrzymania go, ale dla nich dość było odetchnąć powietrzem teatralném, i widzieć jak inni sześliwsi wchodzą dalej. Uważny dostrzegacz łatwo z rysów twarzy, mógł dostrzedz kto ma bilet a kto go niema.

Henryka z swoim towarzystwem dumnie postępowała naprzód wpośród tłumów. „Za pozwoleniem za pozwoleniem“ mówił Alexander grzecznie, ale z miną zaufania i usuwano się nie bez spojrzeń zazdrości. W korytarzu spotkali lożmajstra. — Który numer, zapytał on.

— Numer 13. odpowiedział Alexander, a damy oddały lokajowi salopy.

Otworzono lożę. Henryka weszła z swoją kuzynką, i siadła na najlepszém miejscu. Sala od dołu do góry pysznie była oświetloną. W lożach błyszczwały djamenty pióra i kwiaty. W parterze mężczyźni tłoczyli się i niecierpliwy szmer oczekiwania dał się cokolwiek słyszeć. Nastrojono in-

strumenta. Mnóstwo lornetek zwróciło się na Henrykę. Była szczęśliwą!

Tymczasem Alexander zdjął płaszcz, zapiał frak aż pod szyję, dobył bilet z puljaresu i podał go otwierającemu łożę. Właśnie chciał wejść do łoży, gdy tenże wstrzymał go.

— Za pozwoleniem, proszę pana, za tym biletem niemogę państwa w puścić.

— Jaki? Dla czego? zawołał Alexander.

— To jest stary bilet; skąd go pan dostałeś?

— Kupiłem go w przedsiönku od jakiegoś służącego w liberji.

— Toś pan bardzo nie ostrożnie postąpił, odpowiedział odzwierny. Powinieneś pan być pójsć z tym człowiekiem do kassy teatru. On pana szukał.

Alexander osłupiał, jakby mu ktoś wiadro zimnej wody za kołnierz wylał. Byłby tam stał aż do dnia następnego, ale zbliżyło się do łoży towarzystwo mężczyzn i kobiet.

Numer trzynasty! zawołał jeden z tych panów. Dreszcz Alexandra zmienił się w płomień..

Następnego dnia odesłano mu pierścień ślubny.

Henryka poszła za młodego człowieka, który jęj na dziesiąte przedstawienie Niemęj przyniósł

Łożę pierwszego pietra.

MIŁOŚĆ I NEAPOL.

Artur i Sara, byli jeszcze małemi dziećmi, a ich rodzice nazywali ich *mężem* i *żoną* i uczyli wzajemnie się kochać powtarzając im ciągle: Kochajcie się dzieci, bo kiedyś połączycie się z sobą.

„Człowiek strzela, pan Bóg kulę nosi“ mówi dawne przysłowie, ale tym razem rozrządzenie Boskie zgodne było z zamiarami ludzi; Sara i Artur zostali połączeni,.... ale w jaki sposób, dowiemy się.

Lord i lady Shenburu właśnie dokończyli urządzenie pięknego swego mieszkania Netli. Castle i wszystko, sztuki piękne, czysty smak, i bogactwo złączyły się, aby ten piękny zamek, do rzędu najwspanialszych w całej Anglii podnieść. Kosztowało to wiele czasu i pieniędzy, ale nakoniec przyszedł czas zbierania owoców, i już mogli szlachetni posiadacze Netly, jak malarz po wykończeniu obrazu, założyć na krzyż ręce, patrzeć na swoje dzieło, i dziwić się, nic mu już nie brakowało.

Miło to jest, posiadać piękne mieszkanie pod niebem, które zna już oddawa nasze imię i od kilku wieków, patrzyło na naszych przodków.

Ale to jeszcze nie wszystko; najbardziej umilają nam pobyt w jakimkolwiek miejscu, przyjaciele. I tego moralnego upiększenia nie brakowało mieszkaniu Lorda Shelburn, bo Clifton-Hall, gdzie mieszkał Sir William Grville, graniczył z parkiem Netly.

Jakkolwiek bogaci są posiadacze włości, zawsze uważają posiadłości swoje za niedość obszerne. Na to, najlepszym lekarstwem jest, mieć w sąsiedztwie przyjaciół. Wtedy już nie martwią nas odgraniczające mury, jeśli za nimi mieszka rodzina, która oddawna zna naszą, która modliła się w tym samym kościele gdzie nasi ojcowie i matki modlili się, która zna na pamięć wszystkie nasze dni radości i smutku, jakby z nami jedną stanowiła rodzinę.

Tak właśnie było między rodzinami Shelburn i Grville, i to połączenie tak im było przyjemnym, iż mówiły sobie: „Scieśnijmy jeszcze ten węzeł, łącząc nasze dzieci, niech miss Sara, będzie żoną Artura.

To połączenie było zupełnie stosowne. Rodzina Grville pochodziła od towarzysza broni Wilhelma zdobywcy, a imię Shelburn, łączyło się z wszystkimi pięknymi wspomnieniami Szkocji.

Napróżno starałem się dociec przyczyny, dlaczego te dwie tak ściśle połączone rodziny, które w swoich pięknych zamkach w wzajemnej przyjaźni, od wszystkich szacowane i kochane, od u-

Bożich błogosławione, najszcześniejsze życie prowadziły, dnia pewnego uczuły upragnienie, opuszczenia tego wszystkiego i podróżowania. Na próżno pytałem się, dlaczego szukamy lepszego kiedy mamy dobre?

To pytanie bardzo często mi się nastęrczało, ile razy przejeżdżałem Anglią, tę klasyczną ziemię zamków; bo wszystkie te wspaniałe pałace, niezmierzone parki, i ich uroczyście powaby, nie mogą Anglików do ich miejsca rodzinnego przywiązać. I dokądże udają się, aby to samo znaleźć co opuścili? We wszystkich prawie zamkach które zwiedzałem, przyjmowano mię temi słowami: Mylord i mylady wyjechali na stały ład. I dziwiłem się zawsze, jak mogą te wspaniałe parki i pałace dla gościńców i oberży porzucić! a więc musi czegoś krajowi ich niedostawać. Czego? Nie wiem; może słońca, pięknie pachnących kwiatów, soczystych owoców i ciepłych wiatrów południowych?

Niektórzy wyjeżdżają za granicę, dlatego, że w swój siedzibie nie dość są szacowani, inni, dlatego że mają nieprzyjaciół, inni nakoniec, ponieważ czują się słabemi i cierpiącemi. U naszych sąsiadów, nie miał miejsca żaden z tych powodów; zdrowie sprzyjało im ciągle, a ich postępowanie tak było miłe, ich zasady tak umarkowane, iż żadnych nieprzyjaciół nie mieli; wyjechali oni dlatego, iż szare obłoki, i wieczna mgła sprzy-

krzyła im się; chcieli zobaczyć błękitne niebo, i złote, promieniste słońce.

Kto pragnie pięknego nieba, myśli najpierw o Neapolu. Nasze obie zakanałowe rodziny, przejechały Francją, zatrzymały się przez ziemię w Paryżu, zwiedziły część Szwajcarji, zatrzymywały się w głównych miastach włoskich, słuchały ich improwizacji i koncertów, dziwiły się pięknym vilłom, z zapalem uwielbiały arcy-dziela Rzymu, nakoniec przybyły do miękkiiej, rokosznej ojczyzny, słodkiego Far niente, i poetycznej bezczynności.

Artur skończył lat dziewiętnaście, a Sara zobaczyła szesnasty raz wiosnę; dzień jej urodzin, świetnie obchodzili obie rodziny w zwaliskach Paestum.

Jest chwila w życiu, w której ludzie mocno przywiązują się do swych dawnych układów, jest to czas graniczący z starością; w tej porze, umysł tak jak ciało, nabiera przywyknień, opiera się i spoczywa na dawnych myślach swoich, jako na wygodnych meblach! Ale jeśli dla nas wytrwałość jest szczęściem, dla młodzieży bywa niemię miastłość i prędkie zprzykrzenie się; dąb który wiele lat widział przechodzących nad sobą, wichrom zimowym nie da się nagiąć, kiedy tymczasem młode, delikatne, giętkie drzewko, bywa igraszką wiatrów.

Lord Shelburn i Sir William Graville myśleli ciągle o swoim dawnym planie, połączenia swych dzieci, ale ci młodzi ludzie, nie wierzyli już w spełnienie tego rodzinnego układu.

Artur, miłośnik sztuk pięknych, znajdował w brunatnych dziewczicach włoskich, daleko ognistsze życie, niż w bladój, poważnej, złoto-włosój miss Sara. Wychowany z nią prawie jak brat, miał dla swojej towarzyszkł lat dzieciennych zupełnie braterską otwartość i Sara pomimo swojej skromności i rozsądku, nie raz już przypuszczała, że mogą być przyjemniejsze i słodsze wyrazy, jak te które Artur jój mówił; i miała słuszność, bo słowa Artura były słowami męża... a czyliż nie ma wyrazów, któreby miłej brzmiały w uszach dziewczicy, jak proste rady?

Jeśli dwie rodziny układają zamiar połączenia swych dzieci, źle czynią gdy zawczasie zamiary swoje objawiają; miłość rzadko kiedy tam się zjawia gdzie jój być każą; z natury jest ona niezawisłą, i nigdy nie chce być posłuszną. Ulubiony układ rodziców Artura i Sary, należał do rodzaju tych myśli, które przez niejaki czas, świeże jak pierwsze listki wiosenne, w duszy naszej przebywają, ale potem, nagle, więdną, i jak zeschnięty liść porywane bywają wiatrem.

Sara, ta biała róża Albionu pod niebem Neapolu nabrała lekkiego rumieńca; powszechnie była uwielbianą, na koncertach podziwiano czystość jój

głosu, i piękną metodę, a najpierwsi malarze, ubiegali się o zaszczyt zachowania w swych albumach, choćby najlżejszego szkicu, nakreślonego jej ręką; ale Alfred nie należał do liczby wielbiących jej piękne talenta. Nagle wyjechał znowu do swego mglistego kraju, znudzony sobie błękitne niebo Neapolu.

Przybywszy do Anglii, niestały młodzieniec wspomniął znowu Włochy, które dopiero co opuścił, i aby wzmocnić w wyobraźni swojej, że się tam jeszcze znajduje, udał się w ślad za panią Malibran. Ale zaledwie przybył do Manchester, aby znajdować się na wielkim festival, dowiedział się z ust królowej śpiewu, że okropna cholera w Neapolu wybuchła. Ta wiadomość, przeszła jego serce jak ostrze szyletu, i w godzinę potem, znajdował się w drodze do Liwerpool skąd jak najspieszniej popłynął na powrót do tych których kochał....

Jednak ojciec i matka, nie byli pierwszym przedmiotem jego myśli w drodze. Nie; Sara, Sara, nim była, ta sama z którą tak obojętnie rozstał się, do której go teraz pociągało serce. Młoda zagrożoną śmiercią dziewica, wydawała mu się powabniejszą i więcej zachwycającą, i teraz, kiedy mogła mu być wydartą, dusza jego tęskniła do niej.... Ach! łatwiej wały morskie niż myśli człowieka ustalić.

Im bardziej lotny okręt zbliżał Artura do Neapolu; tém bardziej przypatrywał się on niebu, i widząc je tak pogodnym i czystym, odzyskał cokolwiek nadziei.... Ach, myślał sobie, wszędzie gdzieindziej może cholera wielkie spustoszenia czynić, ale w Neapolu, niepodobna aby długo trwało. Tutaj podobną ona jest do spadłego zobłoków sępa, który tylko zbłąkał się, i wkrótce w inne okolice uleci.... Pod tak błękitnym niebem, w pośród tak zdrowych i miłe wonie niosących z sobą morskich wiatrów, na brzegu tak czystych wałów, nieznajdzie ona żadnego wsparcia w swoich morderczych krokach....

Biedny Artur! tak myślał jeszcze o kilka mil od Neapolu. Tak samo myślał jeszcze przybijając do brzegu. I istotnie, wszystko co widział, co czuł, musiało mu uspokajające myśli nasuwać; gwiazdy jasno błyszczały na niebie, i odbijały się w morzu kryształowém którego wały zdawały się drzémac; wiatr brzmiał harmonijnie, słodko odbijając się od żagli; dym z Wezuwjusza wznosił się prosto ku niebu, a księżyc oświetlający go z przeciwnéj strony, nadawał mu podobieństwo słupa alabastrowego wzniesionego na szczycie góry, i podpierającego sklepienie niebios,

Jakże mógł, mając taki widok przed oczyma, myśleć o śmierci.

Nie, .. nie, przynajmniej podług mniemania Artura; ale pójdźmy za nim dalej.

Wcałym świecie niéma tak łagodnych, pięknych i spokojnych nocy, jak w Neapolu. Pomiędzy oczyma ludzi i gwiazdami, które lud nazywa oczami aniołów, niéma ani mgły ani pary, nie nie zaciemnia blasku tych swiateł niebieskich; ich jasność, oświeca wzgórki, ville, drzewa, morze i miasto, wtedy nawet, kiedy nadeszła godzina panowania ciemności.

Lazaroni utrzymują, że morze kocha Neapol, i nie bije jego murów swemi wałami, tylko je całuje. Te słowa sprawdzają się najlepiej w nocy.

W kraju, gdzie klima jest ostre, gdzie zimne wiatry wieją, ciężkie wilgotne obłoki utrudniają oddychanie, a słońce ciągle jest chmurami zasłonięte, tam podobna słabość jak cholera, jest na swoim miejscu; ale w kraju, na który Bóg wysypał róg obfitości swych dobrodziejstw, pod pięknym niebem, gdzie nam się wszystko pochlebnie uśmiecha, niepodobna wierzyć w obecność zarazy. Trucizna w tak czystym powietrzu, niebezpieczeństwo w tych świeżych wietrzykach? Śmierć pod tyłu pozorami życia i radości? Niepodobna wierzyć temu i mówimy sobie: O nie! to byłaby nadto okropna zdrada!

Artur oddał się tym pocieszającym myślom. Milczenie nocy Neapolu, często przerywane bywa harmonijnym koncertem, bo w tym mieście rokoszy, zamiatwanie muzyki jest ogólne. Tu lud z natury uczenie śpiewa, i tym rozwesela sobie godziny pracy.

Lazaron wyciągnięty pod kolumnami kościoła, albo na miękkim piasku, zaczyna śpiewać jak tylko się obudzi, jego głosowi odpowiadają inne głosy i te uliczne chóry, mogłyby zawstydzić naszą operę.

Śpiewy późno w noc odzywają się przed obrazem Madonny lub Sgo Januarjusza. Tu zgromadzają się tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci, i modlą się klęcząc, a ich modlitwa jest pieśnią. To znów przed posągami *ave Maria Stella* zgromadzają się śniade Neapolitanki i śpiewają litanje do Najświętszej Panny, za swoich mężów, braci, synów i kochanków, którzy na morze wypłynęli. To znowu pobożne bractwo z chorągwią swego patrona, pod gwiazdzistym sklepieniem przechodzi ulice miasta. Blask pochodni oświeca święty obraz, a hymny, które towarzyszą tym processjom, tak są eicho śpiewane, że odgłos ich raczej zachwyca, nie zaś przerywa spokojność śpiących. W Neapolu muzyka łączy się z wszystkiemi; z modlitwą, jak z zabawą, z wspomnieniem, równie jak z miłością.

Artur wchodząc do miasta, usłyszał, rozmaite głosy, dziwiło go mnóstwo świateł w oknach domów rozstawionych. Pomimo spóźnionej pory, ani milczenie, ani spokojność, ani sen, nie zstąpił do Neapolu. I jakaż to przyczyna, że dotąd całe miasto czuwa? Ach! teraz dowiedział się młody Anglik, teraz zobaczył, że pomimo przyjemnego i rokosznego klimatu, pomimo błękitnego nieba i

jasnych gwiazd, zaraza i tu zdołała się rozkrzewić. Osiadła ona tu jak jeden z tych smoków, o których często legendy wspominają, i które pod obfitęm zbożem i kwiatami, kryją się, aby ludzi zabijać. W Neapolu cholera żywi się trupami; ale nie wiem dlaczego to spustoszenie nie tak daje się tu czuć jak gdzieindziej. Powietrze już jest przeciążone śmiercią, a jeszcze jego tchnienie jest balsamiczne; zabija ono, ale pieszcząc.

Gdzieindziej ta słabość więcéj trwogi wzbudziła, ale nigdzie tak zdradliwie nie postępowała. Ale teraz lud poznał już jęj skutki. Zmierzył on, że tak powiemy, wielkość tego potworu, i trwoga powszechna doszła do najwyższego stopnia. Dookoła słyhać głosy ludzkie wołające:

„Kto ma umarłego w domu, niech postawi światło w oknie, aby towarzystwo pogrzebowe mogło zabrać zwłoki.“

A więc wszystkie światła, które Artur widział, były oznakami śmierci, gorzały one, dla uświetnienia jęj zwycięstw. To czuwanie, które postrzegął wokoło, było to czuwanie boleści, nad konającemi i zmarłemi.

Neapol, to miasto roskoszy i wesołości, stało się miastem przerażenia. Każda ulica, każdy dom ma kogoś umarłego lub umierającego; ci, których nie dotknęła jeszcze zaraza, spieszą na pomoc cierpiącym, a na czele ludzi, którzy z czynnym i litosnym poświęceniem się, niosą pomoc do-

tkniętym cholera, był król obojga Sycylii... O! jego nie mogła obawa zarazy zatrzymać w jego pałacu! Nie lękał się, okazać się chrześcijaninem i modlić się z swoim ludem, niosąc nadzieję i pociechę, tam gdzie najsilniej szerzyła się choroba.

Ale wróćmy do Artura. W tej chwili jedyną jego myślą było przyspieszać ile siły swe kroki, aby jak najprędzej zbliżyć się do mieszkania swoich rodziców i Sary. Sara, myślał on, jeśliby która z drogiej jej osób zasłabła, będzie jej aniołem pocieszycielem; Sara choć tak młoda, nie dozna trwogi, jakkolwiek słaba, ma ona dość siły, kiedy jakie niebezpieczeństwo grozi.

Okręg, w którym obie rodziny Shelburn i Gravelle mieszkały, najbardziej był pustoszony zarazą. Około tej części miasta, wyciągnięto bardzo ścisły kordan zdrowia. Ale żołnierze rozstawieni dla zabronienia wyjścia z tego okręgu dotkniętym zarazą, padali bez życia na swoich stanowiskach. Któż wystawi sobie rozpacz młodego Artura, gdy przybył do ulicy gdzie mieszkali jego rodzice, Sara, i ci wszyscy których kochał, a przy wnijsciu zawołano nań:

— Nie wolno tu wchodzić!

Napróżno stara się wejść, przekładając, że tam mieszka jego ojciec i matka. Nieczule, głuche straże, krzyżowały bagnetę przed jego piersiami i powtarzały tylko:

— Nie wolno tu wchodzić!

W tej samej chwili, gdy go te okrutne słowa zatrzymały, przeklinając urządzenia tak nielitościwe, ujrzał czarno ubranego człowieka, z białym krzyżem na piersiach, który przeszedł strażę, nie będąc zatrzymanym.

— Dlaczegoż ja nie mogę przejść, a ten człowiek przeszedł?

— Ponieważ pan nie jesteś urzędnikiem zdrowia, odpowiedział żołnierz. Gdybyś pan tak jak tamten, trudnił się pielęgnowaniem chorych i grzebaniem umarłych, nie wzbraniałibyśmy panu przejścia.

— Ależ ja chcę pielęgnować mego ojca i moją matkę, którzy na tej ulicy mieszkają, odpowiedział Artur podając mu kilka sztuk złota.

Ale pieniądze takj sam miały skutek jak jego wymowa; jeden tylko żołnierz rzekł mu nie tak surowo:

— Idź pan do tego tam biura, i każ wpisać się do towarzystwa grabarzy.

To słowo grabarze, przeszło jak sztyletem biędne serce Artura. Pot wystąpił na jego czoło, i nogi jego zachwiały się. Jednak choć bliski zemdenia, pobiegł do wskazanego miejsca, aby zostać przyjętym do bractwa, które miało prawo wejść do każdego domu, zbliżyć się do każdego łóżka, pielęgnować chorych i grzebać umarłych.

Ale tak chrześcijańskie poświęcenie siebie samego znajdowało mnóstwo przeszkód. Artur gniewał się; nie pojmował, żeby siła ludzka mogła wzbronić synowi przystępu do łoża boleści jego rodziców. Ale nakoniec przyjęto go na członka towarzystwa grabarzy, i przebrany czarno, z białym krzyżem na piersiach, wrócił do okręgu w którym jego rodzice mieszkali. I jak mu poprzednio powiedzieli żołnierze, został bez oporu przepuszczony skoro tylko ujrzano jego ubiór i usłyszało hasło: Litość i pobożność.

Człowiek, któryby w tej chwili otrzymał tytuł lub godność, nadającą mu prawo wejścia do każdego pałacu, nie spieszyłby się bez wątpienia, tak jak Artur przeszedłszy kordon zdrowia. Doszedłszy do tego rogu ulicy, będzie już widział hotel w którym jego matka mieszka, a o dwa domy dalej jest mieszkania jego Sary,.... ach jakże serce jego bije! jak ta ulica przedłuża się! Jak daleko jeszcze to mieszkanie. Nakoniec ma tylko już kilka kroków,... dlaczegoż wstrzymał swój pośpiech?.... Usłyszał wołanie: kto ma umarłego w domu niech wystawi w oknie świecę, aby zabrano zwłoki.... ten odgłos uderzył go powtórnie, i on wstrzymał się, bo obawiał się, żeby w domu gdzie mieszkała jego rodzina, nie ujrzał światła w oknie. Nie mogąc się oprzeć trwodze, stanął nie będąc w możności poruszenia się. Wtém jakiś członek tego samego co on towarzystwa, rzekł

mu przechodząc mimo. Bracie, czy czujesz napad słabości? Bardzo źle wyglądasz; jeśliś słaby, zajmę się tobą, ale jeśli nie tak jest, pójdźmy razem, nieść pomoc naszym bliźnim. W przyległej ulicy znajdziem dość do roboty, bo zeszłej nocy, zaraza okropnie tam pustoszyła.

Ta przyległa ulica o której ów człowiek mówił, była tą samą ulicą, na której lord i lady Shelburn mieszkali.

Miał tyle odwagi iż podniósł oczy. O! szczęście! radości nieopisana! w żadnym oknie obu domów które są wszystkiem dla niego, nie widać znaku śmierci!... A więc nikt z jego rodziny nie został dotknięty zarazą; aniołowie niebiescy czuwali nad nią, opiekowali się Sarą! Dzięki tobie o Boże!

Wokoło niego w konwulsjach upadają dotknięci zarazą; minął kilka trumien niesionych na miejsce wiecznego spoczynku; ale Artur nie słyszy. Jest to jedna z największych naszych słabości, iż stajemy się samolubami, jak tylko obawiamy się wielkiego nieszczęścia. Jeśli drogie nam istoty nie mieszczą się w rzedzie ofiar, nie widzimy wcale bólu, cierpienia i rozpacz, które nas otaczają; radość nasza z ocalenia przedmiotów naszej miłości, tak jest wielką, iż nie postrzegamy otaczającej nas żaloby.... Artur czuł się przez kilka chwil smutnym, wpośród powszechnej bolesti.

Ale szczęście ludzkie jest nietrwałe! Artur przystąpił próg mieszkania swjej matki..., Pusto!..;

Lady Shelburn umierająca, a lady Grville pielęgnuje swoją przyjaciółkę... Artur, spieszy do nich, ale około łoża śmierci taki smutek panuje, że nawet nikt go nie przywitał; i w istocie, czyliż można uśmiechać się do człowieka, który przybywa wśród takiego nieszczęścia!...

Dziś wszyscy wiemy, iż cholera przy całej swej przerażającej potędze, ma także swoje dziwactwa; niekiedy za ledwie dotknie swą dłonią silnego mężczyznę i silny mężczyzna zadrży, opiera się przez chwilę i ginie. Inym razem, dotknie słabą istotę, i ta słaba istota opiera się i przewycięża słabość.

Lady Shelburn jeszcze nie jest śmiertelnie słabą; miłość dziecinna Sary, jest tak czynną, tak zręczną i niezmordowaną; jęj troskliwość jest tak czuła, jęj modły tak gorące, iż nawet zaraza ulitowała się nad przedmiotem jęj piczołowości. Sara ujrawszy Artura te słowa tylko rzekła:

— Pewna byłam, iż nie pozwolisz nam cierpieć samym, oczekiwałam cię.

Te kilka słów, więcjęj przejęły jego serce, niż wszystko co by mogła pomysleć najtkliwszego. Sara była dlań sprawiedliwą.

Bez wątpienia bale z swoim przepychem i wesołością, swemi wieńcami z róż i miłą harmoniją muzyki, nie jedno serce pobudziły do miłości, ale dla wzbudzenia silnej namiętności, nie niema potężniejszego jak boleść.

Sara na balu byłaby piękną jak najpiękniejsza z kobiet, ale Sara, schylająca się nad swoją chorą matką, i ogrzewająca ją swém tchnieniem, swemi rękami, była zupełnie inną, była aniołem.

Nie trzeba opowiadać, jak wzrastała miłość Artura, gdy z Sarą dzielił starania około lady Shelburn. Nie mógł pojąć, jak się to stało, że mógł poprzednio, przez jeden dzień nawet, nie ubóstwiać nadobnej dziewicy, i aby ją dłużej kochać, pragnąłby wrócić przeszłość, którą bez niej spędził! Ach! ileż on żałował tych upłynionych dni!

Lady Shelburn została uratowaną, i na blade lice Sary, powrócił słodki uśmiech; jęj błękitne oczy nie były już łzami zakryte, i odzyskały dawny swój blask czarownicy. Sara podobną była do kwiatka wykwitającego z pod śniegu i ozłoconego wiosenném słońcem.

Lekarze poradzili słabiej, powietrze Palermo; gdy lady Shelburn mogła już udać się w podróż, obie rodziny wsiadły na okręt, i opuszczały miasto walczące z cholera.

Wiatr był świeży, żagle okrętu który wiozł dwie radosne rodziny, wzdęły się, i podróż ich w krótkce zbliżyła się do kresu, a lady Shelburn nie czuła się osłabioną... Sara nigdy nie była piękniejszą; powracające zdrowie jęj matki, otoczyło glorią świętych, piękne, niewinne jęj czoło... Słońce ciepłemi promieniami ścigało okręt, który lotem ptaka, przecinał błękitne wały. Młoda

dziewica siedziała właśnie przy swój matce, słuchała opowiadania podróży Artura, i miała się bardzo dobrze podczas podróży. Była bardzo szczęśliwą, wtém nagle zawołała: Ach, jak mię dreszcz przebiega!

Zaledwie te słowa wyrzekła, oblicze jój przybrało zupełnie odmienną postać. Cholera dotknęła biedne dziecię; godzina uderzyła. Dopiero uśmiechała się do słońca, do swojej matki, do nadziei i przyszłości, a teraz już walczyła z śmiercią!

Z śmiercią! bo ona, która uratowała swoją matkę, nie mogła być ocaloną... Tymczasem udzielono jój wszelkiej pomocy, o jakiej można było pomyśleć. Artur ujrawszy jój stan okropny zawołał z uniesieniem: Miłość moja silniejszą będzie nad zarazę! Zwodna nadzieja! Tchnienie śmierci, tchnienie jadowite Neapolu, które przewiało nad okrętem, dotknęło Sarę i Artura...

Rodzice ich mówili do dawna: Połączmy nasze dzieci, a teraz cholera, połączyła je swoim sposobem.

Artur w piewszej chwili chciał ukryć swoją słabość, ale w prędcę przystąpiły konwulsje i ten który przed chwilą poprzysięgał pielegnować swoją narzeczoną, i ocalić jój życie, wtój chwili sam potrzebował obcej pomocy... Z tój niedawno jeszcze tak szczęśliwej miłości, która zdawała się tak

niezachwianą, nic nie pozostało. Cierpiący Artur nie powiedział nawet tym co mu pomoc niesli, idźcie do Sary! bo serce stygnie i wszelkie szlachetne myśli umierają przed śmiercią ciała, i samolubstwo, jest ostatniem uczuciem na ziemi. Artur i Sara jęczeli, jak dwaj przyjaciele, którzy sobie wzajemnie pomocy przynieść nie mogą... Ach! śmierć nie jest smutną, ale towarzyszące jej okoliczności. Jakże one odkrywają naszą nicość!...

Dwie trumny wiozł ten sam okręt, aby obie spoczęły w grobowej kaplicy w Netly-Castle.

KOBZIARZ.

W czasie, kiedy Burgundczycy i Armańjako-
wie najzaciętszą między sobą prowadzili wojnę,
której nieszczęśliwe działania, w całej Francji u-
czuć się dawały, żył w mieście Troyes, stolicy
Szampanji, człowiek, którego głównem zatrudnie-
niem było, stroić figle; wszyscy ubodzy i boga-
ci lubili go, i musiał znaleźć się wszędzie, gdzie
tylko chciano się bawić. Bo oprócz swojego

dowcipu, umiał układać wesołe piosenki, spiewał je przyjemnym głosem, i przytém towarzyszył sobie na kobzie, na której grał bardzo dobrze.

Dopóki Troyes było w mocy Burgundczyków, pozostał on tamże, ale gdy Armańjakowie przemogli, musiał oddalić się z miasta i udał się do obozu Burgundczyków, gdzie go z otwartemi rękami przyjęto.

Pewnego dnia, Bertrand, to było imie pod którym powszechnie znano wesołego grajka, znajdował się w gronie kilkunastu oficerów Burgundzkich, w obozisku w Sainte-Manchould, gdzie jak zwykle w podobnych zgromadzeniach, bawiono się nader wesoło, do czego niepomалу przykładał się Bertrand.

Wpóśród rozmowy o rozmaitych rzeczach, Bertrand podał projekt, wyplątania nowym posiadaczom jego rodzinnego miasta takiego figla, którego długo nie zapomnieli. Bo od czasu kiedy musiał ustąpić z Troyes, jako stronnik Burgundczyków, mając pod zagrożeniem śmierci wzbroniony powrót w tamte okolice, Bertrand nienawidził śmiertelnie Armańjaków, i tylko czekał sposobności zemścić się dowcipnym sposobem. Udam, rzekł on, że chcę wemknąć się do miasta; zatrzymają mię, i zaprowadzą do komendanta; ten będzie pewnym, że mam złe zamiary, i bez zachodów każe mię powiesić. Poprowadzą mię z zwykłą w takim przypadku wystawnością, do

szubienicy, która za miastem wyciąga swoje trzy nogi, i możecie być pewni, moi przyjaciele, że tłumy tych niegodziwców towarzyszyć mi będą. Wy tymczasem staniecie w zasadzce, a za danym przezemnie znakiem, spadacie jak piorun, uratujecie mię od małżeństwa z córką stryczka, i weźmiecie tyle jeńców ile wam się podoba. Ale bądźcie gotowi. Nie będzie tam czasu do stracenia. Pojutrze, skoro świt, musicie być w pogotowiu i dobrze ukryć się w zasadzce; bo dniem pierwój dam się schwytać, a zapewne nie wiele będą ze mną robić zachodu. Idzie tu nawet o was, bo jeśli przyjdziecie wtedy, kiedy mię już powieszą, to widzowie się oddalą i nie będziecie mieli ani szeląga zysku.

Ten układ wesołego Bertranda, z powszechném zadowoleniem został przyjęty i potwierdzony, i ułożono wszystko podług jego wniosku. W stosownej porze, Bertrand udał się do miasta, pozwolił się schwytać, w chwili gdy się skradał przez okopy i w skutku tego został zaprowadzony przed komendanta, który zaciętym był jego nieprzyjacielem. Następnie przesłuchano go i osądzono na powieszenie, nazajutrz o wschodzie słońca. Wyrok ten został publicznie ogłoszony.

Zaledwie noc zaczęła ustępować świtowi, wszystko co tylko mogło chodzić, udało się przed dom sądowy, aby nieszczęśliwemu winowajcy, towarzyszyć na miejsce kary. Z pierwszym pro-

mieniem słońca, okazał się on na żalobnym wozie, w towarzystwie kapłana i wykonawcy sprawiedliwości, i cały orszak ruszył zwolna za miasto. Wszystkie oczy zwrócone były na Bertranda, który bynajmniej nie okazywał trwogi, owszem prosił o swoją kobzę, i z wielkim ukontentowaniem coraz liczniejszego tłumu grał na niej i nakoniec zainprowizował piosnkę, która tak się zaczęła:

„Po raz ostatni Bertrand śpiewa,
I gra na kobzie wam;
Bo patrzcie, szubienica wzywa,
Już wnet tańcować mam!

Tymczasem Burgundczycy, wszystko, bardzo przeznornie przygotowali. Już około północy znaczna liczba dzielnych wojaków, ukryła się w lasku pobliskim, a na drzewie najbliższém siedział strażnik mający zważać na wszystko co się będzie działo w dolinie, i w stosownej chwili, dać umówiony znak ukrytym w zasadzie.

Nakoniec biędny winowajca przybył na miejsce kary, i kazano mu aby zstąpił z wozu, i wszedł na stopnie trójnożnej narzeczonej. Wtęj chwili rzucił on badawczy wzrok w stronę lasku, ale niemógł dostrzedz nic takiego z czegoby o gotowości spodziewanej pomocy mógł się przekonać. To zaczęło go nakoniec cokolwiek niepokoić, i aby

przynajmniej zyskać cokolwiek czasu, prosił aby go raz jeszcze przesłuchano, i łatwo domyśleć się, iż wyznawał takie czyny, o których mu się nawet nie marzyło w całym życiu, aby tylko ile możności przedłużyć posłuchanie. Coraz trwoźniej spoglądał wokoło, coraz niespokojniej biło mu serce, bo minuta za minutą upływała, a nie widać było ani podobieństwa pomocy. Na nieszczęście, strażnik siedzący na drzewie, znużony nocnym pochodem, zasnął, i ukryci w zasadzie, napróżno oczekiwali umówionego znaku do wycieczki,

Komedant Armańjaków rozgniewany tak długą zwłoką, rozkazał wykonawcy wyroku, aby przystąpił do spełnienia swój powinności. Bertrand musiał zejść z wozu, i wstąpić na fatalną drabinę. Bertrand zbliżył się do niej, i z spuszczoną głową, przejęty szczególnymi uczuciami, zaczął wstępować na szczeble. Już dochodził do szczytu, i rzecz zaczęła przybierać groźną postać. Dreszczem przejęty, obejrzał się raz jeszcze wokoło, ale niestety! napróżno; bo nic nie było widać ani słyszeć.

Już rozpacz zaczęła wciskać się do jego duszy; kiedy nagle, przyszła mu myśl, którą natychmiast wykonał. Obrócił się do komendanta i głośno zawołał, iż przebacza mu swoją śmierć haniebną, jeśli mu tylko tę jedną łaskę wyświadczy, aby mu wolno było raz jeszcze przed śmiercią, na swój ulubionej kobzie zagrać. Ta prośba została wy-

śluchaną; pođano mu kobzę, na której zaczął jak mógł najsilniej, ulubioną Burgundczyków piosnkę, której każda zwrotka kończyła się temi wyrazami:

„Me serce tęsknie czeka,
Mój luby powrół zwleka!“

Zaledwie wiatr doniósł do lasu, te tak dobrze znane dźwięki, kiedy strażnik na drzewie obudził się ze snu, spojrzął wokoło, lotem błyskawicy zszedł z drzewa, pobiegł do lasu i zawołał: Hej towarzysze, żwawo! Bertrand już stoi na drabynie. Naprzód! Więcej nie potrzeba było, do pobudzenia Burgundczyków. Zabrzmiały ich trąby i okrzyk boju, z podniesionemi lancami i mieczami wypadli z lasu uderzyli na Armańjaków pierwój nim ci mogli zmiarkować co się dzieje i okropną pomiędzy niemi rzeź sprawili. Co nie zdołało ratować się szybką ucieczką, zostało zabite lub pojmane, a obfite łupy były nagrodą zwycięzców.

Biedny Bertrand został uratowany.

Że wesoło udał się do obozu zwycięzców i otrzymał część łupu, to nie potrzeba mówić. Jednak w skutku śmiertelnego strachu jaki przetrwał, utracił jak mówią dawną swoją wesołość, i już jej nigdy nie odzyskał.

DZIEŃ ŚLUBU.

Sędzia Boldheim i kupiec Stoller, byli sąsiadami w mieście Inspruk. Syn Boldheimą i córka Stollera, razem prawie wzrastali, zawsze z sobą bawili się; to ich złączyło tkiwym węzłem przyjaźni.

Gdy młody Boldheim skończył rok siedmnasty, ojciec postanowił wysłać go do Wiednia, dla ukończenia nauk w tamecznym uniwersytecie, poświęcił się bowiem medycynie. Lecz inna jeszcze ważna przyczyna skłoniła Boldheima do oddalenia syna, gdyż spostrzegł wzrastającą miłość między synem i Józefiną, a nigdy nie przewidywał, aby to, co ciągle za dzieciństwo uważał, mogło stać się niebezpiecznym. Srodki zaradcze były niewczesne; miłość już się zagnieżdżyła w młodych sercach. Pożegnanie było bolesne... okropne... poprzysięgli sobie wieczną miłość.

Rudolf odjechał do Wiednia.

Przed odjazdem, Rudolf umówił się z przyjacielem swoim Bertholdem, który znał jego tajemnicę, aby listy do niego adressowane, oddawał Józefinie.

Ta tajemnicza korespondencja pocieszała kochanków, gdy nagle niespodziana śmierć matki Józefiny, zmieniła cały porządek w domu Stollera. Skoro minęły pierwsze chwile smutku, Stoller rozważał jako ojciec i uznał że córce jego szesnastoletniej, nie wypada siedzieć w sklepie za stołem, i dlatego postanowił porzucić handel i szukać dla Józefiny męża, któryby przymiotami i majątkiem odpowiadał godnie przymiotom i posagowi jego córki.

Stoller uwiadomił o swoim przedsięwzięciu Józefinę, która z całą otwartością wyznała ojcu miłość swoją dla Rudolfa, i oświadczyła że jest wzajemnie kochaną; lecz Stoller uważał tę miłość za dzieciństwo. — Masz teraz lat szesnaście, mówił do niej, a Rudolf najwięcej ma dziewiętnaście, więc za młody, a zresztą jest jeszcze studentem; jego ojciec wprawdzie jest sędzią, lecz nie bogaty, to małżeństwo nie jest stosowne dla ciebie, a potem już trzy lata jak niewidzieliście się, on już zapewne zapomniał o tobie.

To mniemanie zasmuciło Józefinę, lecz nie traciła odwagi; bo była pewną miłości Rudolfa, jego ostatnie listy tak jak i pierwsze, były pełne najtkliwszych uczuć, i nadziei połączenia się bliskiego.

Józefina była smutna i nie wiedziała czy napisać Rudolfowi o swojej z ojcem rozmowie, lecz na cóżby to się przydało, daremnieby tylko go

zmarawiła, widziała bowiem, że ojciec niechętnie patrzy na ich miłość. Jeszcze tylko rok, mówiła do siebie, a Rudolf zostanie doktorem, wówczas ojciec nie odmówi mu córki, nic więc nie napiszę, to będzie najlepiej.

Skoro tylko wieść rozeszła się po mieście że Stoller chce córkę wydać za mąż, ze wszystkich stron cisnęli się konkurenci; bo Stoller był bogaty a Józefina piękna, lecz żaden nie podobał się. Stoller nie żądał bogatszych, jeden tylko zyskał jego względy; było zaufany przyjaciel Rudolfa, młody Berthold. Stoller dał mu poznać że go lubi, i swoje życzenia w połowie mu wyjawił. Berthold był zachwyconym; bo Józefina bardzo mu się podobała, a wiecej jeszcze jej posag, lecz musiał ukrywać swą radość, bo położenie jego względem Józefiny z przyczyny Rudolfa, nakazywało mu działać ostrożnie.

Berthold był pewnym zezwolenia ojca, bo tenże sam wyznał przed nim, ile mu sprzyja, nie był tylko pewnym tego, czy Józefina zechce mu oddać swoją rękę, wiedział że to wiele trudności kosztować będzie. Stoller nie życzył sobie w prawdzie Rudolfa za zięcia, lecz zanadto kochał swoją córkę, aby ją miał zmuszać do małżeństwa, z człowiekiem którego by nie kochała. Dopóki Józefina Rudolfa kocha i jest pewną jego wzajemności, dopóty Berthold niczego nie mógł się spodziewać;

wiedział on o tém, i dla tego użył intrygi, obmówił Rudolfa, że niestały; niewierny, lekkomyślny, że nie kocha już Józefiny.

Na nieszczęście, Józefina miała zaufanie w Bertholdzie, a to zaufanie niegodny przyjaciel zdradą odplacał.

Listy do Józefiny, jak już wspomnieliśmy, Rudolf przesyłał na ręce Bertholda, on je teraz zatrzymywał, niszczył, a gdy Józefina pytała się czy nie ma listu od przyjaciela, on jęj zimno odpowiadał, że Rudolf zapewne czém inném zajęty, że pisał do niego, lecz nic nie wspominał o Józefinie.

To milczenie Rudolfa, to zaniedbanie, kosztowało wiele łez Józefinę, niespokojność jęj pomnażała się z każdą chwilą. Tak przeszło kilka miesięcy, a Berthold, który do tego czasu nie dał poznać, że stara się o rękę Józefiny, postanowił teraz otwarcie pomówić z ojcem, bo czas nagił, za trzy miesiące Rudolf miał zostać doktorem i powrócić do Inspruck, wszystko wówczas byłoby się wydało, należało więc spieszenie działać. Oświadczył się więc; ojciec chętnie go przyjął, Józefina tylko chociaż opuszczona, zdradzona, wahała się jeszcze i błagała ojca, aby jęj pozwolił zostać przy nim; lecz Stoller nie chciał jęj słuchać, wysmiewał jęj wierność dla niewiernego i żądał aby mu była posłuszną. Biedne dziecię! usłuchała rozkazu ojca, zezwoliła na wszystko, Oznaczono dzień ślubu.

O niczem nie mówiono w Inspruck, jak tylko o ślubie Panny Stoller, ta wiadomość doszła do Wiednia i do Rudolfa... Nieszczęśliwy, jak gdyby piorunem rażony, widział się zdradzonym od kochanki i od przyjaciela.

Rudolf nie mógł żyć w takiej niepewności, opuścił Wiedeń i pospieszył do Inspruck gdzie stanął w wilję ślubu. Nie było już wątpliwości; wszędzie mówiono tylko o zamęściu bogatej panny Stoller z zamożnym Bertholdem. W serce młodego Tyrola najokropniejsza wkradła się zemsta. Urodzony w mieście które z Włochami i Niemcami grańczy, Rudolf wyszał uczucia obu tych krain. Miłość Tyrola jest czułą, głęboką i tkliwą, jest żywą, gwałtowną i mściwą. Tyrol kocha jak Niemiec, mści się jak Włoch.

Jedna tylko wątpliwość pocieszała Rudolfa. Czy Józefina z własnej woli idzie za męża? Czy jest przymuszona? Chciał ją widzieć, mówić z nią, ona sama miała mu powiedzieć że go już nie kocha... „Boże!... to jest niepodobna!“ mówił do siebie, te usta które tyle razy powtórzyły, kocham cię, nie mogą powiedzieć: już cię nie kocham. Z pewnością ją przymuszono, pewnie zdradą dopięli swego zamiaru; tysiące myśli krzyżowało się w jego głowie, chciał koniecznie widzieć Józefinę.

Napisał do niej, prosząc, aby się zobaczyła z nim w ogrodzie. Józefina ucieszona, uszczęśliwiona, chciała zadosyć uczynić swojemu i jego życzeniu,

bo nabrała nowój odwagi, nadzieja błysnęła w jej sercu, chciała mu odpisać, lecz ojciec uwiadomiony o przybyciu Rudolfa; ani na chwilę jej nieodstępował.

Rudolf czekał na Józefinę przez całą noc, gdy już dzień zaczęło, wracał do domu z sercem pełnym rozpacz i wściekłości. Teraz przekonał się że Józefina już go nie kocha, Bertholda z własnej woli przyjmuje za męża, nie ma odwagi spojrzeć w oczy swego dawnego kochanka..... był zdradczynym! „Boże! niech się skończy moje nędzne życie!“ zawołał, kupił pistolet podwójny, włożył po dwie kule w każdą lufę. Następującej nocy przeszedł przez mur do ogrodu, zakradł się do pokoju Józefiny i czekał na nią.

Rodzina nowo-zamężnych już się zgromadzała, goście zaczęli się zjeżdżać, a Józefina, ofiara zdrady, kończyła się ubierać w ślubne suknie, przypomniała sobie, że bukiet zapomniała w swoim pokoju, i sama po niego poszła. Jakże się przelękała i ucieszyła razem, gdy poznała Rudolfa. „To ty... to ty...“ zawołała, siły ją opuściły, padła w objęcia Rudolfa. „Tak, to ja“ zgrzytając zębami, odpowiedział ponurym głosem Rudolf..... Słyszano wystrzał.. Józefina padła nieżywa. Rudolf strzelił drugi raz, lecz chybił, część jego wargi tylko odpadła.

Berthold pobiegł do miejsca tego wypadku, lecz

padł przy nogach konającej Józefiny. Rudolf porwał go za szyję... rozpoczęła się okropna walka, tarzali się w wściekłości po ziemi; nakoniec Rudolf, któremu ból i zemsta dodawały mocy, porwał pistolet i zadał śmiertelną ranę Bertholdowi. Józefina już nie żyła.

Dnia 2go Maja 1837 roku o godzinie 7mej rano, mieszkańcy Inspruck ze smutkiem rozeszli się do domów, byli świadkami, jak ścięto głowę dwudziesto-letniemu młodzieńcowi.

POGRZEB NA MORZU.

(*Ustęp z pism H. Schmidt*)

Podróż nasza ciągle była jednostajną, bez żadnego wypadku godnego zastanowienia. Z tego powodu rozmowa w kajucie nie była zajmującą, a jako oficerowi, nie wypadało mi mieszać się do rozpraw majtków, W takim stanie przeszło wiele nudnych godzin, które tém przykrzejszemi były dla mnie, że oprócz dzieł o żegludze, nie było na okręcie ani jednej książki do czytania, którąbym mógł rozpędzić dręczące_u mię niemilosierne nudy.

W tak nie przyjemném położeniu, spojrzałem na strażnika kajuty, wesołego, pietnastoletniego chłopaka. Nazywał się Oskar, był równie jak ja urodzony w Altonie i miał biedną matkę. Ta kobieta kochała swego syna aż do ubóstwienia; i na nim pokładała swoją całą nadzieję na przyszłość. Błagała go, aby wybrał taki stan, któryby go nie zmuszał rozstawać się z nią na długo; z posłuszeństwa i miłości, poszedł on za jęj radą, ale w warsztacie swego majstra nie mógł wytrzymać, nieopisana jakaś, niepojęta siła, pociągała go na morze i dopiero wstąpiwszy na pokład „Róży“ (tak się nazywał nasz okręt) uczuł w swém sercu nową gwałtowną niespokojność. „Zdaje mi się, jakby mię ktoś za włosy ciągnął na ląd“ mówił on raz do mnie, „ale nie powrócę, chcę doświadczyć co to jest morze!“ Kiedy w dniu odpłynienia, chodziłem żegnać się z moją rodziną, przyszła matka Oskara, i błagała mię, abym nie zbyt ostro obchodził się z jęj synem, i miał go w opiece. Przynależem płaczącej matce, iż zajmę się losem jęj dziecięcia, ale kto wie, czy nie byłbym zupełnie zapomniał tego przyrzeczenia, gdyby życie w kajucie nie było tak nudném.

Oskar był ciągle blisko mnie; był to niezmiernie delikatny młodzieniec, drobny, z jasnymi pokrętymi włosami i błękitném okiem. Było to jeszcze zupełnie dziecię, lubiące bardziej rozrywkę niż pracę, albo raczej pracujące jakby się bawiło.

Lubiłem jego żywość, w dwóch skokach przebiegał z jednego końca okrętu na drugi; ale niekiedy, szczególnie w wieczorem, godzinę i dłużej siedział na jednem miejscu bez poruszenia. Spoglądał wtedy, albo na szumiące wały albo na wschodzące gwiazdy. Kilkakrotnie w podobnych przypadkach przypatrywałem mu się badawczo; przesuwając ręką po czole, usta jego poruszały się nie wydając żadnego dźwięku, a nieraz łała błyszcząca w piękném błękitném oku. Dusza jego ukrywała jakieś uczucie, które niedojrzało jeszcze tyle, aby mogło udzielić się drugiej istocie; był to rzadki, bogaty skarb, który wpadł w bezdenną przepaść, pierwój nim szczęśliwy jaki czarownik, siłą zaklęcia swego, zdołał go na świat wydobyć.

Wspomnienie tego młodzieńca, dziś, po dwudziestu latach, obudza we mnie najboleśniejsze uczucia; czulem ku niemu nie przewyżniony pociąg, i największą znajdowałem przyjemność, w udzielaniu mu w chwilach wolnych od innego zatrudnienia, rozmaitych uwag tyczących się życia na morzu. On, słuchał uważnie, ożywiał rozmowę tysiącznemi różnego rodzaju zapytaniami i kończył zazwyczaj temi słowy: Kochany panie, jakby cieszyła się matka moja, gdyby wiedziała ile ja się już od pana nauczyłem.

Oskar, okazywał nieograniczoną miłość dla swój matki. Wziął on z sobą na pokład, trzy krzaki róży, które ona w swoim maleńkim ogródku wypie-

łęgnowała; co rano wynosił je na pokład i co wieczór na powrót zanosił do kajuty. Jego pieczołowitość nie była bezskuteczną, krzaczki pokryły się liśćmi i pączkami, i wkrótce można się było spodziewać pięknych kwiatów.

Pewnego poranku, wskazywałem mu użycie kompasu, potem usiedliśmy oba, przypatrując się spokojnie odpływającej wodzie atlantyckiego oceanu, którą lekki, przechodni wiatr zaledwie poruszał. Oskar objawił niecierpliwosć ujrzenia jak najprędzej tego świata nowego, o którego niebotycznych drzewach, i olbrzymich kwiatach, wiele dziwnych rzeczy słyszał: „Nie wrócę już nigdy ztamtąd, jeśli mi się tam podoba, rzekł; a podoba mi się wszystko, co tylko jest różno-barwne i błyszczące, dla tego, nie lękam się wpaść w wodę, bo wały morskie, tak są pięknie zielone, głowy ich śnieżne, a słońce tak pięknie, złocisto, od nich się odbija. Doprawdy! obojętnie poszedłbym na dno!

Wtém wybiła czwarta; Oskar z kolei miał w koszu na wielkim maszcie odbywać straż dzienną. Na głos porucznika, młodzieniec szybko wskoczył na oznaczone miejsce, i zaczął patrzeć uważnie na wszystkie strony. Wtój samej chwili, wypłynął na powierzchnię wałów, w niejakiej odległości, ogromny rekin i puścił się lekko na wodzie. Oskar, który od kilku dni marzył o lądzie, do którego tak wdychał, ujrzawszy tę czarną masę, zawołał głośno: „Ziemia! ziemia! Ale w tój chwili ryba

zanurzyła się, a oskar który przypatrując się, za bardzo wychylił się za poręcz kosza, stracił równowagę i upadł na pokład, przed samymi memi nogami.

Stańców przerażony, i dopiero bolesne, przytłumione jęki nieszczęśliwego, powróciły mi przytomność. W mgnieniu oka, wszyscy ludzie okrętowi zebrali się w tém miejscu, nawet kapitan przybył na pokład, bo Oskar był ulubieńcem wszystkich. Zanieśliśmy go do kapitańskiej kajuty, i urządziliśmy dla niego, ile możności wygodne łóżko. Ponieważ nie było lekarza na okręcie, i nie widać było żadnego uszkodzenia w członkach Oskara, nie wiedzieliśmy przeto, jakiego użyć lekarstwa dla przywrócenia mu zdrowia. Biedny, oczy miał zawarte, i tylko lekkie poruszenia serca, dowodziły że życie jego nie uleciało jeszcze. Napróżno wlewano mu w usta wzmacniającą napoje, pozostał ciągle bez ruchu, i dopiero wieczorem, gdy sam tylko przynim pozostałem, otworzył oczy i spojrzał na mnie.

— Czy cię co boli? zapytałem go; powiedz gdzie cierpisz.

— Nic mię nie boli, odpowiedział, układając usta do pół martwego uśmiechu; po chwili mówił dalej: Wiem dobrze, że spadłem z kosza masztowego; prosz pan kapitana, żeby się za to nie gniewał, już ja na drugi raz będę ostrożniejszy.

Nie mogłem słowa przemówić, tak byłem wzruszony; podałem mu wina, którego napił się cokolwiek. Zamknął potem oczy, i zdawał się słodko usypiać.

Po pół godziny, obudził się znowu, i rzekł, nie otwierając oczu: Śniło mi się o moich różach; chociaż ich dziś jeszcze nie polewałem, pączki, jednak rozwinęły się, i teraz okazały się w pełnym kwiecie. To musi bardzo być pięknie! Odszedłem od jego łóżka i udałem się do kajuty sternika, gdzie stały kwiaty Oskara. Wistocie mnóstwo było róż rozwiniętych, i balsamiczna woń napełniła powietrze. Wziąłem doniczki i zaniósłem je do łóżka chorego. Oskar, zawołałem, oto są twoje róże! Młodzieniec otworzył oczy, i zdawał się połykać niemi piękne kwiaty. Potem rzekł z cicha: — Ach! jak to piękne! jak mile wonieją te kwiaty! Jak mię to cieszy, iż widzę to, co mi przypomina moją matkę! Pozdrowcie ją odemnie... Tak jestem znudzony... Dobranoc!

Pochylił głowę, i oczy jego zamknęły się. Ale w tej samej chwili palce jego skurczyły się konwulsyjnie i trupia bledność pokryła jego twarz.

— Wielki Boże! Oskar umiera! zawołałem śmiertelnie przerażony, i na głos mój zbiegła się cała osada. Użyto wszelkich środków jakie były pod ręką, ale nadaremnie. Życie uleciało już z tego młodego ciała; o północy postawiono dwóch

majtków na straży przy umarłym. Jeden siedział w nogach, drugi u głowy, ciało pokryte było banderą.

Trzeci poranek, następujący po tym wypadku, przeznaczony był na pogrzeb. Przed wschodem słońca, cały pokład został wymyty, tak że ani jeden pyłek na nim nie pozostał. Jak najspieszniej śniadanie przygotowano, i potem wygaszono ogień. Nigdzie nie widać było fajki, i ani jakiego bądź narzędzia rzemieślniczego. Majtkowie przybyli na pokład w ubiorach niedzielnych, ich poważne milczenie, świadczyło o uroczystości tej chwili. Wielka bandera została wywieszoną, wszystkie flagi, na znak żałoby, przez pół były tylko rozpuszczone. Na znak przez kapitana dany, nabito działa, i co minuta, żałobny strzał odbijał się od wałów.

Wybiła godzina siódma. Przyniesiono na pokład zwłoki biednego Oskara, i nmieszczono na trzech deskach, które jednym końcem wspierały się o pokład, a drugim spoczywały na spuszczonej umyślnie wielkiej czółnie. Oskar ubrany był w suknie zupełnie nowe; głowę jego obwiązano jedwabną chustką, ręce związane na piersiach, a u nóg przywiązano wielki ciężar, aby zwłoki szybko zatonać mogły. Poozbrywałem róże z jego krzaczków, i zatknąłem je w różnych częściach jego sukni, bez wątpienia były to pierwsze zwłoki, które przystrojone różami, zniknąć miały w wałach oceanu atlantyckiego. Sciągnięto żagle i utwierdzono ster

samym środkiem, bo na morzu, zwyczajem jest, że podczas pogrzebu okręt przestaje płynąć. Osada stanęła w pół koła, starszy sternik stał tuż przy zwłokach z prawej strony, ja zaś z lewej. Kapitan podniósł flagę, którą były pokryte zwłoki, trzykrotnie pochylił ją nad umarłym, i rzekł: „Nie powrócisz tam z kąd powstałeś, to jest do ziemi, znikniesz w słonej głębi Oceanu. Ale łaska i miłosierdzie Ojca przedwiecznego, będzie z tobą; — zmówmy za pokój duszy Oskara, modlitwę pańską.“

Wszyscy odkryli głowy i modlili się z cicha. Po nie jednym pomarszczonem licu, spływały grube łzy; ja nie płakałem, byłem strętwiąły.

Po kilku chwilach, kapitan zaczął znowu: „Oddajemy to ciało i duszę, która w niem mieszkała, w ręce Boga ojca, syna i ducha świętego, i żegnamy je po raz ostatni!“

„Wieczny odpoczynek!... zabrzmiało jednotonnie i ponuro ze wszystkich ust. Na skinienie Kapitaną odsunięto czołno i deski spuszczone na dół, a zwłoki spoczywające na nich wpadły w morze. Kilkanaście strzałów zabrzmiało nad grobem, który już się zamknął, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Prawie nie wiedząc sam co czynię, zszedłem do kajuty, spisałem protokół tego przypadku, który cała osada podpisała.

Tymczasem podniesiono bandery, rozwinięto żagle i ster odwiązano; okręt płynął jak dawniej,

ale bolesne uczucia, których doznawaliśmy, nie znikły razem z powierzchownemi oznakami żałoby, i długo jeszcze odzywały się echem w duszach naszych.

IRENEUSZ PAWEŁ

I

PAWEŁ IRENEUSZ.

(*Powieść fizjologiczna.*)

Na schyłku miesiąca Grudnia 1807 roku, ciche i spokojne zawsze miasto Bourges, podczas pewnej ciemnej i mroźnej nocy, pogrążone było w ponurém uspieniu, gdy ciężka czworokonna karetta, szybko tocząc się po bruku, stanęła pod podwojami starożytnego kościoła Sgo Szczepana, owej sławnej katedry, jakich cały świat katolicki, dwie tylko liczyć może. Sądząc po hrabiowskich herbach, właściciel karety, musiał z obcych stron przybywać i być bardzo majątnym. Z tyłu stało

dwóch bogato galonowanych lokai, stangreta ledwie widać było z pod ogromnego niedźwiedziego futra, a konie okryte były skórami tygrysiemi.

W oka mgnieniu, lokaje zeskoczyli z za karety, i kiedy jeden z nich otwierał drzwiczki i spuszczał stopnie tureckim dywanem wyłożone, drugi pochodnią oświecał wnijsie do kościoła.

Naprzód wysiadł młody mężczyzna, jak się zdawało z ubioru i ułożenia, pan powozu, za nim upudrowany stary człowiek z grubemi rękami i twarzą rumianą, na której pokazywała się owa pokorna poufalskość, starym sługom właściwa. Dalej wysiadła kobieta, w jedwabnej, fioletowej sukni i czepku koronkowym, która daleko starszą wyglądała, niżeli być w istocie mogła, potem młoda, ruhaszna wieśniaczka, trzymająca w ręku z wielką ostrożnością coś sporego, białego, a na ostatku ksiądz w czarnej sukni pod tabaczkowym surdątem.

Kareta odjechała na bok, a pięć dopiero opisanych osób, weszło w towarzystwie dwóch lokai do kościoła, przez małe drzwi, gdzie przyjęte zostały przez szwajcara i zakrystjana, którzy w całym swym uniformie i z właściwą sobie powagą, przewodniczyli całemu temu orszakowi przez ciemne ganki kościoła, gdzie niegdzie małemi lampkami słabo oświetlone.

Na wszystkich twarzach malowała się jakowaś posepność, postępowali zwolna nie zwracając spojrzenia na otaczające ich przedmioty. Ani zadzi-

wiająca wspaniałość sklepienia, podpartego filarami na przemiań grubemi i smagłemi, ani ginąca perspektywa nawy, jaka kiedykolwiek mogła zdobyć gotycką świątynię, nie zdołały ich ani na chwilę zająć, chociaż ta ostatnia, od światła zawieszonej przed wielkim ołtarzem, olbrzymiej, srebrnej lampy, przybierała czarowny urok. Nikomu nawet na myśl nie przyszło rzucić okiem w boczne części kościoła, prowadzące do siedmziesięciu kaplic.

Szli w milczeniu i tylko stąpanie ich po kamiennej posadzce, głuchém echem przerywało grobową cichość. Nareszcie szwajcar uderza dwa razy swoją laską o posadzkę, usuwa się z uszanowaniem na bok, i wpuszcza do zakrystji osoby, któreśmy już poznali.

Przybliżono się do wielkiego komina, na którym kilka luczywek dawały więcej dymu jak ognia, i gdy kapłan kładł na siebie komżę i stulę, mężczyzna, o którym poprzednio mówiliśmy, rzekł do niego:

— Mości księżu wikary, oto są moi dwaj synowie nowo-narodzeni, trzeba ich prędko ochrzcić. Żadne dziecko nie potrzebuje tyle co oni łask, spływających z twoich modłów. Któż wie, czy żyć będą..... a nawet czyli można im życzyć żeby żyli?..... Łzy rześiste przerwały ojcu mowę, a gdy wieśniaczka zaczęła odchylać przykrycia i zasłony laftowane, odwrócił oczy i zakrył twarz rękoma.

Natenczas wszyscy ujrzeli dwoje pięknych dzieci, leżących obok siebie i przebierających czterema nóżkami z powabną niezgrabnością, lecz tylko dwie rączki dostrzeżono, i dopiero po pilniejszém przypatrzeniu się, ujrzano, że drugimi dwoma trzymali się z tyłu jakby w objęciach..... wtenczas dopiero dało się widzieć coś szczególnego w ich poruszeniach zupełnie zgodnych, w których ciała ich zawsze zachowały jedną i tę samą odległość: cztery całe ani mniej, ani nigdy więcej. W końcu odkryto, (i tu dopiero wyjaśnił się powód tej obfitych ojca), odkryto mówię, że dzieci połączone były węzłem z ciała powyżej bioder.

Uczucie bolesne ogarnęło całe towarzystwo na ten widok, a kapłan czuł że jego ręcę drżały w czasie odbywania obrządków świętego sakramentu. Gdy przyszło do nadania bliźniętom imion, stary sługa i matrona, którzy w tej chwili byli ich rodzicami chrzestnymi, obrócili się do swego pana, lecz ten nie podnosząc oczu, wyrzekł tylko:

— Ireneusz Paweł i Paweł Ireneusz. Ireneusz Paweł temu, który ma na szyi bursztyny.

Po ukończonym obrzędzie, cały orszak powracał w tym samym porządku i z tymże smutkiem.

Czytelnik pojmuje już przyczynę, nagłego i tajemniczo odbytego chrztu. Bywają nieszczęścia, które są wstydem; a hańba największém jest nieszczęściem. Bliźnięta potwornie zrosnięte, gdyby należały do rodziców ubogich, stałyby się dla nich

przedmiotem nader zyskownym, jako zaś dzieci hrabiego B. zajmującego znakomite miejsce u dworu, powinny być usunięte od świata, i oczom ukryte. Jedno tylko dla tych nieszczęśliwych istot pozostawało, to jest nadzieja, że nie dożyją do tego wieku, w którymby musiały same poznać, że są stworzeniami wyjątkowemi.

Kareta którą zostawiliśmy przy wnijsciu do kościoła, zajęta została napowrot przez te same osoby, które z niej wysiadły, i przebiegała z szybkością przez ulicę miasta Bourges, mijając ruiny pałacu dawnych książąt Berri, wielkiej wieży służącej za Ludwika XI za fortecę, i skromny domek sławnego Bourdaloue, teraz obrócopy na szynkownię.

Hrabia B. powracając z żoną z podróży w prowincjach południowych odbytej, zboczył cokolwiek, aby zabawić krótko w mieście Bourges, gdzie miał kilku dawnych przyjaciół, których od czasu emigracji nie widział.

Hrabina była w siódmym miesiącu ciąży i spodziewała się zjechać dość wczesnie na połóg do Paryża. Nie śpieszyła się z pożegnaniem znajomych, a ci, wynajdywali codzienn tysiączne powody dla przedłużenia odwiedzin, Hrabina po kilku tygodniach poczuła boleści, i przedwcześnie wydała na świat bliźnięta.... potwory. Lekarze osądzili niebezpiecznym, dać poznać matce okropny stan dzieci, sama bowiem była nadzwyczajnie cierpiącą. Gdy zatem zażądała je widzieć, potrafiono jak najstaranniej rzecz

utać, i postanowiono natychmiast po ochrzczeniu, wysłać dzieci z mamką do letniego mieszkania, jednego z przyjaciół Hrabiego. Hrabina przystała na ten układ, bo jej mąż przyrzekł, że skoro powróci do zdrowia, zabiorą z sobą do Paryża i dzieci i mamkę.

Poczciwa wieśniaczka zabrała więc z sobą bliźnięta, oraz najdokładniejsze przepisy od lekarzy, którzy oprócz tego mieli obowiązek codziennie osobiście dzieci odwiedzać. Zwrócono teraz wszelką pieczołowitość do słabiej matki, lecz pomimo najtroskliwszych ostrożności, trzeciego dnia zjawiła się gorączka i biedna hrabina umarła.... Od dziesięciu lat jak żyli z sobą, skarżyli się ciągle na niebo, że nie mogą mieć dzieci!... Hrabia odchodził od przytomności. Pożegnał się z przyjaciółmi, dzieci nie chciał już widzieć, lecz umieścił przy nich ową dozorczyńkę, która była ich chrzestną matką, z poleceniem, aby przy nich aż do dalszego czasu została, i zajmowała się ich wychowaniem... jeśli żyć będą. Nie mógł w lepsze ręce dzieci oddać, i z tej strony ubezpieczony, puścił się do Paryża, ażeby przytłumić cokolwiek, rozdzierającą serce jego boleść.

Hrabia B. towarzyszył Cesarzowi we wszystkich wyprawach od roku 1808, aż do 1813, w którego końcu powrócił do Paryża. Jednakże i w obozach, czułość jego dla nieszczęśliwych bliźniąt nigdy nie słabiała. Z odległych miejsc czuwał

nad niemi i nad ich potrzebami. Najslawniejsi lekarze byli do nich sprowadzeni, a ci wszyscy, zawsze wyrokowali, że tygodnia nie przeżyją. Tym sposobem od tygodnia do tygodnia, dzieci doszły do lat pięciu, były zdrowe i wesołe, i zawsze się w objęciach trzymały...Szczęściem dla nich, że się bardzo kochały.

Według twierdzenia lekarzy, większą było osłabliwością utrzymanie się bliźniąt przy życiu, jak ich narodzenie się. Nie pojmowali oni dla czego już oddawna nie pómierały; albowiem podług wszelkich prawideł fizjologicznych, istnienie ich było zagadką, i chyba tylko cudowi mogło być przypisane.

Lecz ja ci tę rzecz czytelniku wytłumaczę, ja który nie nie umiem, i wierzę w wszystko.

Przypomnisz sobie zapewne ową dozorczynię, zostawioną przy dzieciach hrabiego B. Otóż kobieta ta, miała serce i cnotę zadziwiające; nigdy nie kochała, tylko swoją zmarłą panię, do której powzięła przywiązanie, na wiele lat przed jęj zamężciem. Było to w początkach rewolucji, 1794 roku, kiedy Marja Gareau, (tak się nazywała), zawołaną została do usług w mieście Bourges, przez krewnych przyszłej hrabiny B, która natenczas w domu uważaną była jako uboga sierota na opiece. Marja znalazła ją wtenczas tak skromną, tak ujmującą, wesołą i rokoszną, że już nie miała ochoty rozłączać się z nią więcej. Uprosiła więc

sobie, że ją zatrzymano, bez zasług, i w dzień narządziła bieliznę domową, a w nocy zajmowała się pięknymi sukienkami i innymi drobnostkami dla swojej młodocianej pani, ażeby również pięknie wyglądała, jak inne panienki w towarzystwach, do których czasem uczęszczała.

— Ah! jak piękne masz suknie, jaka świeżość w toalecie! powtarzały jej towarzyszki, z pewnym tonem zazdrości. Wieleż ich tam masz? dodawały z zadziwieniem, jak gdyby się to znaczyło: przecież nie jesteś tak bogatą jak my.

— I czegoż chcecie?.. to moja służąca, która.....

— Jakto! twoja służąca?

— Czemuż by nie moje panny, służąca, która nią jest tylko dla mnie. Marja Gareau, opiekuje się mną i pracuje dla mnie, sama nie wiem jak i kiedy!., To jest prawdziwa wieszczka. I za powrotem do domu opowiadała znów to wszystko Marji Gareau, która naówczas nie mieniałaby się na koronę.....

Marja Gareau była młodą, a jednak nie wychodziła nigdzie jak tylko na mszę i na nieszpory, a wieczorami czytała kilka stronnic z biblji, w której najbardziej lubiła przypatrywać się ładnym obrazkom. Tak pobożne życie, zjednało jej u wszystkich niejaki poważenie; zasięgano u niej rady, częstokroć z pożytkiem, a nawet czasem sprawdzały się jej przepowiednie.

Jakoż razu pewnego oświadczyła: że panna Amelja jest ładna, skromna, i nabożna, i że niezadługo pojdzie dobrze za mąż, na wzór Estery z starożytności.

W miesiąc później, młody hrabia B. przejeżdżając przez Bourges, zakochał się serdecznie w pannie Amelji, złożył u jej nóg serce i 100,000 rocznego dochodu, otrzymał jej rękę, i wziął ją z sobą, razem z jej służącą.

Od tej chwili już się nigdy nierozłączały, aż do śmierci hrabiny B.... Byłaby i Marja Gareau skonała z żalu, gdyby powodowana religją i przywiązaniem, nie poświęciła swego życia nieszczęśliwym istotom, które w jej oczach obraz matki odżywiały. Ona to na swoich kolanach pielęgnowała je i karmiła, albowiem nie chciały przyjmować pokarmu matki. Wynajdywała ona dla nich starania najwykwintniejsze, modliła się gorąco, poświęcała, paliła gromnice, dawała na msze, aby uprosić u Boga życie, dla tych niewinnych, acz nieszczęśliwych istot.

Tym sposobem, pomimo wyroczni doktorów, dzieci chowały się i były zdrowe, a Marja Gareau i inni, byli przekonani, że korne serce uczciwej kobiety, więcej sprawi niżeli czcze gadaniny.

Ireneusz Paweł i Paweł Ireneusz, cudownym sposobem wzrastali, a że nigdzie nie wychodzili, i nigdy innych dzieci nie widzieli, zatem nie poznali swojego kalectwa, igrali, bawili się, a przy

nich i pocziwa dozorczyńni, zapominała o ich okropnej przyszłości. Częstoż jednakże, kalectwo dzieci stawiało jęj na myśli nieszczęśliwą chwilę, w której wszedłszy do wieku męzkiego, poznać mieli całą gorycz swojego położenia, a w ten czas nie jęj rozweselić nie mogło.

Raz szczególniej serce jęj się ścisnęło. Było to w Listopadzie r. 1812, w czasie przyjemnego poranku jesiennego, gdy uroczystość wiejska, zebrała w jedno grono młodzież i dzieci z okolic służący przez niebaczość zostawił otwarte drzwi ogrodowe, właśnie na miejsce owego zebrania wychodzące. Dzieci chodząc po ogrodzie, zachciały zobaczyć co to jest, lecz zaledwie kilka kroków postąpiły, gdy innychdwoje dzieci, nieco starszych spostrzegło ich, i śmiejąc się rubasznie, zawołało:

— Patrz, patrz! dwie małe poczwary! hola! héj! chodźcie no tu, przypatrzyc się małym poczwaram!

Tłum dzieci zaczął już się z hałasem zbiegać, a nasze biedne bliźnięta, przestraszyły się i z płaczem uciekły, opowiadając swojej dobrej dozorczyńni przyjęcie, jakiego od innych dzieci doznały.

— Powiedz nam moja droga, co to jest poczwara? dobra Marja nie nie odpowiedziała, ale się razem z dziećmi rozplakała.

Mnie się zdaje, mówił dalej Paweł Ireneusz, że te dzieci nie musiały być grzeczne, kiedy ich pan

Bóg ukarał tém, że je rozłączył, bo byli daleko jeden od drugiego... Zapewne oni się tak nie kochają jak my, braciszku! Tu się uścisnęli.

Pomiędzy bliźniętami widzieć się dawała uderzająca zgodność, jakoteż zadziwiająca sprzeczności. I tak, z twarzy nie było między nimi podobnego: Ireneusz Paweł miał oczy i włosy czarne nos orli, pleć śniadą, piersi szerokie i wypukłe, ręce kościste i plecy mocne; Paweł Ireneusz zaś, miał włosy białe, w pukle wijące się, oczy jasno-niebieskie, policzki białe, rumieńcem różowym ukraszone, skład ciała delikatny i piersi nieco wklęsłe. Lecz za to zdolność umysłowa, uczucia, skłonności, dusza cała, i organ mowy, tłumacz najwerniejszy téj ostatniej, wszystko to było w niepojętej zgodności obu braci. Nauczyciele widzieli w nich jednego tylko ucznia, tak dalece pojmowali wszystko w jednym czasie i jednakowym sposobem. Uważano wreszcie, że nigdy jeden bez drugiego nie był słabym, i oba razem do zdrowia przychodzili.

Wszystkie te szczegóły dotyczące się nauki i zdrowia bliźniąt, regularnie donoszone były hrabiemu B., który zawsze odpisywał długie listy, wypełnione radami, czułością i ubolewaniem. Nie mógł on się oswoić z myślą, że ma synów, których utwór wyłączał ze społeczeństwa... Marja Gareau od niejakiemu czasu, chodziła do wiejskiego ko-

ściołka, i z wylaniem łez długo na klęczkach modliła się przed obrazami świętych.

Jednego wieczora, ku końcowi Października 1813. poszła była, jak zwykle do kościoła, modliła się i rzewnie płakała, ale tym razem, łzy jej nie były takie jak dawniej, i zawiesiła na ołtarzu dwa wieńce z kwiatów, jeden po prawej, drugi po lewej stronie. Powróciwszy do domu, odesłała na pocztę wielki list i odetchnęła, tak jakby się jakiego ciężaru z serca pozbyła.

Upłynął miesiąc jeden i drugi... Żadnej odpowiedzi na list, była w kłopotcie i nie wiedziała co odpowiedzieć dzieciom, na ich częste pytania: Czy masz wiadomości od ojca? — Nigdy ich usilniej nie wyglądała.....

Stojąc w oknie dnia 1 Stycznia 1814 r., Marja spostrzegła zdaleka na gościńcu pojazd, zdawało się jej że rozpoznaje liberję hrabiego. W samej rzeczy pojazd zbliżył się i zajechał przed jej mieszkanie...

— Dzieci, moje dzieci, pójdźcie uściskać waszego ojca! I wtejże chwili, rzuca w objęcia hrabiego pięknego blondynka.

— To jest Paweł Ireneusz panie! zawoła, zanosząc się od wzruszenia.

Ojciec zdumiony, patrzy, ogląda się, jeszcze zdaje mu się że nic nie widzi... Nakoniec z nieopisanem wzruszeniem radości i żalu, osłupiały pyta się: A Ireneusz Paweł?

II.

A Ireneusz Paweł, pyta się drugi raz, jakby we śnie, okrywając całowaniami piękną głowę blondynka, który się w jego objęciach uśmiecha.

— To pan pewnie nie odebrał mojego listu z Października, przecież adressowałem go do głównej kwatery.

— Już niema żadnej głównej kwatery, i żadnego listu nie odebrałem. Ależ gdzie Ireneusz Paweł? zapytuje się po raz trzeci z przerażeniem.

— Braciszku, zawołał Paweł Ireneusz, na nadbiegającego chłopczyka, spiesze się, ojciec cię woła.

I śliczna buzia, śniada i żywa, skacze pędem do powozu i zawiesza się na szyi hrabiego.

Hrabia nie może już podolać wszystkim uczuciom, jakie go nagle tłoczą, i nie wie, czy ma wierzyć temu co jego oczy własne widzą. Nie może się dość napięścić z dziećmi, które do serca przyciska, raz każde z osobna, to znów razem oboje, jakby tylko jedną całość miał w swoich uściskach, a w końcu niedowierzając jeszcze sobie, pyta:

— Czy to są moje dzieci?

— Wsiadź pan tylko z karety, w której zapewne kości sobie potłukłeś na naszych niegodziwych gościach, a w domu, przy ciepłym ogniu

opowiem to wszystko, co pisałam w liście, który pana nie doszedł. Poczciwi ludzie zawsze tryumf odnoszą, chociaż znajdują się zazdrośni, bo występki nie przynosi dobrych owoców, a Bóg wesprze słabych, którzy...

— No, no, moja kochana Marjo, już jesteśmy przy kominku, słucham co mi masz opowiedzieć.

— Wszelako panie, to jest niezaprzeczoną prawdą, że występki... że Pan Bóg... bez Boga, nie przyslibyśmy do tego. Muszę nakoniec panu powiedzieć, że od niejakiego czasu panicze uskarżali się na... (i tu wskazała na siebie miejsce, w którym dzieci były zrosnięte). Dziwno mi było widzieć, że się w nich coś szczególnego pojawia; wpadli w jakowąś osłabienie, a potem zdawali mi się być ciężkimi, ospałymi, jakby w letargu... lekarze, których przywołałam z Bourges, oświadczyli, że tu niema co robić, i że dzieci tak powinny były skończyć. Modliłam się do Najświętszej panny, kazałam msze odprawiać, paliłam gromnice, tak jak przy ich narodzeniu się. Ociążałość trwała ciągle, ciała ich chudły i nikły, aż mię litosć brała... Nareszcie postanowiłam zrobić *votum*... Alisci, jednego rana, gdy przysła do dzieci, według mego zwyczaju, zobaczyć czy dobrze spały, Paweł Ireneusz, wyciągnął do mnie rączki, i podniósł się, gdy brat jego spokojnie spał... Rozumiałam, że zwarzuję! Przyglądałam się: nie!... tylko mała ranka w boku, i długi ślad krwi zsiadłej. Kaza-

łam znów zawołać doktorów. Zdziwili się i prawie nie chcieli temu wierzyć, Mniejsza o to, jednak ja płakałam z radości, podziękowałam panu Bogu, a potem napisałam do pana.... Ah! moje najdroższe dzieci, piękne jak anioły.... Teraz mogą już przyjść synowie i siostrzeńcy, powieśmy im: Oto są dziedzice domu, będą żyli, a wy nie dostaniecie!

Hrabia, na widok tak niespodziewanej szczęśliwości, ledwie się mógł wstrzymać od łez, i co moment wołał: „Ach! gdyby moja droga Amelja żyła! jakżeby była szczęśliwą.

Już to jest w naturze ludzkiej, że utraciwszy osobę nam miłą, napotykanę później szczęście, kosztujemy z pewną goryczą, bo serce nasze, nie śmie onego w zupełności używać, gdy go tamte podzielać nie mogą, i dopiero stopniami trzeba nam się z tém szczęściem oswajać. Wszakże człowiek, któremu wzrok przywrócono, za pierwszym ujrzeniem światła, nie doświadcza jego wpływu dobroczynnego, lecz przeciwnie uczuwa ból przykry.

— Czego płaczesz papo? ja nie chcę żebyś ty płakał, zawołały razem oba chłopcy.

— Poddaj się pan Boskiej woli, dodała guwernantka, żyj dla tych małych aniołków, które tak bardzo ojea potrzebują.

— Prawdę mówisz, moja dobra; tak jest lubo dzieci, pocieszajcie mnie po stracie, waszój matki.

Przed końcem jeszcze tego samego miesiąca, wszyscy znajdowali się w Paryżu. Hrabia oddany całkiem czułości rodzicielskiej, niczem się nie zajmował, jak tylko wychowaniem dzieci, których sam był nauczycielem, i w zatrudnieniu tém największą rozkosz znajdował. W dziewiątym roku umieli już wiele rzeczy, a nawet potrafiliby już wiersze składać. Hrabia był wielkim miłośnikiem poezji, i chciał wpoić w swoich synów zamiłowanie do rymotwórstwa, po największej części dlatego, że Voltaire powiedział gdzieś:

„Kto nie lubi poezji, ma pojęcie tępe.“

Później, gdy przyszła stosowna pora, hrabia oddał swoich synów do szkół, tam jednakże nie przestając im udzielać nauk. Robili oni postępy nadzwyczajne, a to było najdziwniejsze, że we wszystkiem zachodziła między nimi zupełna zgodność i tożsamość; jeden styl, jednakowe błędy, nawet jeden sposób mówienia i pisania! Dla tego jeżeli w końcu roku na examinie publicznym, professor wywołał Ireneusza Pawła do nagrody, można było być pewnym że zaraz po nim Paweł Ireneusz będzie wymienionym, a wtenczas, radość była ogólną, bo i nauczyciele i współuczniowie kochali bardzo obudwóch, podziwiając w nich nie tylko uderzającą harmonję ich organizmu, ale ich zobopólne przywiązanie.

Tak swobodnie i przyjemnie przepędzały czas nauk nasze młode bliźnięta, gdy w końcu tego

jeszcze roku, obadwa razem zachorowali. Zdarzenie to zasmuciło wszystkich współuczniów. Ojciec i guwernantka, po dwa razy na dzień odwiedzali chorych. Pewnego dnia, przyszedł na salę doktor Gall, mając sobie poleconego jednego z chorych uczniów. Przechodził koło łóżek dwóch braci, którym tylko czołwy ogolono, z polecenia doktora. Gall spojrział, stanął nagle, i nie mógł się wstrzymać od wykrzyknienia: „Co za podobieństwo zadziwiające!“

Otaczający chorych, roześmieli się na ten wykrzyknik, bo przypomni sobie czytelnik, że nasze bliźnięta nie wspólnego nie miały z sobą co do twarzy i fizjonomji, lecz cóżto Galla obchodzi, gardzi on takimi drobnostkami, jak oczy, usta i nos, jego tylko czaszka zajmuje; godziny całe z rozkoszą przepędza nad jej wypukłościami lub wklęsłościami. Przybliżył on się lepiej do naszych dwóch chorych, a obejrzawszy i obmacawszy ich głowy, odskoczył raptownie, zdjęty podziwieniem nad cudowną onych tożsamością: Otóż, rzecz do młodego lekarza, który mu towarzyszył, dwie czaszki, które ściągnąć mogą na ich przeznaczenie dziwne i straszne sympatje, bo widzisz, wszystkie nasze wypadki są w nas samych, a przyszłość nasza wywięzuje się z naszej organizacji, która cała mieści się w mózgu! Jeżeli naprzykład te biedne dzieci, w wieku namiętności będą... ..

Mówiąc to, Gall przeszedł do drugiej sali, a dwaj bracia, którzy żadnego słowa nie stracili, nie mogli usłyszeć końca tych zajmujących uwag. Spojrzeli na siebie z pewnym rodzajem przestachu, jak gdyby przeczuwali, że los przeznaczył im jakiś okropny wypadek. Pragnęli i lękali się poznać całą myśl Galla, lecz już go więcej nie widzieli, a wypadek ten, taki tylko miał skutek, że opóźnił kilkoma dniami ich ozdrowienie.

Zdrowie ich potrzebowało szczególnego starania, dla tego też bracia, csądził koniecznością odebrać synów z pensji, chociaż dopiero lat 15 mieli; kto się najbardziej z tego cieszył? to Marja Gareau.

Pomimo tego, postępowali oni dalej w naukach pod okiem rodzicielskiem, i nabyli wychowania właściwego ludziom *comme il faut*. Hrabia wcześniej wprowadzał ich w towarzystwa, ażeby ich oswoić z światowością. Towarzystwo kobiet, jest wielką korzyścią, a nawet można mówić jedynem zabezpieczeniem moralności młodzieży, która w niem zasmakuje. Zdarzają się prawda niekiedy małe usterki lub niedogodności pojedyncze, ale pamiętajmy, że każda rzecz może być z dwóch przeciwnych punktów uważaną. Najprzód, uchybienia podobnego rodzaju, daleko rzadziej przytrafiają się na *wielkim świecie*, a niżeli się to zdawać może tym, którzy na nim nie żyją, a potem, jakiegokolwiek one będą, choć naruszają może porządek towarzyski, przynajmniej nigdy człowieka nieupodlą. Tak

myślał hrabia B. albowiem był przekonany, że oprócz powyższych uwag, przyznać należy, że umysł, mowa, myśli i uczucia, najwięcej nabierają mocy, wdzięku i delikatności, w przestawianiu obojga płci, bo

„Gdzie sprężystość z słodyczą razem w parze chodzi,
Tam najczystsza harmonija zazwyczaj się rodzi.“

Z tąd wynikało, że Ireneusz Paweł i Paweł Ireneusz, obok najpiękniejszej edukacji, byli bardzo ukształconemi. I dla tego wszędzie ich mile przyjmowano. Czas ich schodził na zabawy i nauce, która jest najrzetelniejszą zabawą. Ile razy pracowali razem z Ojcem w gabinecie, dobra Marja Gareau po-kilka razy wchodziła, pod byle jakim pozorem, właściwie zaś, żeby się nacieszyć miłym ich widokiem, i potem dziękować Panu Bogu, za to, że się doczekała tak wielkiej pociechy. Jeżeli wracali z jakiej zabawy późno w nocy, poczciwa kobiecina zawsze na nich czekała, i otwierała im drzwi, nie zważając na swój podeszły wiek i nieodłączne od niego przykrości. Lecz czyliż młodzież dwudziesto-letnia ma nato wzgląd. Uściskali oni ją regularnie co dzień, wzięli się do ksiązek od nabożeństwa, które zawsze pod poduszką znaleźli, i wszystko było dobrze.

Dar do poezji dwóch braci, stawał się codziennie przyjemniejszym źródłem zabawy w towarzystwach;

często doświadczano ich zdolności, i zadawano im jeden i ten sam przedmiot, a potem porównywano sposób jakim każdy z nich, z zadania się wywiązywał. Porównywania te najczęściej były bardzo łatwe, gdyż zawsze prawie układ wierszy u obudwóch był jednakowy. Oto właśnie jeden przykład uderzający: w towarzystwie, w którym bardzo byli lubionemi, pewna dama żądała, aby każdy z nich osobno, napisał wiersz poważny o raku. W kwadrans, obadwa przynoszą następujące wiersze zupełnie u obudwóch też same:

Jeńjusz, jakby samotnik, wraz z enotą wzgardzony
Bogaczów świata mija, i niepostrzeżony,
Postępuje, mizernym płaszczem utulony.
Lecz gdy pochodnią wieku zostanie spalony.
Świat ujrzy jeńjusu blask.
Tak też rak czolgający, póki jeszcze żyje,
Czarna, brzydka, nikczemna skorupa go kryje;
Niechże go tylko w kuchni ogarną płomienie,
Śmierć biorąc, purpurowe przywdziewa odzienie.

Wszyscy obecni, nawet oni sami, osłupieli zdziwieni tą zgodnością i myśli i układu, jeden tylko człowiek zdawał się być zupełnie obojętnym, a wychodząc, odezwał się tylko: Mnie to wcale nie dziwi.... z takimi czaszkami, można się czegoś więcej spodziewać! Był to doktor Gall, a dwaj

bracia spojrzeli po sobie z niejakiem przerażeniem.

Rok 1829, był dla naszych bliźniąt nader dotkliwym, gdyż stracili prawie razem, ojca i dobrą guwernantkę, którą jak drugą matkę kochali. Długo byli niepokieszeni, i płakali w swoich objęciach z spuszczonei głowami, jak dwie wierzby nad brzegiem samotnego strumyka.

III.

Oddawszy ostatnią przysługę, jedynym osobom, które na tym świecie były dla nich najdroższymi, obadwaj bracia, postanowili najpierw odwiedzić w Bourges grób matki, której nigdy nie widzieli. Gdy ten obowiązek dopełnili, zaczęli się naradzać nad swoją przyszłością i nad trybem życia, jaki im przyjąć należało, ujrzawszy się niepokieszonymi dziedzicami ogromnego majątku. Myśl rozdziału, nawet na chwilę u nich nie powstała, i wszystkie układy, zaczynały się od wspólności zupełnej doli i niedoli. Zgodzili się nareszcie na to, że nie można wracać do Paryża, do domu żałoby, w którym przez dziesięć lat, szczęścia i rozkoszy doznawali. „Trzeba podróżować, mówili, zwiedzimy razem wszystkie prowincje Francji, a najprzód, zaczniemy od najuboższych, jako najbardziej malowniczych, i w których można najwię-

cój dobrego świadczyć, bo to jest jedyna rokosz, która nam pozostała!

Blisko dwa lata upłynęło, a nikt nie wiedział, co się z bliźniętami stało. Nakoniec przybyli do Bordeaux; było to pierwsze wielkie miasto, które od początku swój podróży zwiedzali. Mieszkający w tém mieście krewni, nastreczyli im wiele rozrywki, która zwiększoną była ucieszczaniem do teatru.

Już od dwóch tygodni, wedle zamierzonego planu, powinni byli udać się w dalszą podróż; tymczasem żaden z nich o tém nawet nie wspominał, co większa, mniej niżeli dawniej rozmawiali z sobą, i częściej bawili się każdy osobno.

Pewnego wieczora, kiedy w teatrze nie grano, Ireneusz Paweł wpada blady od gniewu do Ludwika tancerki. „Pani! zawoła groźnie, mężczyzna jest tu ukryty; nigdybym się tego nie spodziewał..... w piątym dniu naszej znajomości..... Nie zapieraj się..... Spodziewałaś się, że dziś nie przyjdę, i mężczyzna obcy wszedł tu przed trzema minutami, widziałem go na własne oczy..... Gdzież jest, gdzie, pamiętaj, że w téj lasce jest szpada, a tą namacam go niezawodnie w przyległym tu gabinecie.....

Braciszku, Braciszku! odzywa się nagle głos z tego samego gabinetu.

To ty! zawoła tamten. I obadwa uściskawszy się, i naśmiawszy należycie z tego zdarzenia, pożegnali Sylfidę w najlepszej zgodzie. Jednakewóż nie-

długo spoważniali obadwa, jak gdyby obudwóch jedna myśl zajęła, i powróciwszy do swego mieszkania, zaczęli sobie objawiać, to, co ich właśnie zajmowało:

— Mój bracie, zastanowiwszy się, przyznać trzeba, że nasza dzisiejsza awantura nie tak jest śmieszna, jak się nam zdawało. W naszym przeznaczeniu, wszystko jest fenomenem. To cośmy dotychczas w życiu naszym doświadczali, powinno być skazówką dla przyszłości. Wzrosliśmy z jednemi wyobrażeniami, jednemi skłonnościami, przebywalismy razem jednakowe choroby. Teraz nawet, żmysły nasze, dotychczas uspione, obudziła jedna piękność..... Moglibyśmy jeden drugiemu serce przeszyć, gdybyśmy się po imieniu nie zawołali!... Wielki Boże! cóżby się stało, gdyby miłość prawdziwa, czysta miłość, wzięła nas pod swoje wieczne panowanie, i dała za cel jeden i ten sam przedmiot dla nas obudwóch!..... Ja nie wątpię bracie, że to musi nastąpić kiedyś..... może wkrótce..... jakże temu zapobiec? Boże, mój Boże! cóżbyśmy poczęli z tą miłością przy naszej przyjaźni... jeden z nas musiałby koniecznie z żalu umierać! Zapewne to będzie nasz koniec, jaki doktor Gall wyczytał na naszych czaszkach, to jest, ta nie dokończona jego przepowiednia, której sam początek tyle nas zatrwożył..... Jeden tylko ratunek dla nas pozostaje: rozłączmy się z sobą, aż nasze serca niecofniony wybór zrobią, a wtenczas

bądźmy razem aż do śmierci. Z sercem zakrwawioném czynię ci to przełożenie; lecz uważ sam, to jest jedyny środek, który nas wybawić może od dziwnego przeznaczenia. Dzięki dzisiejszemu wypadkowi! jest on przestrogą z nieba dla nas zesłaną.“

Plakali, modlili się całą noc, a nareszcie przekonani o koniecznej potrzebie rozłączenia się, postanowili one natychmiast uskutecznić. Ireneusz Paweł wyjechał do Neapolu, a brat jego do Anglii. Obadwa przyrzekli sobie pisywać jak najczęściej.

Już od czterech miesięcy, Paweł Ireneusz bawił w Londynie, gdy znajdując się w pierwsze święto wielkanocne, na obiedzie u ambassadora francuzkiego, nagle krzyknął, uchwyciwszy się ręką pod serce:

— Boże, mój brat otrzymał pochnięcie szpada!

Nie wyszło trzy tygodnie, przynoszą mu następujący list od brata:

Neapol dnia... Kwietnia 1832.

Kochany bracie, w dzień Wielkanocny zostałem raniony szpadą pod serce, rana jest głęboka, ale nie niebezpieczna. Niedługo będę zdrów, a nawet pozwolono mi zapewnić cię o tém. Był to pojedynek z rywalem; bo masz wiedzieć, że pod gorącym niebem Włoch, pod bokiem Wulkanów, miłość nie daje długo na siebie czekać. Młoda wdówka, Hiszpanka..... Jeszcze jestem nieco słab-

by, abym ci mógł wszystkie szczegóły opisywać. Moja Elwira pisze mi z Francji, gdzie z swoją matką już od dwóch miesięcy przebywa, że miłość moja zyskała potwierdzenie, i że w końcu Lipca, zawarte zostaną śluby małżeńskie, najszcześniejsze, jakie kiedy być mogły, w kościele katedralnym w Burgos. Przybywaj tam kochany bracie, jedyny mój przyjacielu. Obys miał coś podobnego do doniesienia mi.

Paweł Ireneusz odpisał:

Londyn d.... Maja 1832.

„Wiedziałem o twojej ranie, kochany bracie, uczułem w tej samej chwili uderzenie pod sercem. Otóż to nowy dowód tożsamości naszej organizacji; jak rozsądnie zrobiliśmy żeśmy się rozstali. Wdzięczny ci jestem za twoje szczęście. Później, będę pisał obszerniej, dziś to ci tylko doniosę, że i mnie miłość znalazła wśród mgły Albjońskiej. Tak bracie, od dziewięciu dni żyję w raju i piekle. Piękna cudzoziemka, (pod jakimże się niebem urodziła?), ukazała mi się w Drury-Lane, w kaplicy katolickiej, w Hyde-Park, słowem wszędzie. Jeszcze niemogłem się dowiedzieć kto ona jest, ale wiem, że ją śmiertelnie kocham. Wczoraj znajdując się w teatrze, obok jej łoży, usłyszałem jak mówiła po francuzku do jakiegoś mężczyzny w wieku, że nazajutrz wsiada na okręt i popłynie do Smyrny. Wsiadę na okręt i popłynę za nią choćby na koniec świata.

Pewnie to jest Greczynka. Oh! będę z nią rozmawiał o jej kraju, moje wyrazy poruszają ją, bo ją tyle kocham..... A gdyby mi odpowiedziała wzgardą... Ocean użył mi zapomnienia!... Nie, luby bracie, nie, będę w Burgos, stawię się na twoje wezwanie, a twoja szczęśliwość może mnie pojedna z moim nieszczęściem. Bywaj zdrów. Będę do ciebie pisał, ale jeszcze nie wiem z którego miejsca i kiedy, zresztą niech się co chce stanie, muszę w końcu Lipca być na pięknej ziemi Hiszpanji. Twoją Eleonorę kocham jak siostrę, a ty, czy również będziesz kochał moją greczynkę? Daj Boże.....

P. S. Chciałem twój własny list zapieczętować i odesłać na pocztę, tak jestem roztargniony, a prócz tego nasze pismo tak jest podobne. To okropnie!...“

Nazajutrz, Paweł Ireneusz już się znajdował na okręcie i widział jak wkrótce po nim nadeszła piękna jego nieznajoma, z drugą damą, podszłą w latach i staruszką, tym samym, którego wczoraj w łoży widział, a który żegnając się z niemi, rzekł:

— Nie obawiajcie się niczego; on wyszedł zupełnie z tropu..... Okręt do Smyrny... wasze nazwiska greckie..... trudno żeby was kiedy spotkał, jednakże roztropność aż do końca!...

Z kilku tych wyrazów, Paweł Ireneusz wnosił, że jego ubóstwiona, otacza się tajemnicą. Obiecywał on sobie najroskoszniejszą podróż, z tem wszystkiem

ładź kaprys, obawa, bądź też unużenie, nasze niezajome rzadko kiedy wychodziły z swego pokoiku, i trudno mu było zejść się z Lelją: tak ją nazywano. Już się okręt zbliżał do brzegów Hiszpanji, a jeszcze niemiał sposobności przemówić do niej, nawet żaden z będących na okręcie, nie o niej powiedzieć nie umiał.

Zdawało mu się dostrzegać, że Lelja czasem spoglądała na niego z większym zajęciem, jak na innych. Nareszcie odważył się posłać jój kilka wierszy miłosnych, niemogących być ani do niej ani do niego zastosowanemi, które naprędce napisał, i bez podpisu, oddał jednemu z majtków, aby je nieznaicznie Lelji podrzucił.

Noc i następny poranek przepędził Paweł Ireneusz w wielkiej obawie. Lelja niepokazała się wcale, aż dopiero po wieczornej modlitwie, trzymając w ręku papier, któremu z ciekawością się przyglądała. Były to wiersze!... Ukryty w bliskości, widział jak je odczytywała z rozczuleniem, rozpląwał się z miłości, i już miał się przybliżyć, aby w sobie autora dać poznać i oświadczyć się z swemi uczuciami, gdy matka Lelji nadeszła i odprowadzając ją do pokoiku, łajała, że tak późno, jeszcze nie udaje się na spoczynek. Paweł Ireneusz ledwie mógł zdążyć skłonić się damom z uszanowaniem, i kiedy mu Lelja nawzajem ukłon oddawała, dostrzegł łzę w jój oku i uśmiech anielski na twarzy.

Kołysany słodkimi marzeniami, długo nie mógł zasnąć, dopiero nad rankiem, ociężałość rokoszna opanowała jego zmysły i zasnął twardo. Już był wielki dzień, kiedy się obudził. Bieży naprzód do pokoiku nieznajomych... próżny!... Dowiaduje się, że szalupa odwiozła je o wschodzie słońca do Korunny, stosownie do ich życzenia. Wpada do pokoiku, podejmuje kilka zapomnianych papierków, i prosi, aby spuszczone drugą szalupę, w którejby mógł dostać się do statków rybackich w bliskości będących, za pomocą których obiecywał sobie dostać się do brzegu.

Podczas gdy czyniono stosowne przygotowania, zapytuje się, czy te dwie Greczynki, istotnie nie popłyną do Smyrny? To tylko mógł się dowiedzieć, że zapłaciły naprzód za całą podróż, i że przybywszy na wysokość Korunny, kazały się tam wylądować.

Młodzieniec wskoczył do szalupy, dostał się wkrótce do statku rybackiego, który, dobrze opłacony, wysadził go w trzy godziny na brzegi Hiszpańji. Dla ukarania się za swój sen niewczesny, który go pozbawił zrana widoku jego ulubionej przysięgał po sto razy, że póty oka niezmruży póki jój nie wyszuka, lub też zaśnie snem wiecznym. Potém zaczął przyglądać się papierkom jakie pozbiierał: były to po największej części koperty, a dressy, rachunki, a między nimi... i jego wiersze!... Czyliżby w pośpiechu zgubione zostały, albo też

może je naumyślnie porzucono. Paweł Ireneusz niewątpił o tém ostatniém, gdy pod wierszami przeczytał następujące wyrazy:

Oby Anioł z nieba, który mi cudownym sposobem podał te wiersze, jak najspieszniej zapewnił o mojej miłości, tego... ach, było to więcej jak potrzeba, aby go w zachwycenie wprowadzić.

W Korunnie przebiegł wszystkie domy gościnne, lecz nigdzie nie mógł powziąć wiadomości o dwóch Greczynkach. Powiedziano mu tylko że tego rana przejeżdżała z córką, Margrabina Villaflor, udając się do Biskai. Wtedy przypomniał sobie to nazwisko, czytał je na jednym z znalezionych papierków, a zebrawszy w myśli rozmaite okoliczności, przekonał się że jego dwie mniemane Greczynki były Hiszpankami, które dla ważnych powodów zmieniły nazwisko. Z tém przekonaniem wziął pocztę i udał się prosto ku Biskai, lecz w kilka godzin powóz uderzył o skałę, wyrócił się, i niecierpliwy kochanek wybił sobie nogę. Musiał pozostać przez miesiąc cały w nędznej wiosce, gdzie go równie nędzny lekarz opatrywał. Miesiąc ten równał się dla niego tysiącom lat mąk piekielnych. Gdy już był wstanie udać się w dalszą podróż, miesiąc Lipiec zbliżał się do końca.

Do Burgos! wołał Paweł Ireneusz na przewodnika; rozumiał bowiem że zdąży na ślub swego

brata, i za jedną drogą, powéźmie pewniejszą wiadomość o Margrabinie Villaflor.

W samej rzeczy, gdy wjeżdżał do Burgos, podczas pięknej, widnej nocy, kościół katedralny był oświecony do uroczystości. Wpada w ubraniu podróżnym;... wesele już wychodziło z kościoła. Ledwie miał czas ścisnąć za rękę brata, który zawołał:

— Ach! mój drogi, ciebie tylko brakowało do zupełnego mojego szczęścia. Uściskaj swoją bratową.

Paweł Ireneusz w cieniu przysionka, ścisnął pannę młodą. Dreszcz zimny przebiegł po jego czole, Lelja! krzyknął.

— Nie, to Elwira, rzecze brat jego z uśmiechem, zaraz się lepiej poznacie. Czekamy cię bracie, w pałacu Villaflor.

Paweł Ireneusz patrzy z dzikiem wzruszeniem na cały szereg przesuających się powozów. Wbiega pomieszany do nowój oberży.

— Mamy tu, zaczepi go gospodyni, kogoś, co się zdaje być mniej uradowanym z dzisiejszego wesela. Jest to Włoch, który bił się w Neapolu z zaślubionym, ścigał dobrą Elwirę i jej matkę we Francji, tak, że te damy, chcąc uniknąć jego zapamiętałości, wyjechały do Anglii i odmieniły nazwisko. Ścigał on je jeszcze w Londynie, a dowiedziawszy się, że popłynęła do Hiszpanji, wsiadł na pierwszy okręt, i przybył tu trzema godzinami

przed panem. Lecz zobaczywszy orszak weselny, oszalał, że go trzeba było wiązać..... Ale ja uważam, że pan mnie nie słucha; proszę zapytać jego służącego, on panu wszystko lepiej opowie, i udzieli panu.....

— Wierzę, wierzę wszystkiemu, mościa pani, a le każ mię zaprowadzić do mego mieszkania:

Zamknął się. Tak więc, zawoła w największym uniesieniu rozpączy, nikt nie jest w stanie wyłamać się od swojego przeznaczenia. Wszelkie nasze zabiegi i usiłowania musiały być zniweczonymi. Pomimo przedziału całej Europy, Lelja, Elwira, są jedną osobą, i tak być musiało, to jest nasza fatalność. Bracie mój! kocham cię więcej niżeli siebie, lecz bałbym się, żebym nad ciebie, więcej nie kochał twojej Elwiry! drogi bracie! żyj długo szczęśliwy!...

Wtém wystrzał z pistoletu rozległ się po oberży.

Wpałacu Villaflorów, ci co weszli nazajutrz rano do pokoju nowożeńców, znaleźli donnę Elwirę tonącą we łzach, nad zwłokami męża.

Paweł Ireneusz odbierając sobie życie, zabił swego brata!

BRAT WILLJAM.

Noc była zimna i burzliwa, chmury co chwila zasłaniały księżyc, który niekiedy tylko przez cienką cokolwiek zasłoną, mdłe światło po niebie rozpościerał, ptaki morskie przeciągłe wydawały krzyki, na brzegu gdzieniegdzie błysnęło samotne światełko z pośród ciemnej mgły, pokrywającej ziemię, i znów za chwilę zniknęło. Jednostajnie brzmiał odgłos kroków strażnika na pokładzie. Na tyle okrętu przy sterze, stał na straży Shepherd. Zwolna, ciężkim krokiem, przechadzał się on tam i napowrót; niekiedy spoglądał na morze, jak jego wały rozbijały się o ściany okrętu. Nad duszą jego unosił się duch przeszłości — przeszłości, posępnej jak dzika noc grudniowa. Oko jego spoglądało ponuro, i niekiedy głębokie westchnienie, przedzierało się przez ciężar tłoczący jego serce.

Willjam Shepherd miał lat około pięćdziesięciu, wszyscy towarzysze szanowali go i kochali, cho-

ciaż on żadnego z nich nie sądził godnym swego zaufania, i przed nikim nie odkrywał zasłony, która tajemniczo okrywała jego życie. Nazywano go powszechnie *bratem Willjamem*, bo zawsze był gotowym tam, gdzie go było potrzeba, i każdemu, z serca jak brat starał się pomagać. Gdzie szło o walkę, był pierwszym, ale skoro przyszło do podziału nagrody, jak mógł usuwać się z obojętnym uśmiechem. Dawno już mógłby być oficerem, ale zaledwie wojna skończyła się, oddalił się i zniknął; zaledwie znowu usłyszano o przygotowaniach do boju, brat Willjam najpierwszy się pojawił. Chociaż obejście jego było rubaszne, jak zwykle u marynarza, niekiedy jednak ukazywały się w niém ślady umysłowego ukształcenia, dowodzące, a przynajmniej pozwalające domyślać się, iż młodość swoją, spędził w stosunkach wyższych nad te, w których obecnie się znajdował. Towarzysze jego czuli, iż on w każdym względzie wyższym jest nad nich, ale to przekonanie nie zawstydzalo ich, bo on sam zdawał się wcale o tém nie wiedzieć.

W téj chwili stał on w milczeniu, spoglądał ku Sanct-Lucia, i rozmyślał nad losem, który nie jednego żelazną kosą śmierci dosięże, z tych, którzy teraz jeszcze stali tam w pełnej nadziei zwycięstwa, nim angielska bandera u brzegu powieje. Wtém najbliższy sztyldwach, przystąpił ku niemu.

— Kto tam?

— Ciszéj, Willjamie Shepherd, jeżeli ci życie moje miłe!

Był to Hakon.

— To ty!

— Tak, Willjamie! i przychodzę błagając. Ty tylko możesz dopomódz mi, i nikt inny. Nazywają cię bratem, Willjamie, daj tego dowód na mnie, że litujesz się nad cierpiącym bratem! Wysłuchaj jednéj próśby mego uciśnionego serca; pozwól mi wziąć małe czółno, muszę popłynąć do Sanct-Lucia. Nim świtać zacznie, będę napowrót, tak jak pragnę, żeby Bóg był dla mnie łaskaw w ostatniéj mojej godzinie.

— Do Sanct-Lucia? Czyś głowę stracił, czy cię szal opanował, czy też nie wiesz, że Admirał postanowił karać śmiercią każdego, ktoby odważył się na łąd się udać?

— Wiem o tém dobrze, a jednak muszę być na łądzie. Pozwól mi wziąć czółno! wszystko będzie dobrze, noc jest burzliwa, gęsta mgła otacza okręt i nikt się o tém nie dowie, po tamtéj stronie, wiem ustronną przystań, ukrytą pod drzewami i krzakami.

— Ej, ej, Hakon! nie żartuj z tak ważnego przedmiotu. Gdybym nawet nie dbał o moję starą czaszkę, miałbym litość nad twoją młodością. Daj mi pokój.

— Nie; Willy! jeśli mię nie wysłuchasz, to skoczę w morze i puszcę się wpław do brzegu choć-

bym miał dziesięć razy utonąć! To co mam najdroższego w świecie, jest tam i w niebezpieczeństwie! Jeśli nie przybędę, stracę żonę i dziecko!

Chybabym był głupcem! rzekł Willjam z nie zwykłą goryczą; od dwudziestu pięciu lat nie nawidziałem cały ród kobiecy, i miałbym teraz coś podobnego uczynić... Mimowolnie odwrócił się.

— O, nie, poczciwy Willjamie! Wiem, że nie nawidzisz kobiety, i może masz do tego powody, może jedna z tylu tysięcy, wyrządziła ci wiele złego, rozdarła serce twoje zdradą; przecież i między nami są występni! ale, wierz mi, nie wszystkie kobiety są takie! Oh! są serca niewieście, które do ostatniej chwili biją dla miłości.

— Jak mi Bóg miły, od wielu lat już, nie muwilem o kobietach! zły duch mię opanowuje jak slysze o nich rozmowę, ale dla twego dobra chcę raz się przewyciężyć. Posłuchaj mię młodzieńcze! Daj jój pokój, pozwól jój płakać, łzy jój prędko oschną; ha, ta! tylu jest młodych ludzi na świecie! Mógłbym ci dziwne rzeczy opowiedzieć! Spójrzyj na mnie, co wyssało szpik moich kości? co serce moje wycisnęło w piersiach, jak cytrynę? To one! Tak, bracie Hakon, i ja kiedyś byłem młodym, ławowiernym głupcem, i ja kochałem! Tak, kochałem jak nie wielu zdoła kochać! całym, młodzieńczem sercem kochałem jedną! oh, ona była moją życiem, szczęściem, moim światem! Ona wydarła mi niebo, zbrzydziła życie! to niedość; ona

uczyniła mię występny! Hakon! ja zestarzałem się przed czasem, ona temu winna! Znikła moja spokojność, wiara, ona temu winna!

— Tak, Willjamie! Masz słuszość! są kobiety które plamią ród swój cały; mimo to jednak, nie potępiaj wszystkich. Jeszcze pomiędzy niemi znajdują się kochające stale!

— I ja niegdyś tak marzyłem! ale mój sen nagle został zniszczony, i moje serce z nim razem. Niech sobie *wydają się* słodkimi jak gołąbki czystymi jak anioły niebieskie! O, bracie, ktoby, w jej oczy spojrzeć, nie pomyślałby, że za tym pięknym błękitem, ukrywa się czarna, piekielna zdrada! Oszukujesz się młodzieńcze! ocknij się! idziesz — jak lunatyk nad brzegiem przepaści!

— Nie, nie! stary przyjacielu, nie wszystkie są takimi! Zazdrość mężczyzny, albo nieczułość jego, występuje tylko przeciwko nim z potwarzą. — O, Willjamie, gdyby moja luba, tam na Sanct-Lucia, przypuściła tylko, że ja powątpiewam o jej wierności, serceby jej pękło od nieskończonej boleści! Słuchaj, ty biedny zwiedziony! niech ci opowiem moją historję, może wtedy staniesz się powolniejszym.

Ostatniej wiosny, leżałem ranny w Kanadzie, w przepysznej dolinie, Ohio, jak duch pokoju, sunął swoje błękitne wody zwolna i w cichości w pośród winnic i rokosznych lasów. Daleko brzmiał dziki krzyk wojny, w samotnej dolinie, była jeszcze

cicho i spokojnie. Ja leżałem u jednego właściciela plantacji; był to poważny, zimny człowiek; jego żona i córka pielegnowały mię. Wtedy to poznałem wartość Korynny, O Willjamie! gdybyś ją był widział przy mojem łożu boleści, inaczejbyś sądził o kobietach; ona słuchała mego oddechu, z oczu moich czytała każde życzenie. Nie było tam ani jednego rysu zalotności, którą im pospolicie zarzucają, ani obłudy, ani udania. Kiedy spoglądałem w kryształową głębię jój dużego oka, wiedziałem już jój myśli, widziałem całe jój serce. Pokochała mię niewymowną miłością; tak czuć, potrafi tylko niewinna córka natury, do takiego zapалу, zdolnym jest tylko serce Amerykanki.

Miłość, uleczyła mię, wkrótce już mogłem z nią przebiegać dolinę Ochio; nieraz siedząc na wzgórku z którego widok rozciągał się aż do gór niebieskich i Alleghany, oddychaliśmy ciepłym tchnieniem wiosny; ja mówiłem o rozstaniu się, ona nie chciała ani przypuszczać téj myśli; drząc cisnęła się do mnie, składała głowę na mojem sercu, i płakała. Obłoki i ptaki przesuwwały się nad nami, ona spoglądała za niemi, a gdy w odległości znikwały z widnokregu, wtedy wzdychała głośno, i ręką posyłała im znak pożegnania. Wiosna powróci znowu, mówiła z cicha, tak że zaledwie serce nie pękło mi z żalu, ptaszki powrócą z południa, kwiaty znowu zakwitną w dolinie Ochio, ale Ko-

rynna, nigdy już nie będzie się cieszyć ciepłym tchnieniem wiosny, ani lotem ptaków, ani wonią kwiatów. Hakon także powróci, i stanie na wzgórku i wołać będzie w dolinę; gdzie jesteś Korynno! wołać będzie słodko, jak wieczorny wietrzyk, ale Korynna nie będzie go słyszeć w dolinie; wtedy pójdzie do matki, i zapyta o Korynnę, a matka płacząc wyprowadzi go do gaiku. Tu ona spoczywa, ostatnim jej wyrazem było imię twoje! A Hakon będzie modlić się i płakać; z cicha Oebio będzie sunął swe wody w dolinie i cedry mile szeleścić będą na wzgórzu; ale ani w dolinie, ani na wzgórzu, Hakon nie ujrzy już Korynny.

Taką musiała być Ewa w Raju! Przyciskałem ją do serca, pocałowaniem osuszałem jej łzawe powieki i pocieszałem ją, a jednak sam płakałem jak dziecko.

Nie mogłem opuścić Korynny, już ona przed obliczem Boga i natury, była moją żoną. Odkryliśmy to jej matce, było to Indjanka z pokolenia Nadowess, dobra, zacna kobieta; dawne zwyczaje jej narodu, i chrześcijaństwo mieszały się w jej duszy; zezwoliła na nasz związek, zwyczajem Indjan czuwała wraz z Korynną przez trzy noce w czasie pełni księżyca, a potem poprowadziła nas tajemnie do katolickiego duchownego, który pobłogosławił nasz związek, podług praw kościoła. Ojcu, nie mogliśmy jeszcze nic powiedzieć; był to człowiek surowy, i nienawidził cudzoziemców; gdyby do-

wiedział się o naszych stosunkach, byłby źle obszedł się z Koryuną, i nie możnaby się było spodziewać nigdy dobrego zakończenia. Zaciętym był nieprzyjacielem Anglików, i nieraz mówił, iż wolałby widzieć nieżywą swoją córkę, na ofiarę bogom przodków jego zabita, a niżeli wydać ją za którego z wojowników wielkiej Brytanji.

Musiałem przeto czekać, ale zamiar mój był już ułożony; postanowiłem jak można najprędzej opuścić armję, osiąść w dolinach Kanady, i w objęciach Korynny, zapomnieć Europy i rodzinnego kraju; spodziewałem się, że przez ten krok, skłonię na moją stronę ojca Koryunny, a w najgorszym razie, pozostawała mi jeszcze ucieczka z moją żoną. Podałem o uwolnienie od służby, ale nim je otrzymałem, moja kompanja wyruszyła, ja jako zdrów już zupełnie, musiałem udać się wraz z innemi. Anglja w téj chwili najbardziej potrzebowała swoich wojowników; z rozdartém sercem pożegnałem się z mojem szczęściem, mojem życiem. Korynna rozplywała się we łzach, przyrzekłem prędko, bardzo prędko powrócić, i poleciłem ją opiece Boga i matki.

Znowu znalazłem się na polu bitwy, ale jakże inne były teraz moje uczucia! Zwłasnej woli zostałem żołnierzem, i tylko wpośród wrzawy obozowej, serce moje doznawało dawniej pociechy, w krótkim czasie, jakaż zmiana! martwiło mię moje krwawe rzemiosło, tęskno mi było wpośród

wrzawy; bo tam, w dolinie Ohio, poznałem anioła pokoju; ona była moją myślą, moją nadzieją, przedmiotem mojej tęsknoty! Prosiłem powtórnie o uwolnienie z służby. Odpowiedziano mi, iż nie mogę otrzymać uwolnienia, aż po skończeniu téj wyprawy. Najśłodsze głosy pierwszej miłości, wołały na mnie wpośród szczęku broni, ach, tam w dolinie, było moje wszystko! Przez wiernego negra, otrzymałem po długim oczekiwaniu wiadomość od Korynny. Możesz domyśleć się, iż po tysiąc razy zapewniała mię o swojej nie zachwianej miłości; ale przytém dowiedziałem się, iż ona i jój cała rodzina wkrótce ma opuścić Kanadę, bo jój ojciec w sprawach rządowych udać się ma do Sanct Lucia. W ostatnich czasach, miał on stać się bardzo ponurym i skrytym. Korynna zaklinała mię żebym jój nie zapomniał, i przybywał jak najspieszniéj, bo ona nie ma już nikogo na świecie prócz mnie, zaklinała mię na dziecię, które czuła pod sercem swoim.

Bóg widzi, Willjamie! że znam co to jest powinność, ale w téj chwili, wszystkie moje nerwy zdrzały, wszystkie węzły przyrodzenia pociągały mię ku niéj; tysiąc razy myślałem o ucieczce, ale zbywało mi na sposobności.

Okropnie gorzki miesiąc upłynął, największemu wrogowi nie życzę jednego dnia takiego. Wtém, rozkazano nam udać się ku Sanct Lucia. Możesz wystawić sobie jaki dreszcz radości przejął mię na tę wiadomość, jak płakałem i śmiałem się w zachwyceniu; tam jest Korynna, moje niebo! Oh! jeśli ją raz jeszcze zobaczę, już nigdy jój nie opuszczę! Rozwinięto żagle, wpośród szumnych wałów, jak ptak pędziła eskarda, a moje tęskliwe życzenia wyprzedzały ją jeszcze. Już czułem chwilę powitania, gdy zdała ujrzałem wpośród oceanu wznoszącą się oczekiwaną ziemię.

Teraz zgadniesz, dla czego niedawno, z takim zapalem odezwałem się, kiedy Barington pytał, kto ma odwagę, w pośród cichej nocy, popłynąć ku brzegowi na rekonesans; ach ja miałem nadzieję, że się dowiem co o niej, prócz tego znam Sanct Lucia dokładnie; w kopalniach siarki, miałem dobrego przyjaciela, u którego niegdyś już byłem.

Wysiedliśmy w ukrytej przystani, była to noc mglista, jak dzisiaj, ostrożnie wemknąłem się na brzeg. Jeszcze nie daleko uszedłem, kiedy ujrzałem samotny, odosobniony domek, i usłyszałem łkanie kobiety; przemknąłem się pod okno, Wielki Boże! To była Korynna! jej ojciec stał przed nią z gniewem mówiąc do niej. Słuchałem wstrzymując oddech, przez chwilę jeszcze miotał na nią gniewne wyrazy, potem odwrócił się ku drzwiom. Ukryłem się w krzakach, wyszedł przed drzwi, zamknął je i oddalił się. Skoro szara postać jego znikła, wróciłem pod okno; ona na kolanach przed obrazem Boga rodzicy, z wzniesionymi rękami, modliła się i łkała. Niemożem dłużej wstrzymać się, Korynno! zawołałem przez okno; przestraszona, spojrzała w górę; matko Boża! krzyknęła, i padła na ziemię. Stałem za oknem wpośród ciemnej nocy, a moja Korynna, zemdlona leżała w pokoju, okno było mocno zamknięte. Używałem wszelkich pieszczonych wyrazów jakie mi podawała miłość, wołałem ją po tysiąc razy jak najtkliwiej; nakoniec, Bogu dzięki! otworzyła oczy. Korynno! to ja, pójdź moja luba!

— Czy podobna, to ty, Hakon, ty!

— Tak, to ja, Korynno!

O, gdybym mógł opisać ci radość i uniesienie Korynny; przybiegła do okna, otworzyła je, wskoczyłem do pokoju, i z rokoszą przycisnąłem ją do mego serca.

— Ciche cierpienie, tęsknota za mną, uczyniły ją tysiąc, tysiąc razy piękniejszą jak dawniej, jęć oko słodko było zamrużone, jęć lica bledsze, ale powabniejsze jeszcze. Wycisnałem słodkie pocałowanie na jęć ustach. Płakała i śmiała się razem. Wszystko, mówiła, musi pójść dobrze, ponieważ ja wróciłem. Dopiero po jakimś czasie, była w stanie opowiedzieć mi, co się stało od czasu naszego rozstania. Jęć dobra matka umarła; nad brzegiem Ochio, cyprysy i cedry powiewały nad jęć zwłokami, w Kanadzie zostawiła Korynna jedyną istotę, która oprócz mnie mogłaby jęć pomoc przynieść. Ojciec jęć od tego czasu stał się dla niej jeszcze surowszym, i rozkazał jęć nakoniec, zaślubić jakiegoś bogatego Amerykanina, który pod Washingtonem walczył; wzbraniała się stale, przez co nie jedną gorzką chwilę przeżyła; nawet dzisiejszej okoliczności, jęć stałość dla mnie była powodem. Należało się obawiać sroższych jeszcze wypadków, skoroby ojciec jęć odkrył stan, który niedługo już mogłaby utaić.

Skonczyła mówić, zaczęła znowu całować mię i pieścić się ze mną; nigdy, rzekła, nie chcę cię już odstąpić, pójdę z tobą na świat szeroki, gdzie tylko udać się będziesz musiał. To dopiero przypomniało mi moje położenie, opowiedziałem jęć jak się rzecz ma i przyrzekłem, że wkrótce zwyciężko wkroczymy do Lucia, i że wtedy będzie mogła nie obawiając się gniewu ojca, okazać się jako moja żona.

Wtedy biedna, zaczęła znowu płakać i prosiła mię i zaklinała, żebym jęć nie opuszczał; powtarzając, że jeśli tym razem oddalę się, ona nie ma nadziei. Jęć ojciec tak jest gniewny, tak codziennie powtarza jęć, że musi zaślubić przeznaczonego jęć człowieka, pierwój nim przybędą czerwone mundry. Pocieszałem ją i upewniałem ile mogłem,

tylko kilka dni jeszcze opieraj się droga moja! mówilem, a ja powrócę, aby już nigdy nie rozłączyć się z tobą! Nie przestawała płakać! Willjamie! pomyśl sobie jak cierpiało serce moje! — Wziąść ją z sobą nie śmiałem i nie mogłem; ale, przypomniałem sobie niego przyjaciela w kopalniach siarki. Wtém rozległo się świsnięcie; był to nasz znak, na przypadek niebezpieczeństwa; wyrwałem się z jej objęcia — na cóżby mi się przydał mój przyjaciel? biedna dziewczyna, obca na tój wyspie, czyliż zdołałaby wynaleść go i ujsć od ojca? Konwulsyjnie raz jeszcze przycisnąłem ją do serca: Korynno! jeszcze tylko kilka dni, wytrwaj! lecz jeśliby przyszło do ostateczności, wtedy wśród ciemnej nocy udaj się na przylądek i na wzgórzu rozpal trzykrotnie ognisko, i trzykrotnie je zagaś; gdyby szło o życie moje, przybędę!

Korynna z objęć moich upadła na ziemię; wyskoczyłem z okna, i dalej do brzegu. Wkrótce znajdowaliśmy się w pośród wałów, ale ja słyszałem tylko ostatni jej krzyk trwogi i tylko widziałem ją zemdloną na ziemi.

Pięć razy już odtąd, całą noc przeczekałem na pokładzie, w śmiertelnej trwodze, spoglądając, czy nie zabłyśnie umówiony znak na przylądku, lecz ciągle było ciemno, żadna iskierka nie błysnęła w tój stronie. Ale dziś, ujrzałem tam na wschód, czerwony płomień; nie mogłem odetchnąć, patrzyłem, zgasło, ale za chwilę znowu buchnął ogień, jak krzyk rozpaczający tonącego. O! patrz, znowu ogień zabłysnął! Moja żona, moje dziecko, w niebezpieczeństwie — człowieku! miej litość!

— Dobrze bracie! popłyniemy razem!

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE PIĄTYM ZAWARTYCH.

<i>Brat Willjam</i>	228
<i>Dzień ślubu</i>	183
<i>Filozof</i>	133
<i>Ireneusz Paweł i Paweł Ireneusz</i>	197
<i>Kobziarz</i>	177
<i>Korsarz</i>	88
<i>Liście dębowe (ballada)</i>	57
<i>Loża pierwszego piętra</i>	153
<i>Miłość i Neapol</i>	160
<i>Napoleon na zwaliskach Palmyry</i>	112
<i>Pogrzeb na morzu</i>	189
<i>Rog</i>	8
<i>Szal</i>	43
<i>Śmierć łabędzia czyli Wróżba</i>	59
